

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

**Furiat
za kierownicą**
Co go
z nas robi
► 4



RYS. JACEK GAWŁOWSKI

**Człowiek
Moskwy
czy Izraela?**
Prawica rozgryza
Brauna ► 11



WYSOKIE OBCASY
**Zauroczenie
się zdarza**
w dobrych
związkach



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. NETFLIX

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Czy Donald Tusk namaścił już delfina?

Sejm huczy od plotek

► 8

WYBORCZA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048908



**Zdrada
all-inclusive**
Kiedy się do niej
przysnąć ► 26

**Życie
po zawale**
Mikołaja
Grynberga ► 29

**Czy robienie
z Łeckiej
feministki**
ma sens? ► 32



**W garsonce
na wojnę**
Peżetki nie nosiły
mundurów ► 46

Agnieszka
Kublik

Czy Nawrocki zrobi wbrew Kaczyńskiemu?

KRRiT już bez Świrskiego, ale nie ludźmy się, to nadal PiS-owska instytucja, która nie chce stać na straży wolności słowa. Nawrocki mógłby to zmienić, ale...

Maciej Świrski nie jest już szefem KRRiT, został automatycznie zawieszony, gdy Sejm przegłosował, że m.in. za działanie na szkodę mediów musi odpowiedzieć przed Trybunałem Stanu.

Świrski najpierw kwestionował legalność decyzji posłów, ale ostatecznie widząc, że przegrał, ogłosił, że się wycofuje, by „w obliczu zaprzysiężenia prezydenta RP nie dawać pretekstu rządzącym do generowania chaosu i obniżania rangi urzędów”.

Czysta obluda. To Świrski sprawił, że ranga KRRiT spadła do poziomu prowincjonalnego zespołu medialnego wsparcia PiS.

I póki co nic się nie zmieni. Na czele Rady stanęła Agnieszka Głapiak, to była prawa ręka Mariusza Błaszczaka, byłego wicepremiera i cały czas trzesznika Jarosława Kaczyńskiego. No i ciężą na niej dwa prokuratorskie zarzuty, za zażyczenie sobie na odchodne z MON zegarka za blisko 6 tys. zł oraz za odtajnienie tajnych wojskowych dokumentów, by w kampanii wyborczej Błaszczak mógł zniszczyć przeciwnika.

Jej zastępczyni to Hanna Karp, związana z mediami o. Tadeusza Rydzika, doktor nauk teologicznych w zakresie religio-

logii i mediów, interesuje się sektami, nowymi ruchami religijnymi, publikowała m.in. w „Egzorcystyce”, przed laty wygłosiła wykład „Religia smoleńska w dyskursie polskojęzycznej prasy mainstreamowej”. Nie ukrywa, że walczy z TVN.

W Radzie zasiada jeszcze Marzena Paczuska, autorka nowej „linii redakcyjnej” „Wiadomości” w TVP Jacka Kurskiego – główny program informacyjny telewizji publicznej służył PiS-owi do niszczenia przeciwników. Kurski ją zwolnił, bo miała donosić prezydentowi Dudzie. I to Duda właśnie rekomendował ją po latach do dzisiejszej KRRiT.

Jedynym, który w Radzie na mediach się zna i nie służy żadnym partyjnym funkcjonariuszom jest prof. Tadeusz Kowalski. Ma jeden głos, który do tej pory nie wystarczał, by blokować świrskowe pomysły okradania mediów publicznych z abonamentu.

Sejm sprawozdanie Rady za zeszły rok odrzucił, za chwilę zrobi to Senat. Jeśli Karol Nawrocki to potwierdzi, kadencja KRRiT automatycznie wygaśnie.

Czy to się opłaca nowemu prezydentowi? Bo PiS-owi nie. Parlament wybrałby trzech z pięciu członków (dwóch posłowie, jednego senatorowie), prezydent – dwóch. Decyzje zapadają większością czterech głosów. PiS na tym by stracił, ale Nawrocki zyskał. Co wybierze? ●

W poniedziałek Duży Format



FOT. SHUTTERSTOCK

JAK WYBUCHNIE WOJNA, UCIEKNĘ DO AMSTERDAMU!

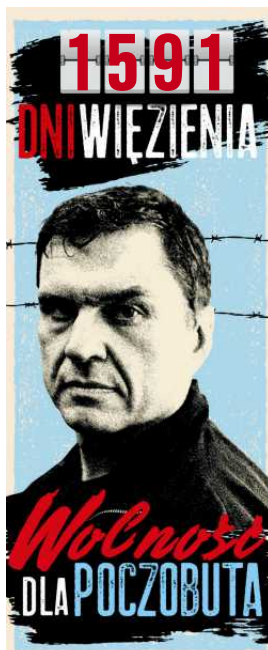
– Nie znam nikogo, kto chciałby wstąpić do wojska – mówi 19-latek z Bochum, który działa w Krajowej Radzie Uczniowskiej. – Zorganizujemy dla młodzieży warsztaty, jak skutecznie bronić się przed żądaniami państwa i Bundeswehry.

**Czy młodzi Niemcy
pójdą walczyć za Polskę? Reportaż Joanny
Strzałko**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Andrzej rysuje



KORCZ

Tragedia, która wydarzyła się w Wilczu, nie miała prawa się wydarzyć. Pomysł i sposób przeprowadzenia próby, w ramach której 14-letni chłopak miał przepłynąć jezioro w ciężkich butach i mundurze, w ciemności, bez asekuracji ratownika, od początku łamał podstawowe zasady bezpieczeństwa.

Trudno wyobrazić sobie ból bliskich Dominika. Trudno też opisać, z jakimi emocjami mierzą się jego nastoletni przyjaciele z zastępu i drużyny.

Clou harcerstwa jest praca w zastępach liczących zwykle między 5 a 10 osób. Przynależność do zastępu, wspólne przeżywanie przygody ma młodych harcerzy nie tylko uczyć współpracy, ale też tworzenia relacji z drugim człowiekiem. Zażyłość wykuta w trakcie wspólnych górskich wędrówek, deszczowych nocy pod namiotem i tygodni spędzonych na leśnym odludziu potrafi przetrwać dużo dłużej niż młodzieńcza przygoda w mundurze. Przerwana tak tragicznie, zostawi w nich ślad na lata.

Lekkomyślność i nieodpowiedzialność, które doprowadziły do śmierci Dominika, rodzą zasadne pytania. Czy harcerska metoda wychowawcza nie wymaga gruntownej zmiany? Czy wychowanie przez powierzanie tak dużej odpowiedzialności bardzo młodym ludziom nie jest zbyt kosztowną drogą rozwoju? I czy powstały przed ponad wiekiem ruch skautowy umie dostatecznie szybko reagować na zagrożenia i wyzwania, jakie stawia przed nim rzeczywistość trzeciej dekady XXI wieku?

To prawda, że próby charakteru i sprawności, poszukiwanie granic własnego ciała są nieodzownie wpisane w harcerską metodę. Ale narażanie życia i zdrowia podopiecznych jest jej absolutnym zaprzeczeniem. Złe by się stało, gdybyśmy ruch harcerski zaczęli z nim utożsamiać. Każdy harcerski instruktor składa przysięgę. Jej pierwsze zdanie brzmi: „Jestem świadomy, świadoma odpowiedzialności harcerskiego wychowawcy i opiekuna”.

Swoje zobowiązanie instruktorskie, czyli małą obrzędową ceremonię nadania stopnia, po której zyskuje się uprawnienia instruktora, złożyłam trzy miesiące po osiemnastych urodzinach. By móc do niego przystąpić, musiałam (pod okiem starszych instruktorów) między innymi zorganizować biwak – weekendowy wyjazd w ciągu roku szkolnego, w trakcie którego zatrzymujemy się w szkołach czy schroniskach – dla kilku drużyn, w sumie pięćdziesięciu osób, uczestniczyć w organizacji sztabu WOŚP oraz zorganizować w Urzędzie Miasta spotkanie dla Kręgu Seniorów w rocznicę Akcji pod Arsenalem.

Próbie na stopień, czyli listę zadań do wykonania, tworzy się ze starszym rangą i stażem instruktorem, a następnie przedkłada Komisji Stopni Instruktorskich, która ją zatwierdza bądź wnosi zmiany, jeśli nie spełnia wszystkich wymagań. Po zakończeniu próby harcerz stawia się ponownie przed Komisją, by wykazać, że nabył niezbędną wiedzę i umiejętności. W Komisji zasiadają najstarsi stopniem i stażem instruktorzy, są zwykle starsi od próbantów co najmniej o dekadę.

Ten system ma sprawić, że harcerscy wychowawcy będą nie tylko dobrze przygotowani, ale też świadomi odpowiedzialności i wpływu, jaki mogą mieć na życie młodego człowieka. Dlatego listę zadań na próbie układa się w oparciu o wytyczne opracowywane przez centralę, czyli Główną Kwaterę ZHP.

Czy realizacja próby na stopień instruktorski sprawiła, że byłam dobrze przygotowana, by stanąć na czele grupy niewiele młodszych nastolatków? Nie wiem. Im jestem starsza, tym więcej mam wątpliwości, ale też tym wyraźniejsze staje się dla mnie to, czego harcerstwo mnie nauczyło.

W przeciwieństwie do wielu koleżanek i kolegów z tamtego czasu nie pracuję dziś w szkole czy na stanowisku menedżerskim, ale gotowość do podejmowania wyzwań, odwaga do zadawania trudnych pytań i nabyte w młodości poczucie sprawczości są niezwykle pomocne także w pracy dziennikarskiej.

Gdy na pierwszym roku studiów musiałam zaliczyć przedmiot z zarządzania, rwałam włosy z głowy,

Kilka pytań po śmierci Dominika z Wilcza

Harcerz wie więcej

przemocą, kiedy przytulić i jakie są metody zarządzania omawiane na studiach biznesowych

sluchając przez półtorej godziny profesora opowiadającego o metodzie SMART – „cele muszą być mierzalne, ambitne, realne...” i zapisującego na tablicy teorii zarządzania zespołem. Miałam dziewiętnaście lat, ale znałam to wszystko na pamięć i od lat stosowałam, już wtedy od jakiegoś czasu wykladałam też młodszemu harcerskiemu liderom w trakcie kursów zastępowych czy drużynowych.

Gdy w liceum w ramach obowiązkowej prezentacji przygotowałam krótką grę terenową w okolicy szkoły, nauczycielka nie mogła nachwalić się kreatywności pomysłu. Stojąc na środku klasy opowiadała, że musimy robić to częściej, a ja z przekąsem szeptałam do koleżanki z ławki: myślisz, że ona słyszała już o harcerstwie?

Wtedy byłam już instruktorką i drużynową, a podstawy harcerskiej metody: dobrowolność, pozytywność, świadomość celów, wzajemność oddziaływań – umiałam wymienić i uzasadnić o każdej porze dnia i nocy.

Dziś rozumiem, że służba instruktorska to był też realny koszt. Planowanie biwaków, spinanie finansów szczepu, pisanie rocznych planów pracy drużyny przeplącałam wieloma nieprzespanymi nocami i porankami ze ściśniętym żołądkiem. To nie zawsze było zdrowe, nie zawsze rozwijające.

Dlaczego to robiłam? Wylanianie i wzmacnianie liderów w harcerstwie zaczyna się już na poziomie szkoły podstawowej, gdy z każdego zastępu wybiera się zastępowego – lidera grupy rówieśników. To on dostaje później najbardziej odpowiedzialne zadania, ma być wzorem harcerskiej postawy i wiedzy. Zastępowi zostają później zwykle drużynowymi, komendantami, instruktorami.

To naturalny proces – szczególnie na tamtym etapie urefleksyjniony – w którym z rówieśnikami rywalizujesz o kolejne stopnie i sprawności, aż w pewnym momencie obserwujący was przez lata instruktorzy wylaniają spośród was liderów, którzy wkrótce mają ich zastąpić. Już w wieku 13-14 lat zaczyna być przygotowywany do zostania instruktorem, a wraz z postępami powierzane ci są coraz trudniejsze i bardziej odpowiedzialne zadania.

Ze świadomością wad tego mechanizmu jestem gotowa zaryzykować jednak tezę, że jest nie najgorzej skonstruowany. I skutecznie spełnia swój cel: wychowuje liderów, uczy zaradności, buduje pewność siebie.

Realizacja próby instruktorskiej to obowiązek każdego, kto jest lub chce być drużynowym. Starając się o stopień – przez około rok, niekiedy dłużej – wykonuje się pod okiem opiekuna szereg zadań: od przygotowania rocznego planu pracy drużyny, przez organizację biwaku, po obowiązkowy kurs pierwszej pomocy.

Oprócz tego kandydaci na instruktorów (posługuję się przykładem największej w Polsce organizacji skautowskiej, czyli Związku Harcerstwa Polskiego) przechodzą szkolenia w szkołach instruktorskich, certyfikowanych przez centralne władze organizacji, które stale współpracują z Ministerstwem Edukacji Narodowej, Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji czy Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę.

To na kursach szkół instruktorskich utrwała się i systematyzuje wiedzę zdobywaną przez lata w harcerskiej praktyce – o metodzie, instrumentach metodycznych, zasadach pracy z różnymi grupami wiekowymi. Przez lata harcerstwo sformalizowało i profesjonalizowało system szkoleń kadry. Nie jest przypadkiem, że wielu instruktorów zostaje później pedagogami, nauczycielami czy samorządowcami.

W ramach tych kursów od kilku lat przyszli instruktorzy przechodzą też obowiązkowe szkolenie typu „Save from Harm”, „Chronić przed krzywdą”, które przygotowują ich do ochrony dzieci przed przemocą, w szczególności fizyczną, emocjonalną i seksualną. Kurs prowadzi wykwalifikowani szkoleniowcy, zwykle z wykształceniem psychologicznym lub pedagogicznym.

Z „Save from Harm”, które przechodziłam w 2017 roku, realizując swoją próbę instruktorską, pamiętam między innymi rozmowę o tym, jak okazać wsparcie dziecku tęskniącemu za domem, jak re-

agować, gdy stęsknione za rodzicami szuka u instruktorów bliskości fizycznej.

Dopiero po szkoleniach, po realizacji wszystkich zadań podczas trwającej minimum pół roku próby i po jej pozytywnym zaopiniowaniu przez Komisję można złożyć zobowiązanie instruktorskie.

Za bycie instruktorem harcerskim – o ile nie pracuje się na pełen etat na wyższym poziomie struktury – nie dostaje się wynagrodzenia. To praca wolontaryjna.

Centrum harcerskiego życia są letnie obozy. To tu w praktyce wykorzystuje się wiedzę o węzłach, szyfrach i przyrodzie, zdobywaną przez cały rok na zbiórkach. Od rana do wieczora uczestniczy w grach opartych – zależnie od wieku – na fabułach bajek, wydarzeń historycznych albo uczestniczy w zajęciach nastawionych na budowanie wrażliwości na problemy społeczne czy gospodarcze.

To na letnim obozie przeżywa się największe przygody i najbardziej wystawia charakter na próbę.

Wypracowany i rozwijany od ponad wieku harcerski model wychowania – wychowanie przez zabawę, współdziałanie, samodoskonalenie i kontakt z przyrodą – dziś stawiany jest często za wzór przez pedagogów i psychologów. Ma jednak luki

To tu, w trakcie trzech tygodni spędzonych w środku lasu, rozwija się wrażliwość na przyrodę i jej ochronę, testuje odwagę w trakcie nocnych wart i dyscyplinę w trakcie codziennego ścielenia łóżek, sprzątania na zmianę obozowej kuchni czy toalety. Odrzucający niektórych powtarzalny, wojskowy wręcz rytm dnia, który rozpoczyna się od apelu z odśpiewaniem hymnu pod flagą i sprawdzaniem porządków, wraca później do instruktorów w rozmowach z wdzięcznymi i na wół rozbawionymi rodzicami: „Dokonała pani cudu, moje dziecko po sobie sprząta!”.

Ale letnie obozy są też miejscem i momentem największego ryzyka. Zamknięta na kilku polaciach lasu, z dala od miasta i świata pozaharcerskiego, energia i pomysłowość młodych ludzi może wymknąć się spod kontroli.

W ostatnich latach coraz większym wyzwaniem stają się też nagle i intensywne zjawiska pogodowe. Dlatego od kilku lat w wyniku porozumienia organizacji harcerskich z Państwową Strażą Pożarną, policją i Lasami Państwowymi na letnich obozach obowiązują nowe zasad bezpieczeństwa. To konsekwencja tragicznych wydarzeń z sierpnia 2017 roku w Suszku, kiedy wskutek nawałnicy zginęły dwie harcerki przebywające na obozie pod namiotami.

Zmianę po 2017 roku obserwowałam na własne oczy – strażacy zaczęli częściej wizytować miejsca obozów, przed ich rozpoczęciem przeprowadzano oględziny terenu, jeden nieusunięty suchy konar groził odwołaniem wypoczynku. Komenda obozu trzy razy dziennie łączyła się z lokalnymi służbami, podając im stan liczbowy uczestników. Wypracowano nowe standardy ewakuacji.

Już dużo wcześniej wyśrubowano też zasady organizacji obozów. Ich komendantami (czyli organizatorami) mogą zostać dopiero podharcistrzowie, czyli instruktorzy o drugim z trzech stopni zaawansowania. Podharcistrzowie muszą umieć pozyskiwać środki na działalność jednostek, zarządzać ich majątkiem, znać przepisy dotyczące organizacji wypoczynku letniego, umieć współpracować ze służbami. Dodatkowo każda chorągiew, czyli jednostka zrzeszająca środowiska harcerskie z danego województwa, ma wydelegowanego członka komendy do spraw Harcerskiej Akcji Letniej, który dba między innymi o przygotowanie komendantów obozów.

Wiele środowisk dodatkowo, na własną rękę, szkoli kadrę przed wakacyjnym wypoczynkiem.

Gdy realizowałam w ZHP swoją próbę podharc mistrzowską, na kilka tygodni przed wyjazdem na obóz zorganizowaliśmy dla kadry specjalne, obowiązkowe szkolenie – przypominaliśmy zasady polityki „Save from Harm” i zaprosiliśmy strażaka na kilkugodzinne warsztaty.

Już wtedy toczyliśmy zawzięte spory między innymi o to, kto i czy w ogóle powinien podchodzić do realizacji sprawności Trzech Piór, która zakłada spędzenie doby w lesie, milczenie przez dobę i trwającą dobę głodówkę. Już kilka lat temu większość instruktorów odmawiała podopiecznym realizacji tej próby, część pozwalała za zgodą rodziców po ukończeniu 16 lub 18 roku życia.

Tak więc lista wymagań, zabezpieczeń, przygotowań jest długa i wciąż się wydłuża. Ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że miałam sporo szczęścia – trafiłam do środowiska, które potrafiło trzymać się reguł pisanych i zdrowego rozsądku wręcz modelowo, było tworzone przez świadomych, odpowiedzialnych instruktorów.

Problem w tym, że liczący setki tysięcy członków ruch nie jest jednolity. Różnice między środowiskami przebiegają często na linii dużych i małych miast. Z mniejszych miejscowości młodzi szybko wyjeżdżają do miasta na studia, a to istotnie osłabia zasoby kadrowe.

I tak, owszem, harcerscy instruktorzy są młodzi. Takie jest od początku założenie ruchu, który miał przede wszystkim – o czym jego pomysłodawca, brytyjski generał Robert Baden-Powell, pisał przed przeszło stu laty wprost i z charakterystyczną tak dla imperialno-późnowiktoriańskiej epoki, jak i dla dzisiejszych harcerskich gawęd, tendencją do patosu – kształcić obywateli, którzy będą gotowi wziąć odpowiedzialność za kraj. Sposobem na to miało być budowanie w młodych poczucia odpowiedzialności za siebie nawzajem. Najpierw za zastęp, z wiekiem za drużynę, szczep drużyn, chorągiew. W dorosłości, po opuszczeniu organizacji, za lokalną społeczność. Tego nie da się zrobić bez powierzenia im odpowiedzialności.

Niemniej tworzenie efektywnych i sprawnych wentyli bezpieczeństwa to wciąż zadanie, na dobrą sprawę niekończące się, dla instytucji publicznych i organizacji harcerskich. Nie chodzi o przekreślenie metody harcerskiej, chodzi o jej ewolucję.

Czyli w istocie o dobrą tradycję. Bo zmiana jest przecież wpisana w DNA harcerstwa. Wśród najważniejszych elementów metody harcerskiej, obok prawa i przyrzeczenia harcerskiego, systemu małych grup i uczenia przez działanie, wyróżnia się właśnie stale doskonalony program.

Wypracowany i rozwijany od ponad wieku harcerski model wychowania – wychowanie przez zabawę, współdziałanie, samodoskonalenie i kontakt z przyrodą – dziś stawiany jest często za wzór przez pedagogów i psychologów. Ma jednak luki. Nie wszystkie osoby, którym powierzona jest opieka nad dziećmi, przechodzą jednakowo skrupulatne przygotowanie. Nie wszystkie osoby pracujące z młodzieżą przechodzą drogę przygotowania instruktorskiego. Tam, gdzie brakuje ludzi do prowadzenia drużyn, zdarza się przymykać oczy na coraz bardziej wyśrubowane wymagania władz naczelnych.

Pytaniami z początku tego osobistego tekstu, które zadaję nie tylko ja, ruch harcerski powinien zająć się w duchu, który jest jego istotą: stawiając na pierwszym miejscu odpowiedzialność za drugiego człowieka i otwartość na zmiany.

Choć obok tragedii na obozie w Wilczu nie da się i nie można przejść obojętnie, ogromną szkodą byłoby przekreślać dorobek organizacji, które wychowały setki tysięcy ludzi. Samo tylko ZHP liczy dziś 150 tysięcy członków i każdego lata organizuje wypoczynek dla średnio 70 tysięcy dzieci. Które za kilka, kilkanaście lat zostaną pracownikami społecznymi, dziennikarzami, nauczycielami, lekarzami, liderami swoich lokalnych społeczności. ●

Maria Korcz



Autorka tekstu, dziennikarka społeczna i ekonomiczna „Wyborczej”, była instruktorką ZHP, drużynową i komendantką jednego z poznańskich szkół.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Szybcy i wściewkli

Szef nakrzyczał, przyszło wezwanie z banku,
trzeba odebrać dziecko, a tu jeszcze korek
i ktoś mi zajechał drogę.
I w końcu się przelało.

Z **JACKIEM GRUNT-MEJEREM**, PSYCHOLOGIEM
SPOŁECZNYM, PEŁNOMOCNIKIEM PREZYDENTA
WARSZAWY DS. REWITALIZACJI
ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

Samochodem jeżdżę rzadko. Ale gdy tylko siadam za kierownicą, wzbiera we mnie złość. I nie jestem wyjątkiem. W badaniach, które cytujesz w pracy o agresji drogowej, aż 60 proc. kierowców przyznaje się do wybuchów gniewu podczas prowadzenia auta. Skąd się to bierze?

– Jak w przypadku chorób – podobne objawy mogą wynikać z różnych przyczyn. Tak samo bywa z agresją drogową. Nie ma jednej odpowiedzi, bo mechanizmów jest wiele.

Na początek warto rozróżnić trzy rodzaje agresywnych zachowań za kierownicą. Najrzadziej występuje furia drogowa, sytuacja ekstremalna. Na przykład kierowca celowo wjeżdża w innego uczestnika ruchu lub wysiada z samochodu z kijem, bronią czy po prostu gołymi pięściami atakuje innego uczestnika ruchu.

Szukając materiałów na temat infrastruktury rowerowej w innych krajach, trafiłem na szokującą sprawę z Kanady: prokurator generalny startujący w wyborach na burmistrza Ontario zabił autem rowerzystę. Po jakiejś wymianie zdań na drodze. Wstrząsnęło mną to, że prawnik na wysokim stanowisku, jednocześnie polityk, który startuje w wyborach, więc teoretycznie powinien potrafić panować nad emocjami, za kierownicą jednak stracił kontrolę nad swoim zachowaniem.

Zadziałal afekt, a nie rozum?

– Tak. I to jest właśnie zastanawiające, jak ogromna siła tkwi w mechanizmach psychologicznych. Prędkość, izolacja, zamknięcie w niewielkiej przestrzeni, stres, natłok bodźców – to wszystko sprawia, że zachowania ludzi się radykalnie zmieniają. I mówimy nie tylko o ludziach „niezrównoważonych”, ale też o normalnych, funkcjonujących osobach, które nagle coś przelamuje.

Takie przypadki, choć spektakularne, nie zdarzają się często. W ostatnich latach zyskały rozgłos, bo coraz częściej są nagrywane telefonami, kamerkami samochodowymi i trafiają do internetu. Policja tak-

że publikuje takie nagrania ku przestrodze. Jest nawet policyjny e-mail, gdzie można je wysłać: „Stop agresji drogowej”.

Drugi stopień agresywnego zachowania to jazda na zderzaku, błyskanie światłami, trąbienie, przyhamowywanie, krzyczenie, wyrażanie pięścią etc.

Mimo medialnego szumu wokół furii drogowej to wciąż margines. Znacznie częściej mamy do czynienia z agresywną jazdą: wyprzedzaniem na podwójnej ciągłej, przez wysepki, na pasie do ruchu w przeciwnym kierunku, znacznym przekraczaniem dozwolonej prędkości, wyprzedzaniem zygzakiem przez trzy pasy. To działania, które stwarzają realne zagrożenie, choć na ogół nie są wymierzone w konkretną osobę.

Polskie drogi pełne są takich zachowań.

– Tak. A im więcej kierowców jeździ z nadmierną prędkością, tym więcej nerwowości i stresu. Weźmy na przykład skrzyżowanie z drogą główną. Kierowca wyjeżdża na nią z podporządkowanej. Jak często widzimy sytuację, kiedy kierowca jadący drogą główną z prędkością 30-50 km/h większą niż dozwolona niemal wjeżdża temu pierwszemu na plecy, jeszcze do tego trąbiąc, mrużąc długimi?

Na marginesie jeszcze ważne rozróżnienie: człowiek jadący drogą z pierwszeństwem nie ma po prostu pierwszeństwa. Nie ma prawa do jazdy z dowolną prędkością.

Internetowe fora niestety są pełne wypowiedzi kierowców, którzy w taki sposób komentują filmy z wypadkami, gdzie ktoś „nie ustąpił pierwszeństwa”. Zapominają zupełnie o jednym z fundamentów polskiego prawa o ruchu drogowym, art. 4. „Uczestnik ruchu [...] ma prawo liczyć, że inni uczestnicy tego ruchu przestrzegają przepisów ruchu drogowego, chyba że okoliczności wskazują na możliwość odmiennego ich zachowania”.

I tymi ewentualnymi okolicznościami nie jest fakt, że tu nie ma fotoradaru albo że jedziemy na drodze z pierwszeństwem przejazdu.

Inny ważny zapis, o którym rzadko się wspomina: kierowca ma obowiązek prowadzić pojazd w taki sposób, by nie doprowadzić do wypadku, niezależnie od tego, kto ma pierwszeństwo. Jeśli widzisz, że ktoś wjeżdża ci przed maskę, masz obowiązek zahamować, a nie uznać, że „masz pierwszeństwo” i w niego wjechać. Na drodze nie chodzi o rację, tylko o bezpieczeństwo.

Wypadków jest coraz więcej. Przynajmniej tak wynika z policyjnych statystyk.

– Tu trzeba być ostrożnym. Minimalny wzrost rok do roku nie świadczy jeszcze o trendzie – liczba wypadków ze skutkiem śmiertelnym, a to przecież najważniejszy wskaźnik, systematycznie spada. Dziś notujemy mniej niż 2 tys. ofiar rocznie. Tymczasem w pierwszej połowie lat 90. ta liczba sięgała nawet 8 tys. To był dramatyczny moment. Od tamtej pory sytuacja systematycznie się poprawia.

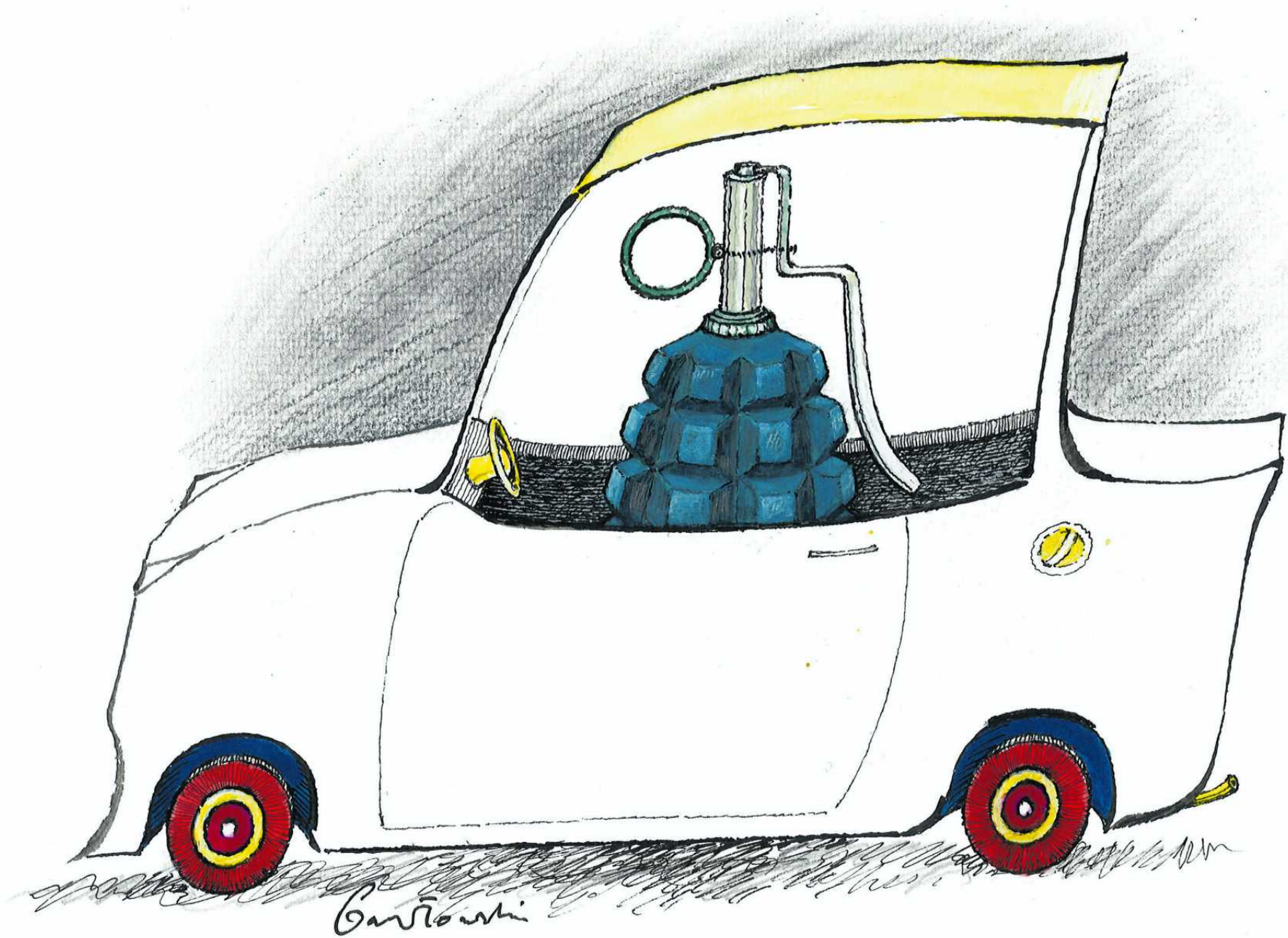
A jednak kolizji, nawet jeśli niegroźnych, jest coraz więcej.

– Ostrożnie podchodziłbym do interpretacji krótkoterminowych danych. Od 10 lat wszystkie zmiany idą całkiem dobrze w dobrym kierunku, natomiast faktycznie dane za ostatnie 3 lata pokazują niestety zastój – bezpieczeństwo przestało się poprawiać, ale jeszcze trudno mówić o pogorszeniu.

A może po prostu mamy więcej samochodów?

– To też fakt. W Polsce liczba samochodów w przeliczeniu na 1000 mieszkańców jest jedną z najwyższych w Europie. W dużych miastach, takich jak Warszawa, korki to norma. I to właśnie w takich warunkach najczęściej dochodzi do agresywnych zachowań.

Co ciekawe, nie sam korek jest najbardziej stresujący, tylko jego nieprzewidywalność. Kierowcy akceptują korek o godzinie 17, bo się go spodziewa-



RYŚ. JACEK GAWŁOWSKI

ją. Ale ten sam korek o 13 czy 23 budzi frustrację. Bo nie wiadomo, skąd się wziął. Bo miało być szybko. Bo plan był inny.

W takich sytuacjach znika poczucie kontroli, a to jedna z podstaw psychicznego komfortu. Do tego dochodzi fizyczna niemożność manewru: auta stoją blisko siebie, trudno zawrócić, trudno uciec. Wystarczy drobna stłuczka w wąskim miejscu, na moście, wiadukcie, w tunelu, i blokuje się cały pas, czasem całe skrzyżowanie. Korek narasta lawinowo. Nie ma jak zjechać, nie ma jak wyminąć. Gniew rośnie.

Chociaż problem nie jest typowy jedynie dla Warszawy, ze względu na dużą liczbę aut i ograniczoną przepustowość skala problemu jest w stolicy bardzo widoczna. Można z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że każdego dnia gdzieś w mieście dochodzi do stłuczki. Nawet drobnej. Ale to już wystarczy, by na kilkadziesiąt minut sparaliżować ruch i wywołać frustrację setek ludzi. To jest realne źródło agresji na drodze.

Czyli problemem jest przepustowość?

– Niezupełnie – powiedziałbym raczej, że mamy niedopasowanie nie tyle infrastruktury do potrzeb, ile liczby samochodów do istniejącej przestrzeni. Miasto nie urośnie, ma swoje granice, stoją budynki, są chodniki, drzewa, trawniki, drogi rowerowe. Nie da się i nie można wszystkiego przeznaczyć na asfalt i pasy ruchu tylko po to, żeby kierowcom jeździło się bezstresowo.

W miastach Europy Zachodniej jest po prostu mniej aut. Dla porównania: w Berlinie przypada około 300 samochodów na tysiąc mieszkańców. W Warszawie około tysiąca! To gigantyczna różnica. A do tego Berlin jest prawie dwa razy większy od Warszawy.

Ma też dwa razy więcej mieszkańców i większość z nich nie korzysta z auta codziennie. Po części można to wytłumaczyć bardzo sprawnie działającym transportem publicznym, zwłaszcza wykorzystaniem kolei w mieście. Jest też przyzwoita sieć dróg dla rowerów i bardzo wysoki jak na tak duże miasto

udział rowerzystów w ruchu – około 20 proc. Także istotna jest przepustowość, ale liczona nie w autach, tylko w przewiezionych ludziach – od pociągów zaczynając, na rowerach i pieszych kończąc.

W Stanach w wyniku road rage, czyli furii drogowej, rocznie ginie od 100 do 200 osób. Ktoś wysiada z samochodu z bronią. Ktoś inny z premedytacją wjeżdża w inny pojazd. To nie są wypadki, to zamierzone ataki pod wpływem skrajnych emocji. I choć Polska nie osiąga tej skali, to mechanizmy psychologiczne stojące za agresją drogową są bardzo podobne.

Podajesz przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie duże miasta w pewnym sensie stoją w kontrze do Warszawy. Tam infrastruktura samochodowa jest bardzo rozwinięta. Problemem jest raczej brak infrastruktury dla pieszych i transportu zbiorowego.

– W Stanach transport publiczny jest słabo rozwinięty, to fakt. W niektórych miastach praktycznie nie istnieje. I to sprawia, że nawet osoby, które same wiedzą, że nie powinny prowadzić, bo się denerwują, bo mają problem z kontrolą emocji albo inne ograniczenia, nie mają alternatywy.

W Warszawie, Berlinie czy innych europejskich miastach można po prostu wsiąść w tramwaj, poczytać książkę, ochłoniąć. Tam trzeba jechać samochodem, bo inaczej się nie da.

Czyli niepokojące zachowania za kierownicą to czasem nie kwestia charakteru, tylko braku alternatyw?

– Właśnie tak. I warto dodać jeszcze jeden czynnik: dystans. Amerykanie codziennie spędzają w samochodzie ogromne ilości czasu, często 3-4 godziny. To oznacza większą ekspozycję na stresujące sytuacje, większe prawdopodobieństwo konfliktu.

W Warszawie też bywają korki, ale średni czas dojazdu to raczej 30-40 minut. Owszem, są wyjątki, ale większość ludzi spędza za kierownicą mniej niż 2 godziny dziennie. To ogromna różnica.

I wtedy łatwiej zachować spokój?

– Statystycznie – tak. Ale to nie wyłącza zupełnie tego mechanizmu, czasem wystarczy jakiś drobniaczek, spiętrzenie frustracji, by sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Czyli nawet spokojny, zrównoważony kierowca może w pewnym momencie wybuchnąć?

– Tak. Czasem to spokojni ludzie, którzy po prostu trafili na zły dzień. Szef nakrzyczał, przyszło wezwanie z banku, trzeba odebrać dziecko, a tu jeszcze korek i ktoś mi zjechał drogę. Wszystko się skumulowało i w końcu się przelało. Wtedy dochodzi do sytuacji wyjątkowych. Niekiedy groźnych.

Statystyki policyjne pokazują bardzo wyraźny profil sprawców wypadków drogowych w Polsce: to głównie młodzi mężczyźni, między 18. a 24. rokiem życia. Pleć i wiek nie są tu przypadkowe.

– Zdecydowanie. Badania są jednoznaczne. Młodzi mężczyźni dominują w statystykach, jeśli chodzi

Państwo ma pole do popisu, żeby młodzi mężczyźni w samochodach nie zabijali siebie i innych

o agresywny styl jazdy i liczbę wypadków. Tu jest pole do popisu dla państwa. Dia-gnoza już jest – a teraz, co zrobić, żeby nie zabijali siebie i innych?

Mówiłeś wcześniej o roli transportu publicznego jako wentylu bezpieczeństwa, że nie każdy musi prowadzić. Ale to chyba tylko część rozwiązania.

– Tak, to tylko jeden z elementów. Moim zdaniem kluczowe jest systemowe uświadomienie ludziom ich własnych ograniczeń. Zwłaszcza przy okazji kursów na prawo jazdy.

Uważam, że tam trzeba mówić otwarcie o agresji drogowej. Zadać kandydatom pytanie: „Czy na pewno jesteś osobą, która powinna prowadzić pojazd?”. Bo problem często polega nie na braku umiejętności technicznych, tylko na nieopanowaniu emocji i braku refleksji.

Przy kursach na prawo jazdy, przynajmniej w przypadku kategorii nieprofesjonalnych, czyli samochodów osobowych czy motocykli, nikt nie weryfikuje, czy dana osoba potrafi panować nad emocjami, czy ma skłonność do impulsywności. Cała odpowiedzialność spoczywa na samym kursancie. A przecież czasem wystarczyłoby nazwać problem, opisać go, pokazać przykłady, zachęcić do autorefleksji.

To mogłaby być część kursu. Mi trzeba do tego wielkiej reformy. Wystarczy kilkanaście minut poświęconych na rozmowę z kursantami o tym, czym jest agresja drogowa, jak się objawia, kto jest na nią szczególnie narażony i dlaczego warto wiedzieć, kiedy nie wsiadać za kierownicę. Choćby po to, żeby ktoś w przyszłości sam siebie zapytał: „Czy w takim stanie emocjonalnym naprawdę powinienem prowadzić samochód?”. Taka świadomość potrafi uratować życie, swoje i cudze.

Przyszła mi do głowy pewna hipoteza: samochód to przecież nasza prywatna przestrzeń. Coś w rodzaju mobilnego azylu. A jednak, by funkcjonować, musi on wyjechać na wspólną, publiczną drogę, do przestrzeni, którą dzielimy z innymi.

– Samochód rzeczywiście bywa traktowany jak rodzaj przedłużenia naszego miaru domowego – miejsca komfortu, bezpieczeństwa, kontroli. Wsiadamy, zamykamy drzwi, jesteśmy „u siebie”. Ale natychmiast po uruchomieniu silnika wjeżdżamy na wspólną infrastrukturę. I tu zaczynają się napięcia.

To, co opisałeś, ma bardzo konkretne psychologiczne konsekwencje. W sytuacjach dużego zagrożenia ruchu, a o takie przecież nie trudno w polskich miastach, wiele osób doświadcza poczucia osaczenia. Samochody dookoła, zero przestrzeni manewru, żadnej możliwości ucieczki. Znam osoby, które w takich sytuacjach deklarowały, że najchętniej zostawiłyby auto na środku drogi i wyszły.

I to wszystko w sytuacji, która, paradoksalnie, miała być wygodna i szybka.

Utarło się, że samochód to przecież symbol swobody, wolności. Tymczasem stoisz w korku, tramwaj przejeżdża obok, pieszy cię wyprzedza. Zamiast wolności – frustracja.

Do tego dochodzi coś jeszcze: poczucie anonimowości. Szyby w autach mocno odbijają światło, przez co z zewnątrz trudno dostrzec twarz kierowcy. A jak kogoś nie widać, to trudniej o empatię, łatwiej o dehumanizację. Pozwala to niektórym osobom pofolgować emocjom, powiedzieć lub zrobić coś, czego nigdy nie zrobiliby twarzą w twarz.

Trochę jak w internecie, za ekranem też część użytkowników czuje się bezkarna. W sieci ludzie potrafią napisać komuś rzeczy, których nigdy nie powiedzieliby twarzą w twarz. W samochodzie działa podobny mechanizm, poczucie, że jesteśmy schowani, że nikt nas nie rozpozna. A więc możemy więcej. Czasem zbyt wiele.

Do tego dochodzi zjawisko terytorialności. Samochód jako nasze terytorium na-

gle ściera się z terytorium innych. I znów: im większe zagrożenie, tym większe napięcie.

Przypomina mi się film „Upadek” z początku lat 90. Bohater grany przez Michaela Douglasa stoi w gigantycznym korku w Los Angeles, wpada w furję, zostawia samochód i rusza przez miasto, brutalnie wyładowując frustrację na przypadkowych ludziach.

– Ciekawe, że agresja związana z prowadzeniem samochodu od dawna obecna jest w tekstach kultury. Już w latach 50. Disney stworzył animację „Motor Mania”, w której Goofy jako przykładowy, grzeczny obywatel po wejściu do samochodu zmienia się w bezwzględnie agresora. To pokazuje, jak wcześniej zauważono to zjawisko.

Człowiek z natury jest istotą społeczną, ale to działa dobrze wtedy, gdy ma warunki do społecznego funkcjonowania – kontakt wzrokowy, uśmiech, gest, możliwość rozmowy. W sali, na ulicy, w kolejce w sklepie, jesteśmy w stanie się komunikować, zasygnalizować swoje intencje. Na drodze nie. Brakuje podstawowego kodu zachowań. Nikt nie powie: „Przepraszam, zaga-pilem się”.

A każda niejednoznaczna sytuacja – zajeżdżanie drogi, zbyt wolny manewr, zbyt bliski przejazd – może zostać odczytana jako celowa. Część osób ma tendencję do automatycznego przypisywania innym złych intencji. Myślę, że dobrą radą dla nich byłoby wyobrażenie sobie, że za kierownicą tego auta siedzi osoba 80-letnia. Może to trochę pozwoliłoby ostudzić emocje?

Człowiek biologicznie nie został zaprojektowany do poruszania się z taką szybkością

Są przecież drobne gesty, włączenie świateł awaryjnych w ramach podziękowania, uniesienie dłoni.

– Tak, i to jest bardzo ciekawe zjawisko, bo pokazuje, że mimo braku formalnych reguł ludzie odczuwają potrzebę uczłowieczenia tego bezosobowego ruchu drogowego. Wytworzyli pewien nieformalny kod kulturowy, żeby jakoś zrekompensować brak możliwości rozmowy. Dodam tu tylko dla porządku smutny w tym kontekście fakt, że to włączenie awaryjnych w ruchu nie jest dozwolone, bo może być mylone z użyciem kierunkowskazu.

Jak widać, system drogowy sam w sobie nie wspiera komunikacji między użytkownikami. I to jest problem. Zwłaszcza w sytuacjach stresowych, przegęszczonych, gdzie brakuje przestrzeni, gdzie każdy błąd od razu uruchamia lawinę emocji.

I wtedy łatwiej też przypisać komuś złą wolę. Widzimy kogoś, kto nie włączył kierunkowskazu, i od razu myślimy: cham, cwaniak, zrobił to specjalnie. Tymczasem to mógł być ktoś, kto się zestresował albo zagubił. Ale zamiast empatii pojawia się reakcja obronna.

Ludzie potrafią kogoś gonić, zajeżdżać drogę, wysiadać z samochodu, by „wymierzyć sprawiedliwość”. A ta druga osoba bywa kompletnie zdezorientowana, bo nawet nie zauważyła, że coś zrobiła nie tak.

Dlaczego nie mamy pojęcia agresji supermarketowej? W tych wielkich sklepach, gdzie też jest tłum, też są konflikty, ale stoimy ze sobą twarzą w twarz. Możemy powiedzieć „przepraszam”, „proszę”, „oj, nie zauważyłem pana”, uśmiechnąć się, kiwnąć głową. Na drodze nikt tego nie zauważy ani nie usłyszy. Samochód zamyka nas fizycznie i emocjonalnie. Redukuje komunikację do minimum. I to jest bardzo istotny czynnik, który, obok przegęszce-

nia, stresu i braku alternatywy transportu sprzyja eskalacji agresji.

Oczywiście w sklepie nikt nikomu nie grozi, najwyżej ktoś nadeptnie ci na stopę. Natomiast na drodze każde nieodpowiedzialne zachowanie może się skończyć śmiercią.

Sam fakt, że poruszamy się z dużą prędkością, generuje zupełnie inny poziom napięcia. Każdy błąd może mieć poważne konsekwencje. Ludzie z wyobraźnią mają tego świadomość. Ten stres cały czas im towarzyszy.

Czyli to nie tylko tłok i anonimowość. Sama prędkość wzmacnia napięcie?

– Człowiek biologicznie nie został zaprojektowany do poruszania się z taką szybkością. Usain Bolt biegał maksymalnie około 44 km/h – i to jest szczyt naszych możliwości. Kiedy jedziemy samochodem, nasz organizm nie ma naturalnych mechanizmów rozpoznawania takiej dynamiki. Wszystko powyżej 40 km/h to już domena wyuczenia i stworzenia warunków, które pomagają nam nie odczuwać bezpośrednio tej prędkości – auta są wygłuszone, szczególnie obudowane, patrzymy na wszystko zza szyby.

Zastanawiam się, czy w naszej kulturze nie funkcjonuje pewien rodzaj przyzwolenia na agresywne zachowania drogowe. Mam na myśli ten rzekomy maczym za kierownicą, przekonanie, że „prawdziwy facet” jeździ szybko, nie ogląda się na innych. Widać to przecież w statystykach: młodzi mężczyźni

powodują najwięcej wypadków. Czy to nie jest kwestia społecznych norm i braku egzekwowania odpowiedzialności?

– O ile na furję drogową, taką z wysiadaniami z auta i rękoczynami, nikt raczej społecznie nie przymyka oka, to już na agresywny styl jazdy niestety mało kto reaguje. W Polsce jest duże przyzwolenie na przekraczanie prędkości. Wystarczy stanąć na dowolnej ulicy, gdzie obowiązuje ograniczenie do 50 km/h – większość kierowców jedzie 60, 70 km/h, całkiem sporo jeszcze więcej. Dopiero gdy pojawi się fotoradar, zaczynają zwalniać.

60 zamiast 50 to z pozoru niewielka różnica. Ale kiedy mówimy o potrąceniu pieszego, to różnica jest kolosalna. Przy prędkości 60 km/h szanse na przeżycie są w granicach 15 proc. Przy 50 – 50 proc., a przy 30 km/h ponad 80 proc. pieszych przeżyje. Tak na marginesie to dlatego w europejskich miastach, także w Warszawie, wprowadzane są strefy tempo 30. Bo to działa. Redukcja prędkości naprawdę ratuje życie.

To przyzwolenie na „małe” wykroczenia działa więc jak furtka do większych. Jeżeli przyzwyczaimy się do tego, że „70 można”, to zaraz ktoś uzna, że „80 też ujdzie”. A potem może i 90. I tak rośnie poczucie bezkarności. Jeśli nic się nie dzieje, nikt nie karze, to rośnie też gotowość do ryzyka. A to już prosta droga do nieszczęścia.

Egzekwowanie przepisów to jedno z kluczowych zadań państwa. Gdybyśmy mieli więcej fotoradarów, częstsze kontrole drogowe i realne kary za przekroczenia prędkości, agresywnych zachowań na drodze byłoby znacznie mniej. Zostałyby zduszone w zarodku.

Problem nie zaczyna się od furii. Zaczyna się od tego, że ktoś przez lata przekra-

cza prędkość, wymusza pierwszeństwo, jeździ zbyt blisko zderzaka i nic z tego nie wynika. Zero reakcji, zero konsekwencji. I w końcu przychodzi moment, kiedy wszystko się nawarstwia i kończy tragicznie.

Jest jeszcze jeden aspekt – przejmowanie nawyków.

Dzieci jadące samochodem z agresywnym rodzicem obserwują, zapamiętują, przyswajają ten sposób zachowania jako normę.

Badania nad społecznym uczeniem się dzieci pokazują, że to ważny mechanizm – rodziców obserwujemy najczęściej i najdłużej. Kurs prawa jazdy trwa 20, może 30 godzin, a dziecko, które regularnie jeździ z rodzicem do szkoły, na wakacje czy na zakupy, spędza w aucie całe setki godzin. Jeśli w tym czasie widzi, że rodzic krzyczy, trąbi, błyska światłami albo z premedytacją łamie przepisy, to ten wzorzec ma wpływ na przyszłe zachowania i jego skorygowanie jest trudne.

Czyli wsiadając do auta jako nastolatek, ktoś często już ma gotowy wzorzec jazdy?

– Może tak być. I dlatego kursy prawa jazdy powinny obejmować również temat agresji na drodze. Bo dopiero tam, często po raz pierwszy, młody człowiek może usłyszeć, że to, co obserwował przez całe życie, wcale nie jest normą. To może być pierwsza okazja do refleksji.

Kluczowa jest świadomość. Musi w ogóle pojawić się myśl: „Co ja właściwie robię?”. Dlaczego trąbię, błyskam światłami, krzyczę do innego kierowcy? Po co? Komu to służy? To są pytania, które trzeba zadać. Bo agresja drogowa tak jak każda inna forma agresji nie znika sama. Trzeba ją nazwać, zrozumieć i nauczyć się jej przeciwdziałać. W domu, na kursie, w przestrzeni publicznej.

Mieszkam w Śródmieściu i codziennie obserwuję agresywne zachowania kierowców, zwłaszcza na przejściach dla pieszych. Gdy nie ma fizycznych ograniczników prędkości, wielu kierowców po prostu nie zwalnia.

– To jest typowe dla całego świata – kierowcy przestrzegają przepisów dopiero wtedy, kiedy nie mają innego wyjścia, gdy pojawia się realne ograniczenie, nie tylko przepis. Próg zwalniający, fotoradar, wąski pas ruchu – wtedy tak. Ale jeśli ograniczenie ma formę znaku drogowego, to często traktowane jest jak sugestia albo w ogóle nie jest zauważone.

To pokazuje, jak ważne są rozwiązania systemowe. Co zrobić z hałasem podrasowanych samochodów, gdy nie ma egzekucji przepisów? Jak policja reaguje na wyścigi uliczne?

Najczęstszą przyczyną wypadków w Polsce jest właśnie zbyt agresywna jazda – przekraczanie prędkości dozwolonej lub jej niedostosowanie do sytuacji.

Istnieją na to proste rozwiązania: znaczące zwiększenie liczby fotoradarów, odbieranie pojazdów, a nie tylko prawa jazdy – ciągle słyszy się w mediach o wypadkach spowodowanych przez osoby, które prawo jazdy już wielokrotnie (!) straciły. Tu nasze państwo w jakichś niezrozumiałych powodów się poddaje. ●



FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jacek Grunt-Mejer

● psycholog społeczny, pełnomocnik prezydenta Warszawy ds. rewitalizacji

Kaczyński woli lemury od pingwinów

Czekam, aż Kaczyński odkryje kolejnych bohaterów współczesnych bajek. I w jego wypowiedziach o genderowym „szaleństwie”, pojawiają się lwy, roboty, smoki czy ogry.



Michał Rusinek

Jarosław Kaczyński od dłuższego już czasu mówi właściwie to samo, ale – trzeba mu to przyznać – mówi to inaczej: za pomocą innych metafor lub stosując inne exempla.

Niedawno, w czasie kongresu Prawa i Sprawiedliwości w Przysusze powiedział: „Nie można zmuszać profesorów, żeby do ewidentnej kobiety zwracali się tak, jakby była mężczyzną albo vice versa. A zdarzają się już, także w Warszawie, przypadki, że jakaś młoda osoba twierdzi, że jest lemurzem i trzeba się do niej zwracać per lemur. Otóż, szanowni państwo, koniec z tym szaleństwem. Tu zacytuję Trumpa: są dwie płcie, kobiety i mężczyźni”. Miesiąc później na spotkaniu w Rzeszowie Kaczyński do exemplów wprowa-

dził nowe zwierzątka: „Już dzisiaj różne młode osoby domagają się w szkole czy na studiach, żeby je nazywać lemurami, wiewiórkami”.

Nie zamierzam komentować merytorycznej strony tych wypowiedzi, ani sztych z wymowy trudnego fonetycznie, zwłaszcza w mianowniku liczby mnogiej i zwłaszcza dla polityków prawicy, słowa „płeć”. Zamierzam natomiast postawić pytanie, które nurtuje nas wszystkich, bez względu na płęć biologiczną czy kulturową: dlaczego akurat lemury? I wiewiórki?

Wiewiór bliski sercu

Stawiam orzechy – a przynajmniej żołędzia – przeciwko dolarom, że prezes PiS odkrył właśnie amerykańskie filmy animowane. Na razie dwa: „Epokę lodowcową” i „Pingwiny z Madagaskaru”.

Jednym z bohaterów „Epoki lodowcowej” jest przecież Wiewiór (Scrat), czyli wiewiórka szablozębna (Pseudotherium argentinus), która, w pogoni za żołędziem, doprowadza do nadejścia tytułowej epoki lodowcowej. Zostaje ona wprawdzie zamrożona w kostce lodu, wraz ze swoim żołędziem, ale 20 tys. lat później się budzi i doprowadza do kolejnej tragedii, to znaczy wybuchu wulkanu na tropikalnej wyspie. Nie ma się zatem co dziwić, że ta z pozoru dobrotliwa, pocieszna i niezdarna postać, tak skupiona na własnym interesie, że nie bacząca na katastrofalne skutki własnych działań, bez względu na epokę,

w której żyje – wydała się bliska sercu Jarosława Kaczyńskiego. Bynajmniej nie jako bohater negatywny.

Lemury są natomiast bohaterami filmu „Pingwiny z Madagaskaru”. Są wyjątkowo irytujące i uciążliwe, niełatwo się z nimi współpracuje. Na ich czele stoi barwna postać: król Julian XIII, lemur katta. Jest władcą samozwańczym. Sprawia wrażenie inteligentnego, ale jest po prostu uparty i arogancki, narcystyczny i egotyczny, kompletnie pozbawiony empatii. Nie znosi sprzeciwu. Nie lubi być dotykany po stopach. Wierzy w „pradawnych bogów”, do których często się odwołuje. Jego szambelanem jest Maurice. Nie jest prawdziwym lemurzem, ale palczakiem madagaskarskim. Jest wiernym poddanym króla Juliana, ale też potrafi nim zręcznie manipulować, dzięki retorycznym zdolnościom.

Jest jeszcze Mort, lemur myszaty. Najgłupszy, najbardziej naiwny i infantylny z lemurów. Ślepo oddany swojemu władcy, wykonuje wszystkie jego polecenia bez mrugnienia okiem. Fanatycznie go wielbi, zwłaszcza – ku utrapieniu króla Juliana – jego stopy, którym od czasu do czasu oddaje cześć. W jednym z odcinków ten wierny lemur zostaje przez pomyłkę intronizowany na króla i doprowadza do katastrofy: inwazji szczurów na zoo. Do intronizacji nie dochodzi wprawdzie w wyniku wyborów powszechnych, z mniejszą lub większą liczbą nieprawidłowości, ale skojarzeń trudno się pozbyć.

Zwłaszcza jeśli jesteśmy wychowani na bajkach Ezopa.

Dlaczego nie wybrał pingwinów?

Jeśli Jarosław Kaczyński odkrył bajki współczesne, to jest wielce prawdopodobne, że interpretuje je właśnie według ezopowego klucza. Fakt, że zapadły mu w pamięć akurat lemury, a nie pingwiny z Madagaskaru wydaje się tu nawet pocieszający.

Owszem, jeden z pingwinów nazywa się Kowalski, ale to zwykła zbieżność nazwisk z rodzimym Kowalskim: pingwin Kowalski jest przecież naukowcem i wynalazcą, skrajnym racjonalistą, nieszcześliwie zakochanym w delfinicy. Słowem: zero podobieństw.

Za to Skipper, dowódca pingwinów, jest militarystą, paranoicznym zwolennikiem teorii spiskowych, nienawidzącym lewactwa (w postaci hippisów). Jest raczej typem maczo niż przebiegłego stratega, bliżej mu więc do nieprzewidywalnego przywódcy państwa zaoceanicznego. Przywódcy, który poglądy na płęć ma podobne, ale metody sprawowania władzy – nieco inne.

Cóż, czekamy, aż Jarosław Kaczyński obejrzy jakieś kolejne filmy dla dzieci. I w jego kolejnych wypowiedziach o tym samym, czyli o genderowym „szaleństwie”, pojawiają się lwy, roboty, smoki czy ogry. Przyznam, że z wypiekami czekam zwłaszcza na ogry i niewysokiego, ale bardzo uciążliwego lorda Farquaada, który na końcu zostaje wreszcie pożarty. W dodatku nie przez typowego bajkowego Smoka, ale przez – ech, ten gender – Smoczącę. ●

„Dyskryminować to my, nie nas”

Prawica mówi: obcych można dyskryminować, swoich nie – więc wrzucanie migrantów do jednego wora jest OK. Ale Polaków?



Marcin Matczak

Proboszcz brutalnie zamordował bezdomnego, co sprowokowało w Polsce dyskusję o migracji. Nie z Watykanu, ale tak ogólnie. Lewa strona zaczęła pytać, dlaczego prawicowi komentatorzy nie podnoszą krzyku i czy gdyby książdz był z Bangladeszu, nie z Tarczyna, też byłoby tak cicho. Ci odpowiedzieli: „Statystyka, głupcze!” – argumentując, że księża zabijają rzadziej niż migranci. Zamiast apeli o „delegalizację Kościoła” zabrzmiały więc uspokajające tony: to incydent, nie można potępiać grupy za winę jednostki.

Poszło więc o odpowiedzialność zbiorową. Ta, jak zbiorowa komunikacja, jest zawsze tańsza, zwłaszcza intelektualnie. A jakie statystyki ją niby uzasadniają? Argumenty prawicy o większej przestępczości wśród migrantów są często konstruowane tak samo jak argumenty lewicy o większej pedofilii wśród księży: w obu przypadkach porównuje się niewła-

ściwe grupy – migrantów z całym społeczeństwem zamiast z młodymi mężczyznami, księży z ogółem zamiast np. z nauczycielami czy trenerami.

Za grzechy rodziców

Dziś argument, że odpowiedzialność zbiorowa narusza godność człowieka, już nie działa – brzmi zbyt abstrakcyjnie. Przestaje nas dziwić myślenie, że dzisiejsi Niemcy odpowiadają za Auschwitz, muzułmanie za II września, a dzieci za grzechy rodziców. Może dlatego, że w czasach powszechnej głupoty trudno się czymkolwiek zgorszyć.

Dopiero gdy odpowiedzialność zbiorowa dotyka nas samych, coś się zmienia – przecież nie wszyscy Polacy kradli auta w Niemczech, tylko niektórzy, i to pewnie ci najbardziej zniemczeni. Zarzut odpowiedzialności zbiorowej działa tylko w jedną stronę – od nas. W drugą już nie. Trochę jak z Azjatami: dla nas wszyscy wyglądają tak samo, ale my dla nich? No nie, my jesteśmy przecież zbyt wyjątkowi.

Ale i w tym statystycznym patriotyzmie coś się przesuwca. Łukasz Warzecha pisze: „Podstawą działania państwa wobec imigracji jest uogólnianie i uwzględnianie statystyki. I odpowiedzialność zbiorowa”. W odpowiedzi na moje pytanie stwierdza, że gdyby Wielka Brytania ograniczyła wjazd wszystkim Polakom z powodu statystyk przestępczości – nie miałby nic przeciwko. Wolność Tomku w swoim domku.

A przecież jeszcze w 2022 roku, krytykując pomysł skasowa-

nia wiz dla Rosjan, pisał na Salon24, że odpowiedzialność zbiorowa to „coś odrażającego i głęboko sprzecznego z zachodnią tożsamością etyczną”. I właśnie tu widać jak na dłoni fałsz zarzutu wobec prawicy, że ksenofobiczna – jak trzeba, potrafi pokochać Ruskiego bardziej niż Polaka.

Dane nie kłamią

Argument o godności już nie działa, trzeba więc inaczej pokazać, dlaczego odpowiedzialność zbiorowa jest zła. Skoro prawica chce opierać politykę migracyjną „wyłącznie na liczbach” – to idźmy tym tropem. Oto kilka propozycji *de lege ferenda* opartych na danych, które przecież nie kłamią:

1. Zakaz adopcji dzieci przez nowych partnerów matek. Ojczymowie częściej krzywdzą dzieci niż ojcowie biologiczni, lepiej więc zawczasu zapobiegać i zakazać patchworkowych rodzin.

2. Obowiązkowy dozór policyjny dla mężczyzn po rozwodzie. Statystycznie częściej sprawcami przemocy domowej są mężczyźni, zwłaszcza po rozpadzie związku. Każdemu rozwodnikowi przydzielmy więc kuratora.

3. Zakaz wynajmu dla młodych mężczyzn. Twarde liczby dowodzą, że to oni najczęściej hałasują nocami i demolują mieszkania. Licz się średnia, a ta mówi, że dwudziestoparoletni mężczyzna to zagrożenie dla mienia i ciszy nocnej.

4. Zakaz samotnych spacerów po zmroku dla facetów. Gwałty zdarzają się głównie nocą i głównie w wykonaniu mężczyzn. Za-

tem godzina policyjna dla wszystkich panów po 20. Lubisz wieczorny jogging – niestety, musisz za czekać do rana.

5. Ograniczenie sprzedaży alkoholi kobietom. W końcu picie w ciąży prowadzi do FAS u dzieci. Niech ekspedientka w sklepie żąda nie tylko dowodów od małoletnich, ale i testu ciążowego od każdej pani, która chce kupić piwo. Statystyka wymaga poświęceń!

I niech powstanie Ministerstwo Statystycznej Sprawiedliwości, które będzie podejrzewać każdego obywatela z definicji, wszak każdy do jakiejś grupy należy.

Godność nie zależy od paszportu

Tu znowu jednak pojawia się argument „dyskryminować to my, nie nas”. Wprawdzie dla prawicy pedofil członek PO to wystarczający dowód na moralną ohydę całej partii, ale już taki Braun nie powoduje, że całość Konfederacji to antysemita i negacjoniści Holocaustu. Jak z tymi twarzami Azjatów – oni wszyscy tacy sami, my wyjątkowi.

Prawica mówi: „obcych można dyskryminować, swoich nie” – więc wrzucanie migrantów do jednego wora jest OK. Ale Polaków?

Co z tego, że godność nie zależy od paszportu – to, jak wiemy, nikogo dziś nie rusza. Może zadziała co innego: jeśli raz zgodzimy się na dyskryminację obcych, to zaraz zacznie się spór, kto tak naprawdę jest „swoją”. A z tym, jak pokazuje historia, bywa różnie.

Jak u Erdogana – najpierw „obcym” staje się Kurd, potem gulenista, a w końcu nauczyciel, dziennikarz i sędzia. Definicja wroga rozszerza się w miarę potrzeby. Nie po to przecież grzebie się w życiorysach, żeby wielu, którzy uznają się za Polaków, z tego błędu kiedyś nie wprowadzić.

Jeden z najbardziej perfidnych antymigracyjnych memów, jaki widziałem, wygląda tak: „Wyobraź sobie miskę pełną M&M’sów. Jeden z nich jest zatruty. Czy zaryzykujesz i zjesz garść?”.

Niby rozsądnie: skoro choć jeden może być niebezpieczny, to najlepiej nie brać żadnego. Umyka kulawej logice prawicy fakt, że M&M’sy są nierozróżnialne oprócz koloru polewy. Nie porozmawiasz z nimi, nie dowiesz się, co w życiu zrobili. Z ludźmi możesz i wydawałoby się, że dumne państwo w środku Europy stać na to, by odróżnić człowieka uczciwego od bandyty. Ale nie – lepiej traktować ludzi jak kolorowe kulki. Bo łatwiej wtedy nie zauważyć, gdy ktoś kilka rozdepcze.

My mamy historię, oni – statystykę. My to złożone osobowości, oni – tabelka przestępczości. My – głębia, oni – wszyscy tak samo płytki. Ich nie znam, więc nie widzę wyjątków. Siebie znam i wiem, że nie jestem jak „wszyscy biali faceci”. Ale czarnoskórzy? Kobiety? Muzułmanie? Wiadomo.

Nie wiem, jaki z tego morał. Może taki, że i ty możesz kiedyś zostać M&M’sem. ●
Śródtytuły w obu felietonach od redakcji

Arkadiusz Gruszczyński

I takim politykiem jak Donald Tusk nie ma mowy o zmianie na stanowisku lidera ani za dwa, ani za pięć lat – mówi mi jeden z posłów młodego pokolenia, z którym rozmawiam we wtorek w Sejmie.

Tego dnia w budynku parlamentu przy ulicy Wiejskiej w Warszawie nie za wiele się dzieje: nie ma posiedzenia Sejmu, Senat zapadł w wakacyjną drzemkę, na sali plenarnej trwa niewielki remont przed zaprzysiężeniem nowego prezydenta. Spokojnie jest też w sejmowej restauracji, której pracownicy niejednemu widzieli. Siedzimy w niej ja i dwóch strażników straży marszałkowskiej. Wziąłem kanapkę, oni tłuste kielbaski i tosty.

Nad talerzem nie rozmawiam o polityce, więc grzecznie dojadam bułkę z szynką, serem i warzywami, za którą zapłaciłem 5 złotych, i tajnym przejściem, po miękkich dywanach, mijając palarnię i wejście do biblioteki sejmowej, wracam do stolików dziennikarskich. Tutaj zawsze kręci się jakiś poseł, którego od razu namierzają reporterki telewizji informacyjnych. Nie mam ze sobą kamery, jedynie dyktafon w telefonie, więc nieraz muszę swoje odczekać. – Ale po co pan drąży i pyta ciągle o te zmiany w Platformie, przecież nikt się nie rzuci do szyi premierowi i nie odbierze mu władzy? – narzeka mój rozmówca.

Drążę, ponieważ Sejm od tygodni huczy od plotek, że nowym premierem i liderem PO ma zostać Radosław Sikorski. – Faktycznie, jego frakcja ostatnio się uaktywniła, ale więcej szabel ma nadal Rafał Trzaskowski, na którego orientuje się młodsza część partii – słyszę od posłanki, która jeździła przez lata na Campus Polska Przyszłości organizowany przez polityczne zaplecze prezydenta Warszawy. Inny polityk opowiada, że Sikorski małymi krokami wzmacnia pozycję wewnątrz partii, ponieważ chce zostać jej kandydatem na prezydenta w 2030 roku.

– Nie ma zamiaru zostać premierem, choć i nasze wewnętrzne badania i okoliczności polityczne mogą nas zmusić do podmiany szefa rządu. Ale tak naprawdę pan redaktor zadaje złe pytanie: chodzi nie o wymianę lidera naszego ugrupowania, tylko o taktyczny ruch, który ocali rząd i da nam ponowne zwycięstwo w 2027 roku – snuje opowieść doświadczony poseł. – Wiem, że w partii rozmawia się coraz częściej na ten temat i z pewną zazdrością spogląda na Prawo i Sprawiedliwość, gdzie niepopularny Jarosław Kaczyński nigdy nie jest twarzą kampanii wyborczych.

To ciekawy kontekst: nie jest przecież nigdzie napisane, że premierem musi być lider największej partii tworzącej rząd. Tusk równie dobrze mógłby wysłać do rządu kogoś innego, a samemu zająć się partią.

To jednak mało prawdopodobny scenariusz z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze: w DNA partii demokratycznych jest łącznie funkcji lidera z kierowaniem pracami rządu. Tusk i jego współpracownicy krytykowali Kaczyńskiego, który chował się za plecami Kazimierza Marcinkiewicza, Beaty Szydło, Andrzeja Dudy, Mateusza Morawieckiego i Karola Nawrockiego, a wcześniej swojego własnego brata Lecha i niechętnie wchodził do rządu. Z dwoma wyjątkami: kiedy musiał ratować partię w 2006 roku oraz po tragicznej śmierci brata w kwietniu 2010, kiedy musiał wystartować na prezydenta.

Tusk nie jest gotowy na takie rozwiązanie, ponieważ wyborcy PO nie zrozumieliby, dlaczego ich lider ucieka od odpowiedzialności. Poza tym w PO nadal jest żywa trauma po rządach koalicji Akcja Wyborcza Solidarność – Unia Wolności, która pod koniec lat 90. działała właśnie w takim układzie: liderem AWS był Marian Krzaklewski, ale premierem został Jerzy Buzek. Żadna z partii tworzącej koalicję 25 lat temu nie weszła ponownie do Sejmu.

A po drugie: Tusk kocha władzę i nie ma zamiaru z nikim się nią dzielić, co pokazują losy silnych polityków o premierowskim formacie i perspektywach. Państwowiec erudyta Jan Maria Rokita, lubiany i szanowany samorządowiec, jeden z „trzech tenorów”, założycieli PO Maciej Płażyński, światowiec dyplomata, ekonomista oraz „tenor” Andrzej Olechowski, wyrazista technokrata przerzucająca mosty między PO i PiS Zyta Gilowska, zahartowany w twardej zakulisowej polityce „żelazny kanclerz” Grzegorz Schetyna – wszyscy albo zostali wypchnięci z PO, albo zmarginalizowani. Bo za bardzo urosli, bo ich frakcje stawały się za duże, bo popularność i rozpoznawalność niebezpiecznie rosły. I wszyscy w partii o nich pamiętają.

W tym kontekście tolerowanie Sikorskiego i jego niezależnej polityki jest zastanawiające. Tak samo jak to, że Tusk pozwolił urosnąć Trzaskowskiemu oraz że

Kto zastąpi Tuska

DONALD *forever*

Platforma już dojrzała do zmiany lidera.
Ale lider nigdzie się nie wybiera



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

nie ma kontroli nad dużą frakcją popierającą Marcina Kierwińskiego, czyli warszawskiego barona PO, a jednocześnie wpływowego ministra spraw wewnętrznych i administracji.

– Nie rozumiem pańskiego zdziwienia. To nie jest Platforma sprzed 10 czy 15 lat. Dzisiaj premier musi dbać o wszystkie frakcje, odpowiednio je wynagradzać, ale też nie dopuścić, żeby za bardzo urosły. Dzisiaj nie ma mowy o eliminowaniu przeciwników – unosi się poseł z zachodu Polski. – Proszę zobaczyć, jak Tusk postąpił z ludźmi Trzaskowskiego w rządzie. Wyleciał tylko Sławomir Nitras, a Barbara Nowacka i Cezary Tomczyk utrzymali stanowiska. A część publicystów twierdziła, że premier wszystkich ich wyaczył. Przecież to byłoby niepoważne.

Pytanie więc brzmi: czy Donald Tusk namaścił już delfina?

Z kilkunastu rozmów, jakie przeprowadziłem w ostatnich tygodniach z politykami i polityczkami Koalicji Obywatelskiej – z posłami i ministrami, ale też z lokalnymi działaczami i partyjnymi technokratami – wynika, że część partii zaczyna się orientować na ministra spraw zagranicznych, a inna na prezydenta Warszawy. Wielu potwierdza moją obserwację, że sytuacja w KO jest niecodzienna. Partia z tygodnia na tydzień odsuwa się mentalnie od premiera, a jednocześnie żaden z potencjalnych liderów i następców Tuska nie uruchamia procesu, który mógłby mu dać władzę. Prowadzona jest gra, której reguły na pierwszy rzut oka są mało zrozumiałe.

Zanim wyjaśnię, dlaczego tak się dzieje, musimy spojrzeć na trzy sprawy: na historię sukcesji w partiach; na to, jak w PiS oraz w Nowej Lewicy przebie-

ga dzisiaj ten proces; oraz na szanse Sikorskiego i wady Trzaskowskiego.

PO założyli w 2001 roku wspólnie Tusk, który właśnie przegrał walkę o władzę we współrządzącej Unii Wolności, ekonomista i dyplomata, były szef MSZ Andrzej Olechowski oraz marszałek Sejmu, wcześniej ceniony wojewoda gdański Maciej Płażyński. Po paru latach dwaj ostatni odeszli z własnej partii i tak naprawdę aż do 2014 roku w PO nigdy nie doszło do zmiany władzy. Dopiero gdy 11 lat temu Tusk został Przewodniczącym Rady Europejskiej, przeprowadził się do Brukseli, a stery partii oddał Ewie Kopacz. Publicyści, a wraz z nimi opinia publiczna, nie zaakceptowali nowej premier; po szokującym triumfie PiS w 2015 roku komentowano, że Tusk wybrał następczynię bez charyzmy i wpływów, bo wołał oddać kraj Kaczyńskiemu niż kontrolę nad partią.

Ale to czysty prezentyzm. Tusk nie mógł dokonać innego wyboru. Kopacz była jego najbliższą współpracowniczką, miała wizerunek dzielnej i skutecznej lekarki oraz skutecznej polityczki, która nie ulega doraźnej presji – jak wtedy, gdy jako ministra zdrowia jako jedyna w Unii nie kupiła szczepionek na świńską gripę, które okazały się nie pewne, spóźnione i w sumie zbędne. A jako szefowa rządu tak naprawdę doskonale wyczulią zmieniające się emocje społeczne.

Kopacz – o czym nikt nie chce pamiętać, bo historię piszą zwycięzcy oraz mężczyźni – zaproponowała pierwszy poważny transfer socjalny, który trafił do rodzin. To jej rząd wprowadził słynne „kosiniakowe”, czyli tysiąc złotych miesięcznie przez rok dla rodziców, którzy nie mogą liczyć na zasiłek macierzyński. Ewa Kopacz zapowiadała zwiększenie wydatków na obronność, budowę żłobków, darmowe podręczniki dla dzieci, zakładanie dziennych domów opieki dla seniorów oraz przyzakładowych przedszkoli, inwestycje w kolej. Słowem: ponoć słaba i reaktywna zmienniczka Tuska zdawała sobie sprawę, że społeczeństwo w 2014 roku oczekuje od rządu podzielenia się środkami i prowadzanie twardej polityki obronnej. Chciała zrobić to, co rok później precyzyjnie przeprowadził nowy rząd Beaty Szydło, utrwalając na lata dominację PiS, a przy okazji mit o przenikliwości Kaczyńskiego.

Tu jeszcze jeden szczegół: Tusk wiedział, że Polacy chcą widzieć w fotelu premiera kobietę.

Tyle że Kopacz koncertowo przegrała wybory z Prawem i Sprawiedliwością. Co nie było do końca jej winą, ponieważ Polacy oczekiwali zmiany władzy, PO po ośmiu latach była zużyta partią, a młody, sympatyczny, obyty i swojski jednocześnie Andrzej Duda naprawdę oczarował znaczną część wyborców. I mało kto się spodziewał, że PiS, by utrzymać władzę, zacznie jawnie łamać prawo, że aż tak zapędzi się w bogoojczyzniany i obyczajowy prawicowy radykalizm.

Po władzę w największej partii opozycyjnej sięgnął były szef MSWiA Grzegorz Schetyna, dawny wierny druh i prawa ręka Tuska, później kreowany na jego rywala, który doprowadził do jednego, dużego zwycięstwa: w 2019 roku Koalicja Obywatelska przejęła władzę w Senacie, a Schetyna wypromował Trzaskowskiego, który został prezydentem Warszawy. Po czym na początku 2020 roku partię przejął uprzejmy prawnik z doświadczeniem w strukturach Borys Budka, który przy pomocy frakcji Kierwińskiego pokonał pozostałych kandydatów na fotel lidera partii.

Kopacz, Schetynę i Budkę łączyło jedno: byli kompetentni i utalentowani, rozumieli trendy i mieli pomysły, ale brakowało im charyzmy politycznej. Nie potrafili opowiadać o polityce, która wpływa na życie każdego człowieka, nie odczytywali nastrojów społecznych. Zrobił to dopiero Tusk, kiedy wrócił w 2022 roku do Polski.

Zwracam uwagę na ten szczegół: żaden z przejściowych liderów PO nie obalił Tuska, nie dokonał ojcobójstwa, nie zbudował własnej pozycji na sprzeciwie wobec ekspremiera. PO pod tym względem przypomina PiS, gdzie – przy wszystkich różnicach – nikt na poważnie nie myśli o zmianie lidera, choć cały klub parlamentarny oprócz Mariusza Błaszczaka – przekonanego, że Kaczyński go namaścił, gdy wier nie i dyspozycyjnie kierował resortem obrony – wdziałby na tym stanowisku „polskiego J.D. Vance’a”, czyli Przemysława Czarnka.

Zupełnie inna sytuacja jest w Nowej Lewicy, gdzie pozycja Włodzimierza Czarzastego jest niezagrażona, choć partią chciałaby już teraz pokierować Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Marszałek Sejmu musiał więc objechać wszystkie wojewódzkie struktury partii i policzyć szable. Policzył, jesienią wygra wybory na przewodniczącego Nowej Lewicy.

Spójrzmy więc na dwóch polityków, którzy ponoć mają największe szanse na przejęcie władzy w KO w najbliższych latach. Tu zastrzeżenie: nie namawiam do wymiany premiera, który dostał w 2023 roku silny mandat społeczny do tworzenia rządu i powinien dokończyć swoją misję. Piszę o atmosferze, jaka panuje w największej partii tworzącej koalicję.

Sikorski wygląda na idealnego kandydata na premiera w czasach kryzysu: jest człowiekiem międzynarodowego sukcesu, ale o korzeniach na zwykłym blokowisku, ma konserwatywny rodowód, choć opowiada się za związkami partnerskimi i aborcją do 12. tygodnia, prowadzi stanowczą politykę zagraniczną, demonstrując światowe obycie i koneksje od Waszyngtonu po Londyn, a jednocześnie potrafi zorganizować nieformalne spotkanie przy piwie ze Sławomirem Mentzenem, liderem Konfederacji. A jednak mimo wielkich ambicji, talentów i sprytu, nie został kandydatem KO na prezydenta, przegrał prawybo-

Wszyscy w PO pamiętają, co spotkało Rokitę, Olechowskiego, Schetynę. To, że Tusk toleruje niezależnego Sikorskiego, że pozwolił urosnąć Trzaskowskiemu, że nie ma kontroli nad dużą frakcją Marcina Kierwińskiego, warszawskiego barona PO i szefa MSWiA, jest zastanawiające

ry z Rafałem Trzaskowskim. Przez wiele miesięcy siedział cicho w MSZ, po porażce Trzaskowskiego nadal się nie wychylał, choć do premiera doszły słuchy, że buduje pozycję wewnątrz partii i szykuje się na przejęcie władzy.

– Radek ma jeden poważny problem: nie ma dużej frakcji wewnątrz partii, popiera go kilkunastu posłów. Poza tym to wszystko, co dzieje się ostatnio wokół Sikorskiego, jest konsultowane z premierem, który wysłał do elektoratu jasny komunikat: wskazuję wam delfina, gdyby mi się przez chwilę zrobiło słabo – mówi mi w kuluarach sejmowych niezwykle doświadczony poseł, w PO od lat. – Ale bez obaw: ani Sikorski nie ma charakteru politycznego zabójcy, ani Donald nie szuka następcy. Powiem to brutalnie: następcą Donalda będzie Donald.

Skoro nie Sikorski, to może Trzaskowski? Rozmawiałem ostatnio z młodym radnym ze wschodu kraju, który wpadł do Warszawy na imprezę z partyjnymi kolegami. Zapytałem go, kto mógłby liczyć na głosy młodych działaczy KO, jeśli doszłoby do wyborów nowego lidera. – To oczywiste: my byśmy zagłosowali na Rafała, ponieważ mówi liberalnym językiem, rozumie współczesność, łapie kontakt z ludźmi, jest z nami od wielu lat – odpowiadał radny i pojechał Uberem na mocno zakrapianą imprezę.

To samo pytanie zadają kilku bardziej doświadczonym politykom. I słyszę jedno zastrzeżenie: – Rafał mógłby w każdej chwili sięgnąć po władzę w partii, ale musiałby się wziąć do roboty i zająć się dużą polityką, zamiast zajmować się rozkładem jazdy tramwajów w Warszawie.

Trzaskowski ma wiele zalet, o których opowiadają jego współpracownicy – traktuje porządnie ludzi, nie krzyczy, słucha argumentów, jest czytany, wie, co dzieje się na świecie, jest rozpoznawalny i dobrze przygotowany do pracy w rządzie – ale jednocześnie litania zastrzeżeń do jego charakteru jest długa. Prezydent Warszawy nie wykorzystuje politycznych szans, ufa bezgranicznie przyjaciółom, którzy nie zawsze mają dobre pomysły, nie buduje dobrych relacji z całą partią, skupia się tylko na Warszawie. – Rafał ma też inny problem: jest dobrze wychowany i nie rozpocznie procesu wymiany lidera – dodają moi rozmówcy.

Tak naprawdę ani Sikorski, ani Trzaskowski – o ile na serio zastanawiają się nad przejęciem władzy – nie wyciągają wniosków z politycznej drogi Tuska, który w 2001 roku porzucił najbardziej zasłużoną partię III RP, w różnych odsłonach współrządzącą w zasadzie od przełomu 1989 roku, założył własny polityczny start-up, bez kompleksów wszedł do Sejmu, a legendy „Solidarności”, wielkie nazwiska, autorytety moralne zostawił na politycznym bruku. W tamtym czasie szlachetny Jan Lityński, jeden z nielicznych szanowanych przez wszystkie polityczne opcje legendarnych peerelowskich opozycjonistów, na tyle nie ufał Tusko wi, że w wyborach prezydenckich głosował na Lecha Kaczyńskiego, tak samo zresztą jak Tadeusz Mazowiecki, pierwszy premier wolnej Polski.

Tymczasem dzisiaj w PO/KO, odpowiedniku ROAD/Unii Demokratycznej/Unii Wolności, nikt nie

myśli o buncie, nie ma przecieków o zakładaniu nowego ugrupowania, nie ma kularowych dyskusji o politycznej zdradzie.

Dziwną grą o tron na pół gwizdka tłumaczy siła, którą nadal dysponuje Donald Tusk. Nikt nie chce pozbawić go władzy, ponieważ – jak mówi mi jeden z posłów – w KO nie ma ani jednego polityka, który równałby się z nim doświadczeniem, sprytem i charyzmą.

Przypomina to wszystko serial „Sukcesja”, gdzie nestor potężnego biznesowego rodu jednego dnia daje nieco władzy jednemu dziecku (Trzaskowski kandyduje na prezydenta kraju), innego dnia zaczyna sprzyjać drugiemu (Sikorski zostaje wicepremierem), a na końcu zaprasza do gabinetu trzecie dziecko i opowiada, że ostatecznie bez niego wszystko się rozpadnie.

O tym, że nowym premierem po 2027 roku – o ile KO wygra wybory – zostanie Adam Szlapka, słyszę od dwóch osób z różnych frakcji, które się nie znają. Rzecznik rządu i były minister do spraw europejskich miał usłyszeć to osobiście od Tuska. Szlapka w rozmowie ze mną zaprzecza, twierdzi, że nigdy nie doszło do takiej rozmowy, choć nie jest tajemnicą, że premier mocno inwestuje w swojego rzecznika.

Kiedy Szlapka nim został, serwisy społecznościowe i fora poważnych gazet i portali zalały krytyczne komentarze: pozbawiony ikry, od zawsze w „aktywie”, partyjny funkcjonariusz... Ale posłowie, ministrowie i dziennikarze wypowiadają się o nim znacznie pozytywniej, świadomi, że dostał niewdzięczne zadanie budowy od podstaw komunikacji niepopularnego rządu. A premier, który przecież ma nosa do ludzi, wszędzie go ze sobą zabiera: Szlapka towarzyszy Tusкови w podróżach zagranicznych, w posiedzeniach rządu, na spotkaniach z koalicjantami. – I gdybym miał intuicyjnie odpowiedzieć na pytanie, kogo szuka Tusk wśród polityków, to właśnie kogoś takiego jak Adam. Czyli pracowitych, rozpoznawalnych, stanowczych ludzi – twierdzi jeden z moich rozmówców z kancelarii premiera.

W koalicji się śmieją, że tak naprawdę po rekonstrukcji już nastąpiła wymiana premiera, ponieważ za bieżącą pracę rządu odpowiada od ubiegłego piątku Maciej Berek, który został ministrem kontrolującym ministrów.

Mniejsi koalicjanci jak to mniejsi koalicjanci: trochę szydzą, ale coś w tym jest. Berek to idealny minipremier albo premier techniczny. Nikt szerzej go nie kojarzy, ale nie dlatego, że się nie wykazał, przeciwnie – wykazywał się, lecz na nieeksploatowanym, ale ważnym zapleczu. Karierę zaczynał w Kancelarii Sejmu, potem pracował w Najwyższej Izbie Kontroli, za pierwszego rządu Tuska trafił do Rządowego Centrum Legislacji. Za Kopacz wygrał konkurs na polskiego przedstawiciela w Europejskim Trybunale Obrachunkowym, jednak Szydło unieważniła wyniki i wysłała w miejsce Berka Janusza Wojciechowskiego, niegdyś ważnego PSL-owca cieszącego się opinią niekoniecznie kompetentnego, ale wiernego. A Berek, urzędnik z krwi i kości, państwowiec, poszedł pracować w Senacie i w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich

– Premier będzie mógł się skupić na tym, co go naprawdę interesuje, a więc na polityce międzynarodowej i objeździe kraju, a ministrów będzie nadzorował Berek. W końcu będzie wszystko jasne i będziemy wiedzieć, do kogo chodzić z pomysłami i problemami – mówi mi jeden z polityków lewicy.

A partia? – Potrzebujemy nowego otwarcia i czegoś więcej niż atakowanie partii Kaczyńskiego. Ale te wszystkie plotki o tym, że Sikorski zamierza przejąć partię, są nieprawdziwe z prostego powodu: tylko Tusk jest w stanie wygrać w bezpośrednim starciu z Kaczyńskim. Koalicja Obywatelska nie będzie eksperymentowała z wymianą lidera na dwa lata przed wyborami parlamentarnymi – zapewnia mój rozmówca europoseł. – Na tyle, na ile znam premiera, znacznie się nad tym zastanawiać po następnych wyborach. Poza tym musi pan wiedzieć, że kiedy tylko zaczyna się kampania wyborcza, Donald dostaje nie spotykanej energii, chce walczyć, spotykać się z ludźmi, to mu daje siły. To już się zaczyna powoli dziać.

Polska polityka po raz kolejny okazuje się paradoksalna: wyborcy drugi raz z rzędu wybrali na urząd prezydenta młodego polityka, wszyscy narzekają na starych, ponoć coraz bardziej odklejonych liderów i z nadzieją lub strachem wyglądają świeżej krwi, ostatnio w postaci Sławomira Mentzena.

A największe poparcie w sondażach mają partie, którymi kierując doświadczeni politycy w okolicy 70. roku życia. ●

Co kto zepsuł w państwie i czy da się to naprawić

Rząd jest nagi

A ludzie wściekli. Bo ktoś w Koalicji Obywatelskiej obiecał za dużo i wyjaśnił za mało.

Wielowieyska



Czas najwyższy, aby powiedzieć obecnemu rządowi: król jest nagi.

Weźmy media publiczne. Przez blisko dwa lata nie powstała ustawa medialna, która w trwały sposób separowałaby je od wpływów polityków. Wciąż mamy układ, w którym urzędnik czy polityk może wyrzucić przez telefon władze telewizji i radia. Nie mam złudzeń, że możliwa jest pełna niezależność publicznej telewizji, zresztą to własność państwowa, więc politycy z demokratycznym mandatem mają tu prawo głosu. Ale potrzebujemy bufora między rządem a mediami publicznymi, aby dziennikarze nie wisieli na lasce partyjnej, która na pstryk koniu jedzie. Mimo obietnic KO nic z tym nie zrobiła.

TVP jest wciąż w likwidacji, a likwidatorem jest Daniel Gorgosz, którego podejrzewa się – według portalu Gonic – o nielegalny dyplom. Gorgosz zaprzecza, ale sprawa nie została jednoznacznie przecięta przez prokuraturę. Kondycja finansowa mediów publicznych jest słaba i nieuregulowana, bardzo utrudnia planowanie cze-
gokolwiek, a akurat TVP i Polskie Radio mają udział we wspieraniu polskiej kultury. TVP Info ma bardzo słabą oglądalność.

W czasie kampanii wyborczej politycy obozu władzy wydzwaniali do ludzi TVP, żądając rozmaitych rzeczy, w tym wyemitowania wywiadu z Jackiem Murańskim, mitomanem, którego wiarygodność jest bardzo niska, ale miał tę zaletę, że ostro zaatakował Karola Nawrockiego. Po czymś takim osoby decyzyjne na Woronicza i Placu Powstańców powinny podać się na tych miast do dymisji.

A w końcówce kampanii na antenie było widać desperackie promowanie Rafała Trzaskowskiego kosztem Nawrockiego.

Tłumaczenie się, że uporządkowanie mediów nie było możliwe, bo prezydent Andrzej Duda by je zablokował wetem, jest funta kłaków warte. Już jakiś czas temu koalicja rządząca wyrzuciła ze względu na konflikt interesów z Rady Mediów Narodowych Krzysztofa Czabańskiego. W miejsce niesławnego czyściciela w radiu z początku lat 2000, za rządów „pierwszego PiS”, wstawiła swojego człowieka, Wojciecha Króla z KO.

Tym samym ma większość w instytucji, która – wedle obecnego stanu prawnego – odpowiada za powoływanie władz mediów. Ta Rada mogła zorganizować uczciwe, transparentne konkursy, tak, aby opinia publiczna mogła poznać koncepcje, pomysły i merytoryczne przygotowanie kandydatów. Taki prezes TVP miałby wtedy silniejszą pozycję. Nic takiego się nie stało.

Ale tu potrzebne jest ważne zastrzeżenie: twierdzenia, że obecna TVP czy Polskie Radio są takie, jak te-

lewizja Jacka Kurskiego, tylko à rebours, jest bzdurą. Programy i audycje nie mają charakteru propagandowego, wiele ma wysoki poziom, serwis informacyjny jest dobry, a przechyły w partyjnym interesie KO są, ale nie są normą.

Niemniej świetni i profesjonalni dziennikarze i wydawcy potrzebują ochrony przed zakusami polityków, którzy chcą wydawać polecenia, kto ma gościć, a kto nie w programach publicystycznych. Bo dziś nadal minister kultury może w każdej chwili wyrzucić ludzi zarządzających tymi mediami.

Ten stan rzeczy jest efektem decyzji najbliższego otoczenia premiera Donalda Tuska, któremu odpowiada ta słabość. Każdemu politykowi z trudem przychodzi rezygnacja z wpływów medialnych – i tym panom też. Koalicji Obywatelskiej wydawało się, że ten układ pomoże wygrać wybory prezydenckie. Nie pomógł.

I teraz w takiej sytuacji europoseł Bartłomiej Sienkiewicz, były minister kultury współodpowiedzialny za tę de-
grengoladę, przeprowadza w Polsce miazdzącą krytykę odchodzącego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara.

Słyszę zachwyty nad jego działaniami jako ministra: odbił TVP z rąk PiS! Tyle że można to było zrobić w zupełnie inny sposób. Pod koniec 2023 roku minister Sienkiewicz stwierdził, że jako reprezentant skarbu państwa może zmienić władze TVP. To bardzo zły obyczaj. I ryzykowny. Od strony prawnej operacja była bardzo naciągana, Sienkiewicz był bliski klęski, mogło się zdarzyć, że nowa rada nadzorcza czy zarząd nie zostaną wpisani do Krajowego Rejestru Sądowego. Skórę zaufanego współpracownika Tuska uratował mimowolnie prezydent Duda, wetując przepisy przyznające TVP pieniądze z budżetu, dzięki czemu Sienkiewicz zyskał pretekst do postawienia TVP w stan likwidacji.

A przecież można było wyprowadzić ludzi Kaczyńskiego z mediów na dwa inne sposoby: przez Radę Mediów Narodowych i wcześniejsze wyrzucenie z niej Czabańskiego albo przez przywrócenie Janusza Daszczynskiego na stanowisko prezesa TVP, bo PiS po przejęciu władzy usunął go z zarządu bezprawnie. W obu przypadkach telewizja i radio zyskałyby stabilne finansowanie. Nie byłoby cyrku z wyłączaniem sygnału, siłowym wejściem na Woronicza, co niosło bardzo złe skojarzenia – z brutalnymi działaniami ludzi Jacka Kurskiego i ze stanem wojennym. To dzięki tej operacji Sienkiewicza zbudowała się z dnia na dzień TV Republika Tomasza Sakiewicza. Zapewne część widzów i tak by do jakichś prawicowych kanałów odpłynęła, ale na mniejszą skalę. Tak, twardy elektorat KO był zachwycony, lecz twardy elektorat KO nie wystarcza do tego, by wygrać wybory. Więcej, pewnie posunięcia mogą mobilizować wyborców drugiej strony.

Podsumowując: albo mieliśmy do czynienia ze skrajną nieudolnością, albo z cynicznym założeniem, że ten sposób przejęcia TVP pozwoli na ręczne sterowanie.

A teraz Sienkiewicz, choć tak zawalił sprawę, krytykuje kolegę ministra, który mimo bardzo trudnych warunków wymienił władze prokuratury, znajdując odpowiednią furtkę prawną. Dzięki któremu toczą się śledztwa w sprawie PiS-owskich afer i są już pierwsze akty oskarżenia.

Bodnara wielu antypisowskich „ultrasów” oskarżało o słabość i niezdecydowanie – ale gdyby poszedł „na rympał”, PiS bardzo szybko odbudowałby swoje notowania do 40 procent.

Bodnar w zasadzie jest ofiarą retoryki KO z kampanii wyborczej. Wmówiono wyborcom, że cała wierchuszka PiS raz-dwa znajdzie się w areszcie, a wcześniej zostanie pozbawiona wszelkich stanowisk. Ludzie w to



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

Jeśli ktoś myśli, że już jutro Żurek sprawi, że Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro, Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki znajdą się za kratami albo przed Trybunałem Stanu, to się srogo rozczaruje

uwierzyli i są wściekli: no i co? Ziobro, Macierewicz, Obajtek, sam Kaczyński chodzą na wolność? Na nic były tłumaczenia, w tym moje, że na przykład wyrzucenie Adama Glapińskiego z NBP jest nierealne – bo przecież w kampanii sam Tusk to obiecał!

Elita PiS miała też stanąć, słyszeliśmy nie raz, przed Trybunałem Stanu. Póki co czeka to tylko szefa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Macieja Świrskiego, który rażąco łamał prawo – i którego osądzić pozwalają przepisy. Innych – w świetle obowiązującego prawa – zapewne nie uda się w najbliższym czasie postawić przed Trybunałem Stanu.

Wśród nazwisk do pociągnięcia przed TS nie raz wymieniano Glapińskiego. Ale gdy przyłożyć ucho do sejmowej komisji odpowiedzialności konstytucyjnej, to można usłyszeć, że nie ma twardych podstaw do jego ukarania. Owszem, krytyka jest uzasadniona, prezes NBP popełniał błędy i upolitycznił ten urząd, ale od uzasadnionej krytyki do Trybunału Stanu daleka droga.

Czas, Koalicjo Obywatelska i ministrowie Sienkiewicz, powiedzieć to ludziom otwartym tekstem: wasze zapowiedzi z kampanii były na wyrost.

Praworządności nie przywraca się za pomocą bezprawia. A główny zarzut wobec Bodnara jest taki, że zbyt restrykcyjnie przestrzegał prawa.

Niestety, ktoś wyborcom KO zapomniał powiedzieć, że w praworządnym państwie trzeba przeprowadzić śledztwo, zebrać dowody, postawić zarzuty, napisać akt oskarżenia, który potem obroni się w sądzie. Areszt zaś nie jest karą, lecz zabezpieczeniem postępowania prokuratury, ma trwać jak najkrócej – nie tak, jak za PiS, gdy „areszty wydobywcze” służyły wywieraniu presji, pacyfikowaniu, zastraszaniu.

Praworządną postawę właśnie zademonstrował sędzia Igor Tuleya – sam będący słynną ofiarą zbrojstowskich czystek i prześladowań w wymiarze sprawiedliwości – który nie zgodził się ostatnio na przedłużenie aresztu dla jednego z bohaterów głośnej wielomilionowej afery Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, dotyczącej otoczenia premiera Morawieckiego.

KO jest ofiarą swojej retoryki także w innej sprawie – liczenia głosów. Najpierw nakręcała oczekiwania, że może wynik wyborów prezydenckich jest inny, a potem w Pabianicach w ostatnią sobotę sam Tusk musiał wyklócać się ze swoimi zwolennikami, że nie ma takiej opcji, aby prokuratura i policja liczyły głosy i tłumaczyć, że zwycięzca wyborów już się nie zmieni. Ludzie byli wściekli. Nic dziwnego, że Koalicja Obywatelska zjechała w sondażach o kilka punktów procentowych. Nie wykłuczam, że się odbuduje, ale na razie efekty operacji propagandowych tej ekipy są, jakie są.

Czy Bodnar i jego podwładni popełniali błędy? Tak. Czy można było przyspieszyć pewne procesy? Tak, ale wtedy sądzono, że gdy Rafał Trzaskowski wygra wybory, wszystko da się uporządkować „po bożemu”, czyli uchwalając stosowne ustawy.

Nowy minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, za PiS ofiara prześladowań sędziów i obrońca niezależnego sądownictwa, może dać nowy napęd. Bodnar był dobry na pierwsze dwa lata, szukał kompromisu w sprawie wymiaru sprawiedliwości i neo-sędziów. Lecz Duda i jego bliska przyjaciółka z Sądu Najwyższego, Małgorzata Manowska, kompromisu nie chcieli – więc dziś jest czas na Żurka, który na nowo musi ustawić strategię, z pełną świadomością, że na porozumienie z Pałacem Prezydenckim nie ma szans.

Na twarde rozwiązania trzeba postawić teraz, by opanować chaos. A rząd ma w ręku wiele instrumentów: przede wszystkim zmieni się skład Krajowej Rady Sądownictwa i koalicja będzie mogła obsadzić do końca kadencji dziewięć miejsc w Trybunale Konstytucyjnym. Lecz jeśli ktoś myśli, że już jutro Żurek sprawi, że Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro, Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki znajdą się za kratami albo przed Trybunałem Stanu, to się srogo rozczaruje. ●

Dominika Wielowieyska

Tajemniczy pan Braun

JESTEŚCIE GROMADKĄ EUNUCHÓW!



Człowiek Moskwy
czy Izraela? I co w tym
robi Kaczyński?
Na prawo od prawicy
klóć się o Brauna

Piotr Głuchowski

Ldaniem członków niewielkiej, ale rosnącej Konfederacji Korony Polskiej pod wodzą europośla i reżysera filmów dokumentalnych Grzegorza Brauna „główną” Konfederację Wolność i Niepodległość właśnie wziął na smycz Jarosław Kaczyński. „Ugrupowanie Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena dotknęła choroba, którą nazywam rakiem wipleryzacji. To coś w rodzaju wrogiego przejęcia przez PiS. Cała doktryna neo-Konfederacji sprowadza się do tego, by w przyszłym parlamencie zrobić z Kaczyńskim koalicję i zająć jakieś stanowiska rządowe” – mówił niedawno dziennikarzom warszawski adwokat Jacek Wilk. Od niedawna w Koronie, dziesięć lat temu był posłem Kukiz’15 i kandydatem na prezydenta (zajął dziesiąte miejsce), pięć lat temu opublikował broszurę „Jak zrzuć kaganiec? Obrona przed mandatami za brak maseczki”. Określenie „wipleryzacja” Wilk wziął od nazwiska Przemysława Wiplera, również prawnika, niegdyś wpływowego posła PiS, obecnie w Nowej Nadziei Mentzena, którego był mentorem. Nowa Nadzieja wraz z Ruchem Narodowym Bosaka tworzy koalicję KWiN. Zdaniem jej polityków koroniarze to z kolei „ruskie onuce”: – Weźmy choćby

udział Grzegorza Brauna w inspirowanych z Moskwy „pokojoych” manifestacjach – mówi mi sam Wipler. Niedoszły prezydent Warszawy, a dziś konfederacki poseł z Torunia nawiązuje do wieców i marszów „przeciwko ukrainizacji Polski”, na których Braun występował u boku Rodaków Kamratów pod dowództwem siedzącego obecnie w areszcie patostreamera, dawnego aktora Wojciecha Olszańskiego. Demonstracyjnie ścigano ukraińskie flagi, machano trójkolorowymi rosyjskimi i przeklinano USA. W czerwcu 2022 r. Braun odczytał pod kolumną Zygmunta „Apel o pokój w Europie Środkowej”, gdzie przedstawił Ukrainę i NATO jako agresora, a Kreml jako ofiarę. – A jak pan się odniesie do zarzutu ze strony Korony, że sprzedajecie Konfederację Kaczyńskiemu? – pytam Wiplera. – Nie jestem tajnym agentem PiS. Wręcz przeciwnie: mówiłem już publicznie, że wyobrażam sobie zarówno przyszłą koalicję Konfederacji z Platformą, jak i z przeciwną stroną. W obu przypadkach są oczywiście olbrzymie negatywy. Po moich słowach prezes PiS napiętnował tych członków Konfederacji, którzy nie wykluczają koalicji z PO. A ja nadal jestem za polityką równego dystansu – nie damy się przytulić ani Tusкови, ani Kaczyńskiemu. Nie będzie żadnych brudnych koalicji. – Sądziłem, że przyszłe rządy PiS-Konfederacja są już przesądzone.

– Owszem, możemy tworzyć taki rząd, choćby i mniejszościowy, ale tylko z premierem z Konfederacji, najprawdopodobniej Sławomirem Mentzenem. Nie zostaniemy przystawką. A apetyty rosną. „Mamy świadomość, że wkrótce będziemy mieli jedną szansę na tysiąc, jeśli chodzi o możliwość wprowadzenia w życie swego programu wyborczego” – stwierdził przed paroma dniami w Polsce śląski poseł KWiN Grzegorz Placzek. „Robimy wszystko, aby być gotowi na moment przejęcia władzy”. – Wspólnie z koroniarzami? – pytam Marcina Sypniewskiego, europośla większej Konfederacji, kolejnego prawnika, mieszkańca wsi pod Bydgoszczą. – Na razie na współpracę z Braunem się nie zanos.

– Jak by pan opisał aktualne relacje między Koroną a KWiN? – to pytanie zadają jako pierwszemu Kamilowi Klimczakowi,

**Kaczyński chce, by Korona
podgrzyzła Konfederację
z prawej, tak jak
Konfederacja podgrzyza PiS**

• **Spotkanie prezydenta Dudy z Komitetem Wyborczym Konfederacja po wyborach do Sejmu w 2023 r. Od lewej: Włodzisław Skalik, posełowie Grzegorz Braun i Krzysztof Bosak, lider Konfederacji Sławomir Mentzen oraz Przemysław Wipler**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

naczelnemu sieciowego serwisu Chrobry Szlak, znawcy konfederackiego uniwersum, znajomemu wielu polityków KWiN i KKP, zwolennikowi Brauna. – W kampanii prezydenckiej Mentzen i pan Grzegorz wystrzegali się konfrontacji, bo ten pierwszy liczył, że drugi skończy z wynikiem 1,5 proc. i problem z dwoma Konfederacjami rozwiąże się sam. Braun pokazał jednak, że głosy na Koronę nie będą zmarnowane, że to ugrupowanie ma szansę przekroczyć próg. Od tego czasu na górze trwa wojna podjazdowa. Jedni się odcinają od drugich. Pierwsze szeregi zachowują jeszcze neutralność, ale są „zagończycy”... – Kto konkretnie? – Moim zdaniem do atakowania Korony zostali oddelegowani posłowie Połubczek i Foltyn, obaj z Nowej Nadziei. **Bronisław Foltyn** z Bielska-Białej, kiedyś restaurator i działacz Unii Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego, jest dziś jednym z 16 posłów KWiN. Koroniarzy ukąsił tuż po tym, gdy ci na początku czerwca z dumą powołali trzyosobowe – najmniej z możliwych – koło parlamentarne zło-

żone z dwóch posłów KKP (Romana Fritza, Włodzimierza Skalika) oraz byłego posła PiS Sławomira Zawisłaka.

Foltyn w serwisie X wypomnił Zawisłakowi jego „wielkie zaangażowanie w proces akcesji Ukrainy do UE i NATO” oraz „głosowanie za ustawą covidową, która wprowadziła absolutny zamordyzm”. Wpis opatrzył zdjęciem przedstawiającym byłego PiS-owca, jak przemawia w Sejmie, mając na ustach maseczkę. To znaczy „szmatę”, która w oczach konfederatów z obu frakcji dyskwalifikuje Zawisłaka prawie tak jak wsparcie dla Kijowa. Tydzień później Foltyn zamieścił ostrzejszy wpis: „Neo-Korona przypomina dwór sultana z Braunem na czele i gromadką wykastrowanych eunuchów przy jego boku”.

Skąd to porównanie? Stąd, że „ani Zawisłak z PiS-u, ani Wilk, ani reszta neo-Korony” nie przyłączyli się do niszczenia wystawy prezentującej w korytarzu sejmowym śląską społeczność LGBT. „Sultan” musiał polamać i podeptać fotogramy sam.

Są i poważniejsze zarzuty – o niesamodzielnosc. Foltyn twierdzi – podpierając się publikacjami korwinowskiego „Najwyższego Czasu!” – że transfer Zawisłaka do partii Brauna był chytrym zagranieniem prezesa PiS, który w ten sposób zyskał kontrolę nad koroniarzami, i to oni zostali wzięci na smycz.

Wedle serwisu nCzasInfo.pl „Jarosław Kaczyński od lat się posługuje takimi metodami”. Swego czasu umieścił w kancelarii Andrzeja Dudy urzędniczkę Małgorzatę Sadurską „i dopiero po dwóch latach prezydent się zorientował, że ma panią Małgorzatę nie dla sprawnego działania kancelarii, tylko żeby prezes Kaczyński wiedział, co się dzieje”.

Obecnie Zawisłak – jak podejrzewają w KWiN – ma być kretem prezesa w Koronie i pilnować, by ta skutecznie podgryzała Konfederację od prawej, skoro już Konfederacja tak samo podgryza PiS.

Drugi „zagonczyk”, Michał Połuboczek, poseł z Suwałk, kiedyś sprzedawał fotowoltaikę za pośrednictwem parafii, by w roku 2024 – jeszcze przed rozłamem w KWiN – objąć parlamentarny mandat po Braunie, który dostał się do Brukseli. Teraz, po rozwodzie, mówi o reżyserze-skandalistach, że ten jest „inspirowany z zagranicy”. I to niekoniecznie z Moskwy, ponieważ – jak stwierdził Połuboczek w Polskim Radiu – „ten kierunek byłby zbyt oczywisty”: – Tymczasem nikt nie gra antysemicką kartą bez wiedzy i zgody rządu Izraela.

Dziennikarz PR24 nie zapytał, jaki interes ma państwo żydowskie w wybrykach Brauna, lecz argumenty krzewicieli tej teorii są znane: naturalnie taki, aby dorabiać Polsce antysemicką gębę.

– I tutaj dochodzimy do najciekawszego – mówi mi Kamil Klimczak. – Otóż w „dużej” Konfederacji plotkuje się po cichu, że Korona jest partią służb, tylko nie do końca wiadomo jakich.

Główne przyczyny tych plotek – zdaniem moich rozmówców – są dwie: dziwne kontakty osobiste Brauna i podejrzana aktywność koroniarzy w sieci.

• Co do pierwszego: w 2018 roku – już po aneksji Krymu i napaści Rosji na Gruzję – Braun polecał po coś do Moskwy. Rzecz by się nie wydała publicznie, gdyby nie wyciekły do sieci wspólne moskiewskie zdjęcia z Leonidem Swiridowem i Agnieszką Piwar.

Swiridow, nim poznał Brauna, był białoruskim korespondentem rosyjskiego 1 Kanału. W 1997 r. przeniósł się do Pra- gi, skąd wydano go z powodu podejrzeń o szpiegostwo. Wyjechał do Polski i wszystko się powtórzyło: nasz resort dyplomacji – na wniosek ABW – odebrał mu w 2015 r. akredytację prasową. W retorsji wydano go z Rosji korespondenta „Wyborczej” Wacława Radziwiłowicza.

Piwar znalazła się z Braunem już wcześniej, gdyż oboje publikowali w kwartalniku „Opcja na Prawo”. W ostatnich la-

tach została współpracowniczką kremlo- wskiego, adresowanego do zagranicy portalu Sputnik, autorką filmu dokumentalnego wychwalającego putinowskich motocyklistów z gangu Nocne Wilki i znajomą prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Jeździła na Białoruś, gdzie przyjmowano ją z honorami: latem 2021 uczestniczyła – jako jedyna dziennikarka z Unii Europejskiej – w mińskiej „Wielkiej rozmowie z prezydentem”.

We wrześniu 2022, trzy miesiące po ogłoszeniu na placu Zamkowym „apelu o pokój”, Braun, który mówi o Polsce jako o „kondominium pod zarządem niemiecko-żydowskim”, pojechał za Odrę, gdzie wziął udział w zlocie nacjonalistów z Alternatywy dla Niemiec (AfD). Zgromadzeni wzywali europejskie rządy do zniesienia sankcji wobec Moskwy. Współorganizatorami imprezy byli Rościsław Teśluk – były oficer rosyjskich sił powietrznych, który w Niemczech zmienił nazwisko na Schlund, Waczesław Seewald – gospodarz internetowego niemieckojęzycznego kanału „Fanklub Władimira Putina”, oraz wreszcie oficer GRU znany pod operacyjnym nazwiskiem Jeremienko. O wszystkim powyższym niejednokrotnie pisał w „Polityce” Grzegorz Rzeczkowski.

Po powrocie Braun zorganizował w Warszawie kilkusetosobową manifestację przeciw ukraińskim „nachodźcom”, którą transmitowali dziennikarze programu pierwszego moskiewskiej telewizji państwowej, a komentowała sama Olga Skabiejewa, ulubienica Putina.

Kamil Klimczak, znajomy wielu polityków KWiN i KKP: Jeżeli wybory się odbędą w ciągu półtora roku, Korona weźmie około dwudziestu mandatów, Konfederacja – osiemdziesiąt, PiS – jakieś dwieście

• Co do drugiej przyczyny plotek: konta, które rozpowszechniają w sieci treści sprzyjające Koronie, istotnie wyglądają podejrzanie. Weźmy pierwszy z brzegu podcast: lipcową rozmowę Brauna ze znanym konserwatywnym dziennikarzem i publicystą Łukaszem Warzechą na kanale tego drugiego. Pod materiałem trzy tysiące niemal jednakowych komentarzy sławiących lidera Korony. „Boże jak ja się z panem Braunem zgadzam” – pisze @jeronimo8513. Wpis lajkuje 150 osób, nikt nie kieruje kciuka w dół. „Brawo panie europośle Grzegorzu Braun!!!” – pisze @meron706, jego wpis „lubi” 910 osób, ani jednego „nie lubię”. „Bardzo szanuję Grzegorza Brauna za odwagę” – pisze @snd7622 i tę opinię propnuje ponad tysiąc osób (znowu niko- go na „nie”). „Grzegorz Michał Braun Wielki, patriotyzm wielki” – pisze @polishsau- sage648 (400 kciuków w górę). „Korona to jedyna prawdziwa Konfederacja” – pisze @buchalter123 (800 polubień).

– To na kilometr śmierdzi jakąś farmą trolli, które się nawzajem lajkują – mówi Michał Szaflarski, specjalista „Wyborczej” od socjal mediów, kierownik działu SEO (zwiększanie widoczności stron internetowych). – Jeżeli wpisy mają po kilkaset lajków, to algorytm będą je podrzucać licznym użytkownikom.

Tego typu konta – puste po kliknięciu i generujące banalne pochwały, które zbierają wyłącznie polubienia – służyły również do promocji Macieja Maciaka, jedynego otwarcie prorosyjskiego kandydata w tegorocznych wyborach prezydenckich.

• Jak by pan opisał aktualne relacje między Koroną a wami? – to samo pytanie kieruję do europosła Marcina Sypniewskiego.

– Najprościej mówiąc: trwa wzajemna obserwacja. Kontakty towarzyskie na razie zamrożone. Przy czym my się zachowujemy spokojnie, a oni wciąż nam wbijają jakieś szpile – opowiada. – Kiedy krytykujemy Brauna, choćby za te ostatnie słowa o Auschwitz, wówczas jesteśmy zdrajcami prawdziwej sprawy konfederackiej. A gdy działamy po myśli Korony – przeciwstawiając się nielegalnej migracji równie głośno jak oni – jesteśmy dla nich nieszczerzy.

– Rzekomo przeszliśmy do centrum, a to nie jest prawda – ciągnie wiceprezes Nowej Nadziei i członek Rady Liderów KWiN. – Przeciwnie: Braun by bardzo chciał naszego zbliżenia z mainstreamem, by móc się prezentować w kontrze jako ostatni sprawiedliwy prawicy, ostatni bastion walki z systemem.

Wipler: – Ja już przed wypowiedziami o Auschwitz byłem za wyrzuceniem Brauna z Konfederacji. Nazajutrz po ekscesie z 12 grudnia głosowałem przeciwko zawieszeniu go w prawach członka klubu poselskiego, bo uważałem, że nie należy zawieszzać, tylko trzeba skreślić. Braun szkodził Konfederacji i bardzo dobrze, że odszedł. My systematycznie rośniemy, a oni siedzą w niszy.

To ostatnie nie jest do końca prawdą, bo szeregi Korony rosną. Członków i aktywistów liczy się już nie w setkach, ale w tysiącach. Braun powołał przewodniczących kilkudziesięciu okręgów w Polsce oraz po jednym w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Nie licząc tak zwanego frontu gaśnicowe-

karpackiej wsi Domostawa pod pomnikiem przedstawiającym noworodka nadszianego na ukraiński tryzub we wnętrzu polskiego orla. Tego monumentu nie chciał u siebie nawet ojciec Tadeusz Rydzik. Media rosyjsko-białoruskie zrelacjonowały domostawską imprezę szeroko i entuzjastycznie.

Co do „słów o Auschwitz” – idzie o zdanie z konserwatywno-narodowego Radia Wnet, gdzie 10 lipca Braun ogłosił, że „żydowski mord rytualny to fakt”, a „komory gazowe Auschwitz to fake”. Gdy podniosło się oburzenie, szefa postanowiła obronić merytorycznie była rzeczniczka KKP Marta Czech, z zawodu gospodyni rol- na. Zrobiła to w połowie lipca na antenie sieciowej telewizji wRealu24. Jej twórca Marcin Rola, kolega Rafała Mossakowskiego, figuruje na liście 25 osób, które ABW wskazała jako potencjalnie groźne w raporcie dla rządowej komisji do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich na bezpieczeństwo RP.

„Oburzenie słowami Grzegorza Brauna tylko wskazuje, że on może mieć rację” – w trakcie całego nagrania Marta Czech ani na chwilę nie przestała się uśmiechać. „W Auschwitz dowody pisemne i rzeczowe, czyli całe budynki tego przedsięwzięcia śmierniczośnego, zostały zburzone, a później zrekonstruowane, więc dowodów nie ma. Ja swego czasu interesowałam się chemią kryminalistyczną pod kątem komór gazowych i zapoznałam się z kilkoma pozycjami rewizjonistycznymi, bo nie nazwa-

go, o którym dalej, otoczył KKP wianuszkiem organizacji parareligijnych i paramilitarnych: od Konfederatów Gietrzwałdzkich (obok siebie między innymi sławna działaczka antyaborcyjna Kaja Godek, judeosceptyk Rafał Mossakowski i znany filozof monarchista profesor Jacek Bartyzel) przez grona strzeleckie „szerzące kulturę posiadania broni” po grupę Bronimy Polskiej Granicy (nie mylić z Ruchem Obrony Granic Roberta Bąkiewicza). Reżyser-polityk ma też młodzieżówkę, której przewodzi student Erwin Trynkus. On i jego koledzy aktywnie promuje partię na Facebooku, X, TikToku i Instagramie.

Co do „ekscesu” z 12 grudnia 2023 r. – chodzi oczywiście spryskanie gaśnicą proszkową żydowskiego lichtarza ustawionego w sejmowym korytarzu z okazji świąt Chanuki. Dało to Braunowi powszechną rozpoznawalność, lecz podobnych incydentów było więcej. Braun prze- rwał warszawski wykład badacza Holocaustu profesora Jana Grabowskiego o zagładzie Żydów, rozbijając mikrofon i głośnik; zniszczył w Krakowie świąteczną choinkę z bombkami w barwach UE i Ukrainy; a w kwietniu tego roku znów znalazł się na ustach wszystkich, gdy w dolnośląskiej Oleśnicy wraz z Romanem Fritzem zaatakował fizycznie lekarzkę Gizelę Jagielską. Uwaga prawicowych hejterów skupiła się na niej, gdy po zaostrzeniu prawa aborcyjnego za rządów PiS otwarcie mówiła, że przerywa ciążę. Niedawno znów znalazła się na celowniku „obrońców życia poczętego” po tym, jak abortowała 9-miesięczny płód niezdolny do życia z powodu wrodzonej lamliwości kości.

W lipcu Braun zdążył jeszcze wziąć udział w upamiętniającym rzeź wołyńską uroczystym apelu, który odbył się w pod-

łabym ich negacjonistycznymi, i te argumenty nie są z palca wyssane. Trzeba więc stanąć w pokorze i stwierdzić, że nie wiemy, jaka była prawda, mamy za mało danych”.

• Jak by pan opisał aktualne relacje między większą Konfederacją a wami? – pytam Rafała Forsyia z Korony. Pracujący w Radomiu technik dentystyczny jest zarazem sadownikiem i organizatorem bezpośredniej sprzedaży płodów z gospodarstw do bagażników klientów. W KKP zajmuje się polityką rolną.

– O tym, która Konfederacja jest większa, zdecydują wkrótce wyborcy – odpowiada hardo.

– Na razie trwa zimna wojna?

– I to nie jest dobre. Mówi się, że w polityce nie ma zaufania, a ja chcę ludziom ufać. Na podwórku radomskim relacje Korony i neo-Konfederacji są chłodne, lecz poprawne. Nie skaczemy sobie do gardel. W ostatnim marszu antyimigranckim szliśmy ramię w ramię. Nie było żadnych wrogich okrzyków.

– Jeżeli PiS stworzy rząd z Konfederacją Bosaka i Mentzena, to do niego wejdziecie?

– Moglibyśmy, jak sądzę. Czemu nie?

Priorytetem jest Polska, a nie emocje pomiędzy politykami prawicy.

– Dla Platformy, Lewicy i Trzeciej Drogi też Polska jest priorytetem...

– ...tylko że oni pod tym hasłem rozumieją niekoniecznie to samo co my. Dla nas liczy się, po pierwsze, odkłamywanie prawdy historycznej na temat narodu polskiego. Czyli trzeba zrobić ekshumację w Jedwabnem i na Wołyniu. Dla dobra przyszłych pokoleń Polaków. Żebyśmy byli szanowani w świecie, co jest waż-

ne z powodów geopolitycznych, bo na-
cjom szanowanym jest łatwiej w wiel-
kiej grze.

- A co dla was jest ważne po drugie?
- Bezpieczeństwo. Zdrowotne, mili-
tarne, żywnościowe...
- Politycy KWiN mówią dokładnie
to samo. Po co więc dwie Konfедера-
cje?

– Nie my zrobiliśmy rozłam. To Bo-
sak z Mentzenem wyrzucili pana Grze-
gorza z konferencji prasowej w Sejmie
po ogłoszeniu terminu wyborów pre-
zydenckich.

– Ponieważ Konfederacja jako ca-
łość miała już kandydata na prezyden-
ta, a Braun nagle wyskoczył jako dru-
gi chętny.

– Tylko że Mentzen nie został kan-
dydatem w efekcie prawyborów, tak
jak kiedyś Bosak. Księgowy z Torunia
wybrał się na kandydata sam. A jesz-
cze w wyborach parlamentarnych
z 2023 r. razem z Bosakiem tak uło-
żyli listy, żeby Korona dostała jak naj-
mniejszą. Dlatego pan Grzegorz miałby
się z tym godzić? Wystartował osobno
i to się okazało strzałem w dziesiątkę.
Zebrał głosy, których Mentzen nigdy by
nie dostał.

- Głosy antysemitów.
- Głosy ideowej prawicy. One zo-
stały przez pana Grzegorza uratowa-
ne. Do najbliższych wyborów, zgodnie
z decyzją ostatniego kongresu Koro-
ny, także pójdziemy osobno. Nie będzie
żadnej KoBry. Będzie za to coraz szer-
szy zjednoczony „front gaśnicowy”.

„Front” to na razie nieformal-
ny ruch judeosceptyków luźno zwią-
zanych z KKP. Są tu członkowie par-
tii Polska Jest Jedna (1,5 proc. w ostat-
nich wyborach parlamentarnych), nie-
dobitki z trzęsących na początku wieku
polską polityką chłopskiej Samoobro-
ny i bogoojczyźnianej Ligi Polskich Ro-
dzin, aktywiści pro-life, antyszczepion-
kowcy oraz czytelnicy książek reżyse-
ra (opublikował ich prawie 20). Wypeł-
niają sale na jego spotkaniach autor-
skich i znoszą swoje gaśnice samocho-
dowe, by złożyć na nich autograf.

Istnieje nawet strona internetowa
Frontgaśnicowy.pl, której twórca od-
mówił mi rozmowy. Można za jej po-
średnictwem kupić kubki, bluzy i ko-
szulki z hasłami: „Tu jest Polska, nie
Polin”, „PolExit”, „Always Antyzionist”,
„Green is new Red”, „Aborcja to zbrod-
nia” oraz „Prawica jest kobietą”. Mo-
tywy graficzne: przekreślona gwiazda
Dawida, menora traktowana gaśnicą,
logo UE z węzłami drutu kolczastego
zamiast gwiazd (bo eurokolchoz). „We-
soły” antysemityzm i eurosceptyzm ta-
nie nie są – kubki kosztują 50 złotych
sztuka, T-shirty od 80 wwyż.

KoBra z kolei miała być wiosną
wspólnym przedsięwzięciem wybor-
czym Korwin-Mikkego i Brauna. Nic
z tego nie wyszło. Jeden poszedł do
wyborów solo, drugi tworzy następ-
ną partię swojego imienia: Konfедера-
cję Odnowy Rzeczypospolitej Wolność
i Niepodległość, czyli KORWiN.

– Którą z konkurencyjnych Konfедера-
cji uznaje pan za prawdziwą spadko-
bierniczą UPR? – pytam byłego prze-
sa honorowego calej „Konfy”.

Unia Polityki Realnej, którą przywo-
luję, pierwsza partia Korwin-Mikkego,
bardzo aktywna w latach 90., przycią-
gała skrajnie liberalnym gospodarczo,
konserwatywnym światopoglądowo,
a jednocześnie wolnościowym progra-
mem tych, którzy nie mogli się odna-
leźć w postsolidarnościowych ugrupo-
waniach centrolewicy i katolicko-naro-
dowej prawicy głównego nurtu.

– Partia Mentzena i Bosaka świado-
mie zesza z pozycji prawicowych na
centrowe w pogoni za głosami – i być
może słusznie. Polska potrzebuje cen-
troprawicy innej niż narodowosocja-
listyczny PiS. Potrzebuje też jednak

prawdziwie ideowej prawicy i tutaj na
placu boju zostali Braun oraz ja.

– Wyborca może dostać oczopła-
su: razem z pańską będziemy już mieli
trzy konfederacje.

– Wbrew pozorom wszystko jest
bardzo proste: Mentzen z Bosakiem
w centrum, Braun na ultrakatolic-
kiej prawicy, a ja na prawicy świeckiej.
Reszta to socjaliści.

●
– Jak by pan opisał aktualne relacje
między Koroną a wami? – ostatni raz
to samo pytanie zadają Krystianowi
Pacholikowi, prezesowi Ruchu Naro-
dowego w Lubuskiem i szefowi klubu
sympatyków KWiN w Gorzowie Wiel-
kopolskim. Absolwent kierunku bez-
pieczeństwo na Uniwersytecie Zielono-
górskim był wcześniej aktywistą Mło-
dzieży Wszechpolskiej i choć urodził
się pół wieku po II wojnie światowej,
działał również w Związku Żołnierzy
Narodowych Sił Zbrojnych.

Pacholik: – Mówiąc językiem kibi-
ców: wielkiej kasy nie ma. Ale brak
również zażyłości... Braun ma fanów
zaciętych, jak ktoś tylko piśnie cokol-
wiek pod adresem neo-Korony – od ra-
zu atakują. Kiedy Łukasz Warzecha
przeprowadził wywiad z naszym lide-
rem Krzysztofem Bosakiem, wyleli na
niego wiadro pomyj.

Znalazłem ten wywiad nayoutu-
be’owym kanale Warzechy. W je-
go rozmowie z szefem RN pada teza,
że Braun prowadzi na prawicy dzia-
łalność rozbijacką. Poniżej komenta-
rze: „Panie Warzecha, jak może pan
tak kłamać? Co stoi za pańską krucja-
tą przeciw Grzegorzowi Braunowi?”,
„O poziomie Warzechy nie mam za-
miaru pisać. Nie dotykam gówna, bo
śmierdzi”. Dalej jeszcze gorzej.

Za dodatkową winę dziennikarza
komentatorzy poczytali fakt, że podpi-
sał tak zwany list szesnastu, czyli pro-
test środowisk prawicowych przeciw
chanukowemu wybrykowi. Oprócz
Warzechy sygnowali go między inny-
mi profesorowie Andrzej Nowak, ulu-
biony historyk Kaczyńskiego, i Sławo-
mir Cenckiewicz, jeden z promotorów
kariery Karola Nawrockiego, wkrótce
szef Biura Bezpieczeństwa Narodowe-
go w nowej kancelarii prezydenckiej.

– Faktycznie reakcja części fanów
pana Brauna była bardzo gwałtowna
– mówi mi spokojnie Warzecha. – Trze-
ba jednak pamiętać, że to niejedyna
partia, która ma agresywnych fanaty-
ków.

– Wyobraża pan sobie wspólną ko-
alicję rządową z koroniarzami? – py-
tam na koniec Krystiana Pacholika.

– Dużo zależy od tego, jak oni będą
się zachowywali. Na razie są pewni sie-
bie, bo mają te 7 proc. i wejście do Sej-
mu.

– W badaniu CBOS z początku lipca
było nawet 8.

– Tylko w praktyce może się okazać,
że Braun wprowadzi czterech posłów
i niespecjalnie będziemy się musieli
z nimi liczyć.

– Bo system D’Hondta krzywdzi par-
tie będące tuż nad progiem, a promuje
większe – Kamil Klimczak ma własne
obliczenia i przewidywania.

– Używam programu Kalkulator
Sejmowy i staram się przewidzieć dy-
namikę poparcia, biorąc pod uwagę
nadchodzący pakt migracyjny, dalszą
implementację Zielonego Ładu, zmę-
czenie wojną ukraińską... Moim zda-
niem, jeżeli wybory się odbędą w cią-
gu półtora roku, Korona weźmie oko-
ło 20 mandatów, Konfederacja – 80, PiS
– jakieś 200.

Natomiast kwestia wspólnego rzą-
du to osobna sprawa. Kaczyński, Bosak
i Mentzen mogą nie chcieć Brauna, bo
on by ich za mocno obciążał w oczach
zagranicy. ●

Jak teraz z wujem żyć?

**Ewka zapytała wuja Anto-
niego, jak głosował w wy-
borach prezydenckich. Coś
ją podkusiło. I się zaczęło.**

Agnieszka Kublik

Znam wuja Antoniego.
To wuj Mańki. A Mańka
to przyjaciółka. I mnie,
jak Mańce, jest ciężko na
sercu. Wuj z nimi zamieszkał
na początku pierwszej de-
kady wieku. Na krakowskim
Salvatorze. Jakby razem, bo
wuj ma osobne wejście, swoją
łazienkę, kuchnię i telewizor.
Ale, wiadomo, sam sobie nie
gotuje, a dla rodziny Mańki
wspólne jedzenie to tradycja.

To było po śmierci Zuli,
ciotki ze strony mamy Mań-
ki. Pod koniec wuj się nią sam
opiekował, choć wtedy już le-
dwo chodziła. Czasami ktoś
zaglądał z przychodni, żeby
pomóc. Wiadomo, np. przy
kąpieli. Zula tam przyjmowa-
ła pacjentów przez lata. Była
kardiologiem, szalenie lubia-
nym zresztą. Antoni, praw-
nik z wykształcenia, pracował
w małym biurze notarialnym.

Gdy Zula odeszła, Mańka
nie zastanawiała się ani chwi-
li – Antoni zamieszkał z nimi.
Pomagał starszym sąsiadom,
przynosił im zakupy, czasem
razem chodzili na spacer, gra-
li w karty, szachy, bo wuj
zorganizował takie cykliczne
spotkania, co i raz u kogoś in-
nego. Zanosił na te „wspólne
chwile staruszków”, jak sam
mówił, kanapki, sam je robił,
takie małe dzieła sztuki. Oglą-
dali filmy w internecie, z na-
pisami, bo kilka osób mia-
ło problemy ze słuchem. Wuj
potrafił zresztą w internecie
wszystko wyszukać.

Mańka opowiada, że wielu
ich sąsiadów ożyło, bo wcze-
śniej z nikim się nie spotykali,
nie wychodzili.

Tak jak teraz pamię-
ta Mańka, z wujem o polity-
ce nie rozmawiali. To znaczy,
uściśla Mańka, myśmy gadali,
stałe w zasadzie, bo albo wy-
bory, albo po wyborach, a to
dublerzy, neosędziowie, Ka-
czyński, Duda, Ziobro, Mora-
wiecki. Omawialiśmy najnow-
sze skandale, afery, krew nas
zalewała. Na marsze KOD-
u chodziliśmy...

Mańka się waha: wiesz, że
wuj nie chodził z nami, nigdy,
zakładaliśmy, że to z powodu
chorych nóg.

Po październiku ’23 za-
chcieliśmy wierzyć, że oni już
nie wrócą, ludzie już takich
oszustów i złodziei nie po-
prą. Współczuliśmy Amery-
kanom, że Trump wygrał dru-
gą kadencję, no ale, pocie-
szaliśmy się, u nas nie, to nie
jest możliwe.

Poza tym byliśmy świa-
domi tych wszystkich zmian
społecznych, że stajemy się
otwarci, tolerancyjni. Że teraz
w Polsce większość nie chce
narzucać gejom i lesbijkom,
jak mają żyć. Że się godzimy
na przyjazd imigrantów, czu-
jemy, że to korzystne dla na-

szej gospodarki, że to wzbo-
gaca naszą kulturę, że stajemy
się fajniejszym miejscem do
życia, że to kobieta powinna
móc decydować o swojej cią-
ży, a Kościół nie powinien zaj-
mować się polityką.

Co na to wuj? – py-
tam Mańkę.
Długo się zastanawia.
– Wiem, co lubi jeść na
śniadanie, jajecznicę na bocz-
ku, do tego kawa z mlekiem
i ciemne pieczywo. Przepada
za papryką, rosołem i bitka-
mi. Na deser – tylko sernik Zu-
li. Ale jakie ma poglądy? Za-
wsze myślałam, że jest jak my.
Ale jak zapytałas, to zdałam
sobie sprawę, że wuj nigdy
o tym nie mówił, słuchał, cza-
sami kiwnął głową. I tyle.

Aż do teraz.
Bo Ewka, córka Mańki,
zapytała wuja, jak głosował
w wyborach prezydenckich.
Coś ją podkusiło, bo dziadek
jej przyjaciółki głosował na
Nawrockiego. W tamtej rodzi-
nie szok.

No więc Ewka zapytała,
a wuj odparł, że na Nawroc-
kiego.
I się zaczęło.

■
*Wiem, co wuj lubi jeść na śniadanie,
jajecznicę na boczku, do tego kawa z mlekiem
i ciemne pieczywo. Przepada za papryką,
rosołem i bitkami. Ale jakie ma poglądy?*

Mańka, jak teraz, pamię-
ta tę pierwszą i ostatnią zresztą
rozmowę z wujem, to ude-
rzyło ją nie to, że na Nawroc-
kiego, ale argumenty dlace-
go. Wuj wyrzucił to z siebie.
Był jakiś taki zdenerwowany,
wydaje mi się, mówiła Mań-
ka, że wiedział, że to, co mó-
wi, raz na zawsze zmieni na-
sze życie.

Zmieniło.
Mańka jest wstrząśnięta.
Wuj próbował nam wmówić,
że zrobił to dla Polski, bo wie-
rzy w Boga, że tylko Nawroc-
ki zbuduje Polskę chrześci-
jańską, nie Trzaskowski, któ-
ry chce aborcji na życzenie,
sam to słyszał, w wyborczą
niedzielę, więc wie, a w Niem-
czech aborcja jest zakaza-
na, ale wiadomo, że to naród
panów, tam zabijać nie wol-
no, u nas tak, a przecież każ-
de dziecko to dar Boży, że
wreszcie będzie porządek na
granicy, bo te bąkiewiczow-
skie patrole wyłapią tych ko-
lorowych, co tu przyjeżdża-
ją, by wydłubywać oczy na-
szym dziewczynom, a potem
je gwałcić, sam słyszał, wie,
jak jest, korzysta z wielu źró-
deł, co wy sobie myślicie, tak
doskonale rozumie, że trze-
ba sprawdzać informacje, ale
nie słucha tych lewackich,
bo tam kłamią, bo chcą, żeby
Niemcy nami zarządzili, nie tyl-
ko ten niemiecki Tusk, nawet
biskup mówił, że Tusk to Nie-
miec, to chyba by nie kłamali

w kościele, naród panów chce
nami rządzić, Nawrocki żad-
nej złej przeszłości nie ma, ra-
tował człowieka, to bohater
przecież, a że się bił, a który
dzieciak się nie bił, że kogoś
tam zalał gościom hote-
lu (wujowi „prostyutka” nie
przeszła przez usta, co Mańka
złośliwie odnotowała), a kto
tak twierdzi, przecież Na-
wrockiego służby sprawdza-
ły, to co, teraz niby jakieś pla-
my ma w życiorysie, kto w to
uwierzy, no na pewno nie on,
zresztą katolickie media mó-
wiły, że to wszystko bzdury, że
chodzi, by Nawrocki nie wy-
grał, żeby Polska chrześcijań-
ska się nie przebudziła.

Wuj to wykrzyczał i po-
szedł do siebie.

Rodzina zamarła. Mańka,
gdy teraz mi to wszystko opo-
wiada, drży. Bo, analizuje, jak
teraz z wujem żyć? Mieli je-
chać na wakacje, do kuzynki,
nad morze. Ale jak tam jechać
razem z rasistą? – pyta Mań-
ka. Przecież on wyłożył nam
swoją filozofię: Polska dla bia-
łych, reszta to rasa niższa,
która nie ma prawa tu być,
w ogóle żadnych praw nie ma.

■
Jest za samosądami, w któ-
rych zasady ustala Bąkiewicz.
I wszystko to dla chrześcijań-
skiej Polski.

Mańka tęskni za wujem,
który był taki jak reszta rodzi-
ny. Chwila, chwila – był czy
myśmy przyjęli, że taki był?
Że tak jak my współczuła Ukra-
ińcom, którzy uciekli do nas
przed bombami, że oni u sie-
bie giną, a my tu bezpieczni,
przecież gdyby oni nie wal-
czyli, gdyby przegrali, Putin
już by tu był. Nie mam racji?

Mańka mówi, że chcia-
ła z wujem o tym porozma-
wiać, przedstawić mu swoje
racje, podać fakty, np. że z tą
aborcją w Niemczech to nie
tak, jest legalna, jeśli ciąża jest
wynikiem gwałtu lub w przy-
padku zagrożenia życia, zdro-
wia fizycznego lub psychicz-
nego kobiety, i jest dopuszczal-
na w pierwszych trzech mie-
siącach ciąży, jeśli kobieta od-
będzie konsultację ze specjali-
stą. Że Trzaskowski nie mówił
o aborcji na życzenie, więc wuj
tego nie mógł słyszeć. – Nie od-
byliśmy tej rozmowy – mówi
Mańka. – Wiem, że musimy.
Teraz nie mam na to siły.

Z badań wynika, że np. przy
wigilijnym stole aż 60 proc.
Polek i Polaków boi się rozma-
wiać, zwłaszcza o polityce, bo
się to może skończyć rodzinną
awanturą. ●

Imiona bohaterów zostały
zmienione.

POKROIĆ CHLEB, PODERŻNAĆ GARDŁO

Nie wiem, czy mężczyźni stać na pacyfizm. Ale trudno oczekiwać skuteczności empatycznych wzorców w kulturze, która gloryfikuje przemoc

Z **MONIKA „PACYFKA” TICHY,**
ROZMAWIA **TOMASZ JAKUBOWSKI**

Monika jako osoba niebinarna poprosiła, by w tekście użyto iksatyw, czyli form neutralnie płciowych, jak „miałxm” lub „byłxm”

Powiedziała pani w lutym 2022 roku, czyli tuż po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji w Ukrainie, że młodzież zaczyna rozwiązywać konflikty w sposób nie siłowy, że to pani pokolenie i pokolenie pani rodziców były brutalne. A jednak obecnie na świecie trwa najwięcej konfliktów zbrojnych od zakończenia II wojny światowej. I grożą nam kolejne.

– Mój optymizm był przedwczesny, sytuacja, krajobraz geopolityczny bardzo się zmieniły. Świat brunatnieje. Moje poglądy, mimo ksywy, nie są stricte pacyfistyczne. Dziś jestem pragmatyczką i uważam, że w każdej sytuacji należy minimalizować cierpienie. Jeżeli mamy sytuację, gdy ktoś atakuje przy użyciu przemocy, mamy prawo używać siły, by bronić siebie i tych, którzy są słabsi. Czy to się mieści w spektrum pacyfizmu, nie wiem, chyba już nie.

Rozumie pani tych, którzy chcą ginać za swój kraj?

– Nie odmawiam nikomu prawa do decydowania o sobie. Mieliśmy w Polsce osoby, które mieszkaly tutaj po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, mogły zostać w bezpiecznym miejscu, ale zdecydowały się wrócić, by bronić swojego kraju. Mają prawo do tego wyboru i ich postawa broni nas, całą Europę, przed progresem inwazji Putina.

Czy ja bym podjął taką decyzję w odniesieniu do Polski? Kraju, który mi jako osobie queerowej odmawia podstawowych praw obywatelskich: do ochrony mojej rodziny, do bezpieczeństwa wobec wywołanej nienawiścią przemocy?

Nie wydaje mi się, ale szanuję wybór Ukrainek i Ukraińców, którzy walczą z agresorem, choć mogli tego uniknąć. Szczególnie tych z batalionu „Jednorożec”,

osób LGBT. Ukraina też nie ma równości małżeńskiej, więc kiedy giną, ich partnerzy nie korzystają z praw przysługujących współmałżonkom poległych.

Wmawia się nam, że wojna to służba ojczyźnie, bohaterstwo, chwała i prawdziwy patriotyzm, choć – jak to powiedział Tolstoj, to tylko naga prawda zabójstwa.

– Od dzieciństwa nie miałxm wątpliwości, że rzeczy, którymi karmiła nas propaganda państwowa, szkoła czy kultura masowa, np. w postaci filmów o bohaterach wojennych, to nic innego jak pozłacane gówno. Wojna to przemoc i cierpienie, brutalny prymitywizm, tak naprawdę powrót do dżungli. Przestajemy być godni miana *Homo sapiens*, stajemy się istotami prymitywnymi, które rozwiązują swoje problemy nie za pomocą intelektu, ale kłów i pazurów. Każda przemoc jest obrzydliwa, a wojna jako przemoc zinstytucjonalizowana najbardziej. Ale rozumiem, kiedy ktoś decyduje się wstąpić do armii, gdy jego kraj został zaatakowany, a nie jest agresorem.

I to mówi „Pacyfka”? Zradyzalizowała pani poglądy?

– Nie wiem, czy to jest radykalizm. Po prostu mój poziom optymizmu bardzo się obniżył. Zmieniło się też moje postrzeganie człowieka jako gatunku. Mam wrażenie, że ludzkość jest czymś znacznie gorszym, niż się nam wydaje. A wydaje nam się, że jesteśmy koroną stworzenia. Tymczasem widzę pychę i ślepotę, zupełnie nieuzasadnione, skoro w XXI wieku dzieją się takie rzeczy jak w Gazie czy Buczy. Jako gatunek zdecydowanie nie zasługujemy na określenie rasy rozumnej. Pięści i kły przedłużyłyśmy o rakiety i czołgi. Nasz potencjał intelektualny angażujemy nie do tego, by unikać czyjejś krzywdy, ale do tworzenia coraz nowszych, coraz sprawniejszych maszyn do zabijania. To jest porażka naszego gatunku, kompromitacja.

Jak „Pacyfka” stała się „Pragmatyczką”?

– „Pacyfka” to ksywka nadana mi w liceum przez kolegów i koleżanki z klasy. Nosiłxm wówczas na szyi na sznurku metalową pacyfkę. W wieku lat 15 miałxm wiarę w ludzkość, w to, że miłość zwycięży wszystko, że wystarczy wyjść z przekazem miłości do ludzi i odrzucą oni przemoc, i wszyscy będziemy mogli dzielić ze sobą świat pokojowo i bezkonfliktowo jak w piosence Johna Lennona.

Od tego czasu minęły ponad trzy dekady, które odarły mnie z nastoletniego idealizmu. Znaczna część ludzi nie chce, żeby życie polegało na pokojowym współistnieniu wszystkich. Wolą używać przemocy, a nie pracy, do zaspokajania swoich potrzeb i robią to kosztem innych, a nie kosztem własnego wysiłku. Wielu z nich chodzi nie tylko o to, „żebym ja miał to, czego potrzebuję”, ale także o to, „by inni mieli mniej, bym miał lepszy dostęp do zasobów i przez ich rozdysponowywanie trzymał władzę nad innymi”. Mnóstwo ludzi lubi mieć władzę. Nie chcą czuć się równi. Chcą się czuć lepsi. Ten instynkt rywalizacji może być pozostałością po naszych ewolucyjnych przodkach, którzy, żyjąc w stadzie, cały czas rywalizowali o to, kto przekaże DNA. We współczesnej cywilizacji również jest kultywowany. Od dzieciństwa uczeni jesteśmy rywalizować: w sporcie, w ocenach szkolnych, w konkursach. Nie uczymy dzieci, by dbały o to, by inni czuli się przy nich równi, ale by czuli się gorsi.

Mnóstwo ludzi ma potrzebę patrzenia, jak innym jest gorzej, że przywołam jako przykład „wieczorną modlitwę Polaka” z kultowego filmu „Dzień świra”. Są też tacy, którzy odczuwają przyjemność, doświadczając cierpienia innych lub osobiście im to cierpienie zadając. Mój licealny pacyfizm był efektem powszechnego w psychologii zjawiska projekcji czy też mierzenia bliźnich swoją miarą. Myślałxm, że inni są tacy jak ja, pokojowo nastawieni, kochający, skłonni się dzielić. Rzeczy-

wistość zmusiła mnie do przyznania, że tak nie jest. Żyjemy w stanie permanentnej wojny ludzko-ludzkiej. Pacyfizm, polegający na odmowie użycia siły nawet w obronie własnej, w praktyce oznacza wyniszczenie osób nieprzemocowych i przetrwanie przemocowych.

A nie myśli pani, że to nie człowiek jako gatunek, ale kilku przywódców mających nieograniczoną władzę jest w stanie dokonać tego, o czym pani mówi? Zniewolić tłumy, dać im poczucie bohaterstwa, chwały i wysłać, by się wzajemnie zabijali dla ich korzyści?

– To na pewno jest spirala, sprzężenie zwrotne. Oczywiście politycy, decydenci mają w tym interes, by tak kształtować kulturę, którą ja bym dziś nazwała „cywilizacją śmierci”. Ta kultura to pomniki ludzi trzymających przedmioty do zabijania, plastikowe pistolety i drewniane miecze, czyli zabawki dla dzieci. Przy czym rodzice nie mają nic przeciwko temu, nie mają problemu z tym, że dzieci bawią się od najmłodszych lat z w zabijanie. Natomiast rzeczy związane z dawaniem życia, czyli miłością, seksem – to już jest dla dzieci nieodpowiednie, bo to demoralizacja.

Taka cywilizacja stoi nie na fundamentach, ale na głowie. Przemoc i zabijanie to chwała i patriotyzm, a miłość, czułość, dawanie nowego życia to coś wstydlivego, z czym nie powinno się mieć styczności. Wbrew temu, co twierdzi kościół katolicki, to postchrześcijańska kultura jest wroga życiu. Ten patriotyzm, martyrologia, ubieranie w patriotyczne ciuszki, skupianie się na przymiotach związanych ze śmiercią – to jest promowanie konceptów przemocowych.

Zamiast mówić nam od dzieciństwa: „To nasza historia, ale to jest złe. Musimy tak zbudować naszą przyszłość, byśmy byli od tego wolni”, my powtarzamy cały czas pewne schematy.

Ja mam taki dylemat: czy jednostki takie jak Putin czy Trump, wysyłające na śmierć



FOTOKRYSZTOF HADRIAN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Monika „Pacyfka” Tichy

• pacyfistka, obrończyni praw człowieka, aktywistka na rzecz osób LGBT+, szefowa fundacji Lambda Polska, która pomaga osobom LGBT+

miliony ludzi, nie są czasem ucieleśnieniem myśli mas, potrzeby męskiej dominacji czy schedy po czasach naszych przodków, w których przetrwali ci najbardziej agresywni? To pewnie pytanie dla filozofów czy psychologów, ta przemoc, najbardziej brutalna, nie jest czymś tak głęboko wdrukowanym w naszą naturę, że będzie trzeba setek lat, może nawet tysiącleci cywilizowania człowieka, nim on z tego wyrośnie, nim się tego z siebie pozbędzie.

A kultura, media, zawłaszczenie języka i dyskursu nie wpływają na to, jak postrzegamy świat?

– Zawłaszczenie języka ma ogromny wpływ, ale chyba istotniejsze od słów jest to, co ludzie mają w głowach. Interesariuszy jest wielu, państwo, szkoła czy biznes posługujący się językiem reklamy. Każdy z nich chce na nas wywrzeć wpływ, który przyniesie im korzyść. Także kultura masowa napędzana komercją ma tutaj wielkie znaczenie, stoją za tym przecież konkretni ludzie. To działa od dawna, w PRL-u więcej wpływu na przyjaźń polsko-radziecką miał serial „Czterej pancerni i pies” niż cała machina propagandowa. Z drugiej strony Netflix zrobił więcej dla akceptacji społeczności LGBTQ niż wszystkie kampanie antydyskryminacyjne razem wzięte. Tylko dlatego, że pokazuje te osoby w pozytywnym świetle, w kontekście zwykłego życia.

Media, reklama nie tylko wpływają na nasz sposób myślenia, ale też wykorzystują to, co jest w ludziach. Jeśli chcą oglądać przemoc, to media będą ją prezentować. Może być też tak, że mimo wysiłków i nakładów w edukację spo-

czeństwa, mimo kształtowania poglądów przez masową kulturę w dobrym kierunku te brutalne instynkty okażą się zbyt głęboko zakorzenione, by je zwalczyć i wyrugować przemoc z naszego życia.

Jedno jest pewne. Na pewno nie rozmawiam z optymistką.

– Byłxm optymistką, ale ostatnie kilka lat mocno to podważyły. Mam nadzieję, ale nie mam wiary w to, że za chwilę wszystko się odwróci i pójdzie w dobrym kierunku. Raczej w drugą stronę, bo globalni gracze wcale się od tego nie odżegnują, wręcz przeciwnie. I choć naukowcy, np. Yuval Noah Harari, mówią, że obecnie duże państwa unikają wojen, bo nie są one dla nich opłacalne ekonomicznie, rozsądek przywódców może przegrać z ich ego, z ich szaleństwem. Widzimy to i u Putina, i Trumpa. Oni są obłąkani, zaś ich zakładnikami jest ludzkość. I nie poniosą żadnej odpowiedzialności, bo kto miałby ich rozliczać?

Tak jak nikt nigdy nie rozliczy serwisów społecznościowych za hejt, za dezinformację, za publikowanie rzeczy niezgodnych z naukową wiedzą w imię „wolności słowa”. Pół biedy, jeśli ta wolność słowa nie ma wpływu na życia innych ludzi. Jeśli ktoś w imię wolności słowa twierdzi, że ziemia jest płaska, to de facto nie ma to wpływu na nic istotnego. Ale jeśli ktoś twierdzi, że „transkobiety są przebranymi facetami, zboczeńcami, którzy chcą wchodzić do damskich toalet, by tam dokonywać przemocy seksualnej, bo taka jest moja opinia”, to na taką „wolność słowa” nie ma miejsca, bo ona napędza nienawiść, przemoc i dyskryminację całej grupy społecznej.

Grzegorz Braun sugerował, że komory gazowe w Auschwitzu to był fejk. I poszło to w świat, oczywiście także w serwisach społecznościowych. Mimo oburzenia warto się zastanowić, ilu jego zwolenników to w wierzy. Ilu młodych ludzi uwierzyło? Jak walczyć z tak beczelną i nieprawdziwą tezą?

– Chciałxbym wiedzieć, jak walczyć z tak zaawansowaną dezinformacją, z tak zaawansowanym stopniem nienawiści. Przecież w historii ludzkości nie mieliśmy jeszcze takich doświadczeń, żeby propaganda zła miała tak potężne narzędzia. Hitler zbudował swoją władzę, wykorzystując propagandę, a przecież nie miał nawet ułamka narzędzi, które są teraz. Serwisy społecznościowe mogą oczywiście być narzędziem progresu, oporu przeciwko złu, sami tego doświadczyliśmy w czasach rządów PiS. Natomiast dziś są zakażone fejkowymi kontami, trollami, miliardami botów. Mogło to wpłynąć na demokratyczne wybory w Stanach Zjednoczonych, a więc największym mocarstwie na świecie, mogło i w Polsce.

Każde narzędzie w rękach człowieka jest tym, czym jest ten człowiek. Nożem można pokroić chleb i poderżnąć gardło.

Byliśmy naiwni, sądząc, że internet nie zostanie wykorzystany przeciwko nam?

– Tak, do tego zachłysłnieliśmy się możliwościami. Ale taki jest człowiek, mierzy swoją miarą. Jeśli mamy dobre intencje, myślimy, że inni też je mają. Dziś te narzędzia są w rękach ludzi, którzy pragną władzy, służą więc do jej zdobywania. W rękach ludzi pragnących pieniędzy służą do robienia pieniędzy. Prawdopodobnie

serwisy społecznościo-we nie powodują zła, tylko sprawiają, że ono wylazi na wierzch. Ujawnia się to, co w nas najgorsze.

Jak w takim otoczeniu znaleźć dyskusję o otwartych, liberalnych nurtach ideowych, o wolności-



RYS. JACEK GAWŁOWSKI

wych postawach, że o emancypacji nawet nie wspomnę?

– To, co może nas wyzwolić, to feminizm. To kobiety, które powinny mieć większą sprawczość i decyzyjność w społeczeństwie. Choćby dlatego, że te z nas, które urodziły, wiedzą, jaki to wysiłek, żeby choćby jedna istota ludzka zaistniała na świecie i dożyła do dorosłości. Na pewno kobiety nie wysłały tak lekkomyślnie ludzi na śmierć.

Z drugiej strony – to nowe dość zjawisko zauważane przez socjologów i psychologów – emancypacja kobiet powoduje ich znacznie mniejszą dostępność seksualną. To sprawia, że mężczyźni, szczególnie ci o gorszym potencjale społecznym i osobistym, mają wielki problem w porównaniu z pokoleniem ich ojców czy dziadków z zaspokojeniem swoich potrzeb seksualnych.

To już nie jest takie proste, że mężczyzna przynosi plony z pola, mamuta z polowania czy pensję z fabryki, i dzięki temu ma dostęp do kobiety. I ta frustracja seksualna mężczyzn powoduje wzrost nastrojów faszystowskich w całej Europie. Ta frustracja to problem, którego nawet nie ma jak ugryźć.

Bo co zrobić ze sfrustrowanymi seksualnie mężczyznami, którzy chcieliby mieć uległe i posłuszne żony, a tymczasem współczesne młode kobiety wcale tego nie chcą i po raz pierwszy w historii masowo mogą sobie poradzić życiowo i finansowo bez mężczyzny? Co państwo jako instytucja może z tym zrobić? Nic.

Czy mężczyzn nie stać na pacyfizm? Uważa pani, że płeć determinuje agresywność?

– Wiemy z ustaleń naukowców, że testosteron jest hormonem agresji. Że to mężczyźni wielokrotnie częściej są sprawcami przemocy i brutalnych przestępstw. Jeśli jest to dziedzictwo naszych ewolucyjnych przodków, to bardzo trudno będzie to dziedzictwo trwałe wyrugować. Ono może być przykryte cienką warstwą cywilizacji, kultury, która pęka natychmiast, gdy wchodzi jakieś emocje, problemy, zagrożenie – prawdziwe lub wykreowane.

Nie wiem, czy mężczyzn stać na pacyfizm. Bardzo chcę, żeby tak było, żeby rozum, uczuciowość wyższa, empatia zwyciężały. Ale też trudno oczekiwać skuteczności pacyfistycznych i empatycznych wzorców kulturowych w kulturze, która gloryfikuje przemoc, „żołnierzy wyklętych”, „bohaterów wojennych” czy nawet brutalne sporty i kryminalne filmy, gdzie oglądamy zabijanie dla rozrywki. W kulturze, która przyzwala na przemoc seksualną wobec kobiet, w której dorosły zasłania dziecku oczy, gdy widać nagość, ale nie robi tego, gdy widać krzywdę. W której dzieciom nie wolno pokazać piersi – źródła pokarmu, dzięki któremu tysiące pokoleń mogły żyć – a wolno pokazać umierającego, torturowanego mężczyznę na krucyfiksie.

Dla pani obecna rzeczywistość to chyba smutny widok. Widzi pani jakiś progres w swoich działaniach lub działaniach innych aktywistów? Nie jest tak, że robicie czasem krok w przód, a potem zjawia się jakiś PiS czy Konfederacja i – jak to pani ujęła – masakruje i tak wąty dorobek w kwestii równości, afirmacji i ochrony słabszych społecznie grup?

– Niestety mamy do czynienia z potężnym sprzeciwem. Mam nadzieję, że będzie tak, jak mówił Gandhi, że „najpierw cię ignorują, potem się z ciebie śmieją, następnie z tobą walczą. A później wygrywasz”. Może to ten moment, kiedy się ten patriarchat szarpie i są to przedśmiertne drgawki? Mam nadzieję, że tak. Ale to nadzieja, a nie wiara. Równie dobrze może nas czekać powtórka z historii XX wieku, rozwój ruchów nazistowskich, faszystowskich i eksplozja powszechnej przemocy. Nie wiem. Dziś stojmy na progu wielkiej nie wiadomej. ●

CZY DZIŚ WYPADA BYĆ PACYFISTĄ?

Za wschodnią granicą trwa wojna, wrze na Bliskim Wschodzie, a na czele mocarstw stoją politycy, którzy nie wahają się sięgać po siłowe rozwiązania. „Zagrożenie” i „wojna” to słowa, które codziennie pojawiają się w rozmowach z bliskimi, przyjaciółmi, w pracy. Nasze gwarancje bezpieczeństwa wydają się stabilne, jesteśmy w NATO i Unii Europejskiej. Lecz Prezydent USA Donald Trump od czasu do czasu kwestionuje nasze najważniejsze sojusze.

W 2026 r. Polska na obronność przeznaczymy 5 proc. PKB. Ale nasze bezpieczeństwo zależy nie tylko od nowych czołgów i dronów. W równym stopniu – od nas samych.

Od świadomości obywateli, poczucia obowiązku i gotowości do poświęceń. Zмага się z tym Ukraina, która po fali ochotników do armii w pierwszych miesiącach, teraz po trzech latach wojny ma problem z rekrutami.

Czy więc w naszej rzeczywistości stać nas na pacyfizm?

Dyskusja nie jest wymierzona w samą ideę. Wspólnie się zastanawiamy, czym dziś pacyfizm powinien być. Jakie formy przybierać? Jak rozumieć i wcielać w życie tę ideę?

To też okazja do zastanowienia się nad kondycją społeczeństwa, poczuciem tożsamości i zdolnością do autorefleksji. Czyli nad tym, kim jesteśmy i kim chcielibyśmy być.

Już spróbowali się z tymi pytaniami zmierzyć m.in.:

• **Bartosz T. Wieliński**, wicenaczelnny „Wyborczej”, znawca spraw zagranicznych i wojskowości:

„W przeciwieństwie do starej Europy chcemy i potrafimy stawiać Rosji opór? Liczby mówią co innego”;

• **Ślawomir Sierakowski**, współzałożyciel Krytyki Politycznej, z nowego pokolenia wrażliwej społecznie, lewicującej inteligencji i klasy średniej:

„Mam problem z Polakami, którzy nie chcą ginąć za kraj”;

• **Michał Olszewski**, szef działu zagranicznego „Wyborczej”, reporter, pisarz, świadek wojny w Ukrainie:

„Pożegnanie z pacyfizmem. Można albo walczyć, albo się poddać.

Trzeciej opcji nie ma”.

• **Paulina i Roman Polkowie**:

„Plecak ewakuacyjny to nie jest zestaw dla tchórza, który planuje ucieczkę do Hiszpanii”

• **Marek Krukowski**: „Obdźektor to nie jest ktoś, kto mówi >>pieprzę tę Polskę i wyjeżdżam<<.”



• Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).

TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmocnienia europejskiej demokracji.

• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellin-gat.

• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.



Bardziej nienarwidzimy TRUMPA CZY LEWICY?

Establishment Partii Demokratycznej nie może się zdecydować

Mateusz Mazzini

Nazwiskiem, które jest dzisiaj najprzystępniejsze dla zrozumienia problemów i wyzwań amerykańskiej opozycji, nie jest wcale Zohran Mamdani, 33-letni socjalista, zwycięzca prawoborów kandydata Partii Demokratycznej na burmistrza Nowego Jorku. Nie jest nim też 35-letnia Alexandria Ocasio-Cortez, doskonale znana już członkini Izby Reprezentantów, obrończyni imigrantów i adwokatka sprawiedliwości społecznej. Nie jest to Bernie Sanders, niezależny i szanowany weteran amerykańskiej lewicy.

A tym bardziej nikt z partyjnym matuzalemów i baronów: kongresmenka od 38 lat, wielokrotna spikerka Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, Chuck Schumer – kongresmen i senator z 44-letnim nieprzerwanym stażem, obecnie lider senackiej większości, Joe Biden czy Kamala Harris. Ani nawet partyjny gwiazdor z Kalifornii, gubernator Gavin Newsom.

Tym nazwiskiem jest David Hogg, 25-letni aktywista domagający się radykalnego ograniczenia dostępu do broni palnej w całym kraju. Nie jest postacią szeroko rozpoznawalną nawet wśród ludzi, którzy śledzą amerykańską politykę na poziomie molekularnym. Lecz jego biografia, pomysł na polityczną

zmianę oraz historia starć z wierzuszką Demokratów skupia w sobie jak w soczewce wszystkie problemy środowisk progresywnych w USA.

Na pierwszy rzut oka Hogg jest idealnym kandydatem na lidera młodego pokolenia. Czyli na kogoś, kto Partię Demokratyczną może wyprowadzić z marazmu, przebić jej komunikacyjne ograniczenia i zbudować pomost do tych grup elektoratu, które Demokraci w ostatnich latach utracili – mężczyzn, najmłodszych wyborców i ogólnie osób spoza tak zwanej elity estetycznej, czyli wielkomiejskiej klasy kreatywnej.

Przed wszystkim dlatego, że przeżył. Strzelanina w szkole średniej Marjory Stoneman Douglas w Parkland na Florydzie była jednym z najbardziej brutalnych ataków szkolnych w ostatnich latach. 14 lutego 2018 napastnik zabił 17 osób. 17-letni Hogg zabarykadował się w klasie, wydarzenia wokół nagrywał smartfonem, a potem płynnie, bez stresu i nerwów, o wszystkim opowiadał przed kamerami największych stacji telewizyjnych.

Od zawsze interesował się polityką, ale – jak sam przyznaje – to strzelanina ostatecznie pchnęła go w kierunku publicznego zaangażowania. Od razu po masakrze współorganizował z kolegami i koleżankami z klasy słynny March for Our Lives, Marsz dla Naszych Życ – wielką demonstrację przeciwko łatwemu dostępowi do broni palnej, w tym karabi-

nów półautomatycznych. Tamta mobilizacja była jednym z największych triumfów opozycji za pierwszej kadencji Trumpa. Protestujący maszerowali w Waszyngtonie i w prawie tysiącu miast i miasteczek. Sama stołeczna demonstracja przyciągnęła kilkaset tysięcy ludzi. Hogg przemawiał na niej niczym wiecowy weteran, domagając się rewolucyjnych wręcz zmian – wycofania z obiegu konkretnych typów broni, większego bezpieczeństwa dla uczniów, szybszego czasu reakcji służb mundurowych.

Potem dostał się na Harvard, zaczął studia na historii, ale rzucił je, żeby zająć się polityką na pełen etat. Zaczął pracować dla Komitetu Partii Demokratycznej – Democratic National Committee, instytucjonalnego Behemota zarządzającego strukturami partyjnymi w całym kraju. Szybko pisał się po szczeblach, aż wreszcie, dość niespodziewanie, w lutym został wybrany na wiceprzewodniczącego całej DNC.

Żeby uzmysłowić czytelnikom, jak wielkie to osiągnięcie i wyzwanie jednocześnie, trzeba pokrótce opisać, czym DNC w ogóle jest i za co odpowiada.

Na co dzień w waszyngtońskim biurze organizacji pracuje 250 członków, do tego dochodzą delegatury we wszystkich 50 stanach – łącznie około dwóch tysięcy pracowników. W czasie kampanii prezydenckiej albo w okolicy wyborów połowkowych do Kongresu liczba ta rośnie nawet kilkukrot-

nie, bo partia zatrudnia rzesze konsultantów i aktywistów chodzących od drzwi do drzwi z przekazem kandydata. Budżet DNC wynosi 200 milionów dolarów rocznie. Nie należy mylić go z budżetem konkretnej kampanii, który jest większy o kilka rządów wielkości, niemniej mówimy o dużych pieniądzach – tylko w 2024 roku Komitet wydał 80 milionów na kampanię w serwisach społecznościowych.

Na co dzień, poza sezonem wyborczym, DNC administruje strukturami partyjnymi i rekrutuje nowych członków, pozyskuje sponsorów, ale też współdecyduje o zasadach prawyborów na wszystkich szczeblach władzy. O tym, kto tym wszystkim pokieruje, decyduje 447 delegatów z całego kraju. I właśnie w tym miejscu błyskawiczna kariera Hogga zaczęła się komplikować.

We władzach Partii Demokratycznej przetrwał nieco ponad cztery miesiące. Wiceprzewodniczącym, pierwszym z pokolenia Z, został oficjalnie 1 lutego i już 11 czerwca złożył rezygnację. A tak naprawdę został z partii po prostu wypchnięty. Stało się tak, bo 25-latek niemal od ręki wywołał gigantyczną awanturę w środowisku liberalnych elit. Dokonał świętokradztwa, zamachnął się na dogmat. Mianowicie powiedział publicznie, że najstarsi liderzy Demokratów powinni ustąpić.

Hogg wykazał się tym, czego jego starszym kolegom i koleżankom z partii brakuje, czyli słuchem społecznym. 19 czerwca portal The Hill, witryna poświęcona politycznym plotkom z Kapitolu, opublikowała wyniki badania opinii na zlecenie Reutersa. Aż 62 procent osób identyfikujących się jako zwolennicy Partii Demokratycznej zgodziło się, że kierownictwo należy wymienić. Zaledwie 24 procent uznało, że obecni przywódcy są odpowiedni. Hogga jednak już wtedy w DNC nie było – a został usunięty w sposób najbardziej typowy dla liberałów, czyli na gruncie proceduralnym. Ale od początku.

Chwilę po objęciu stanowiska Hogg udzielił wywiadu magazynowi „Politico”, w którym otwartym tekstem wypalił, że czas najwyższy zorganizować prawybory partyjne wszędzie, gdzie jest potrzeba. A najbardziej paląca jest tam, gdzie mandaty w Senacie i Kongresie mają starsi demokraci „śpiący za kierownicą”.

Upiekłoby mu się, gdyby to był jednorazowy wystrzał. Ale Hogg wezwanie powtarzał potem wielokrotnie – obiecując, że za słowami pójdą czyny, a on sam zadba o to, żeby młodzi demokraci chcący zagrozić partyjnym dinozaurom mieli na kampanię odpowiednie fundusze. Tego było już zbyt wiele, starszyzna postanowiła interweniować.

Równolegle trwał gigantyczny konflikt pomiędzy Hoggiem i Kenem Martinem, szefem całej DNC. Przedstawiciel establishmentu nie chciał nawet słyszeć o prawyborach w safe seats, okręgach wyborczych, w których Partia Demokratyczna wygrywa i wygrywać będzie, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Zarzucił Hoggowi stronniczość i zauważył, że w DNC mają pracować technokraci skoncentrowani na dobru partii, a nie ambitni politycy faworyzujący konkretnych kandydatów czy wewnątrzpartyjne skrzydła.

Hogg najpierw twardo bronił swojego planu, potem spiłował sobie nieco pazury, oferując kompromis. Ale kompromisu z definicji muszą chcieć obie strony. A stary wyjadacz na dogadywanie się z młodym aktywistą nie miał najmniejszej ochoty. Skończyło się na tym, że unieważniono całe wybory nowych władz. Już sama ta decyzja wyglądała słabo, ale Martin przeprowadził sprawę w sposób wręcz karykaturalny, jakby chciał potwierdzić wszystko, co ludzie popierający Trumpa i ruch Make America Great Again mówią i myślą o Demokratach.

Znalazła się bowiem kobieta, działaczka DNC, która ubiegała się o stanowisko razem z Hoggiem i innym politykiem młodej generacji, 34-letnim Malcolmem Kenyattą, członkiem stanowej legislatury w Pensylwanii. Ponieważ obaj otrzymali stanowiska wiceprzewodniczących, zaskarżyła wyniki wyborów do sądu partyjnego, argumentując, że partia nie przestrzega własnych zasad dotyczących parytetów oraz DEI, polityki różnorodności, równości i włączenia. Martin zarządził powtórkę wyborów wiceprzewodniczących, a Hogg, wściekły na partyjne gierki i proceduralne kurioza, zapowiedział, że ponownie walczyć o stanowisko nie będzie.

Ta historia, opisana ze wszystkich stron przez poważne amerykańskie media, doskonale obrazuje stan intelektualnej posuchy i wewnętrznych konfliktów, które dominują w Partii Demokratycznej. David

• **David Hogg, (25 l.) jest aktywistą, który walczy o zakaz dostępu do broni. N/z przemawia na Marszu dla Naszych Życ w Waszyngtonie 24.03.2018. Miał wtedy 17 lat. I kilka dni wcześniej przeżył strzelnię w liceum Marjory Stoneman Douglas na Florydzie , w której zginęło 17 osób**

FOT. CHIP SOMODEVIL-
LA/GETTY IMAGES

Graham, czołowy reporter polityczny „The Atlantic”, stwierdza wręcz, że Demokraci „sami osuwają się w otchłań zapomnienia”.

Jednocześnie mylą się ci, którzy są zdania, że przeciwko ekipie Trumpa nie sformowała się do tychczas żadna opozycja. Ona istnieje, liczebnie nie jest wcale uboga i zaczyna nabierać wyrazistego rysu ideologicznego. Tyle że ma ona coraz mniej wspólnego z Partią Demokratyczną jako instytucją oraz z zestawem poglądów liberalnego establishmentu.

Cały świat emocjonuje się Zohranem Mamdanim, niespodziewanym zwycięzcą czerwcowych prawyborów w Nowym Jorku. Nierzadko media przedstawiają go jako nieopierzonego socjalistę proponującego rozwiązania w Europie oczywiste, ale na amerykańskim rynku idei, wychylonym znacznie bardziej w prawo, określane mianem komunizmu. Mamdani chce darmowych autobusów miejskich, podniesienia CIT-u, czyli podatku od przedsiębiorstw, do poziomu 12,5 procent (co po prostu zrównałoby Nowy Jork z sąsiednim New Jersey), zamrożenia czynszów w niektórych strefach miasta czy obniżenia kosztów życia przez utworzenie miejskich sklepów spożywczych.

Jeszcze w listopadzie 33-letni, urodzony w Kampali syn cenionej reżyserki Miry Nair (tej od „Mon-sunowego wesela”) i profesora antropologii Mahmooda Mamdaniego był całkowicie nieznany. Sondaże dawały mu 1 procent szans na wygraną w prawyborach i mimo doskonale prowadzonej kampanii zwiększały się przez długi czas bardzo nieznacznie. Kilka tygodni przed głosowaniem rynki predykcyjne, czyli alternatywne wobec socjologicznych badań sondażowych narzędzia przewidywania wyników wyborów, oceniały jego szanse na zaledwie 12 procent.

Murowanym faworytem był Andrew Cuomo, były dwukrotny gubernator stanu Nowy Jork, bohater czasów pandemicznych, kiedy wprowadzał reżim sanitarny i załatwiał dla mieszkańców sprzęt ochronny osobistej pomimo krytyki administracji Trumpa. Miał i inne sukcesy, inwestował w infrastruktury,

li, w kampanii będzie mógł najprawdopodobniej liczyć na wsparcie MAGA.

Spór między starszymi, doświadczonymi politykami a młodym lewicującym aktywistą, który angażował się w protesty na rzecz wolnej Palestyny i nawoływał do „zglobalizowania intifady”, doskonale obrazuje problemy i szanse antytrumpistowskiej opozycji.

Młody lider ostro skręca na lewo, proponuje sporo ekonomicznego populizmu, gdy Cuomo i pozostali demokraci głównego nurtu bronią statusu quo, upierając się, że demokracja oparta na wolnorynkowej gospodarce i coraz bardziej iluzorycznych szansach na awans społeczny wciąż jest w stanie zagwarantować obywatelom komfort i bezpieczeństwo – ale różnice programowe to tylko część obrazka, bo podobny konflikt rysuje się w niemal każdej liberalnej demokracji na świecie.

Najwięcej o szansach Mamdaniego mówi jednak nie treść jego polityki, ale forma jej uprawiania. Triumf 33-latka w prawyborach potwierdza trzy główne założenia współczesnej teorii polityki.

Po pierwsze, i w przypadku Mamdaniego, ale też Alexandrii Ocasio-Cortez bardzo ważne, dziś politykę uprawia się i triumfuje w niej za pomocą przekazu. A ściślej, za pomocą kierowania i kontrolowania uwagi wyborców. Doskonale opisał to Chris Hayes. Gospodarz programów publicystycznych w telewizji MSNBC oraz popularny analityk zmian na rynku mediów w lutym opublikował głośną książkę „Sirens’ Call”, w której zauważył, że późny kapitalizm stał się gospodarką uwagi, a nie zasobów czy kapitału w tradycyjnym tych słów znaczeniu. Hayes stawia tezę, że nawet w korporacyjnej do granic możliwości amerykańskiej polityce wyborów nie wygrywają już pieniądze, tylko uwaga. Dowodem triumf Trumpa, który przecież funduszy miał mniej niż sztab Kamali Harris, ale sprawniej surfował na falach algorytmów – nie tylko tych platformy X, którą na jego usługi oddał Elon Musk.

Tak samo było w przypadku Mamdaniego i Cuomo. Ten drugi całkowicie kontrolował przekaz

Młodego reformatora Demokraci pozbyli się tak, jakby chcieli potwierdzić wszystko, co o nich mówią i myślą wyborcy Trumpa

re, stawiał się rządowi federalnemu, chronił migrantów, liberalizował prawo aborcyjne, ale teraz startował jako polityk wracający z zaświatów. I niekoniecznie proszony, bo skompromitowany oskarżeniami o molestowanie seksualne. Aż 11 współpracownik zarzuciło mu niechciane pocałunki, obmacywanie, a także mobbing i przemoc werbalną. Po namowach całego partyjnego kierownictwa i samego Joego Bidena zrezygnował ze stanowiska.

Teraz, gdy skandal przysechł, wrócił i przez długie miesiące był pewien, że wygra nominację Demokratów – aż tu nagle Mamdani zmiótł go z powierzchni Ziemi. Bo to nie był wyścig na żłetki, w którym decydowałyby pojedyncze dzielnice. 33-latek w drugiej rundzie zdobył 56,2 procent głosów, były gubernator jedynie 43,8. Mamdani triumfował na Brooklinie, w Queens, nawet na Manhattanie. Rzecz jasna poparły go popularne, gentryfikujące się na potęgę okolice, jak Hudson Yards. Cuomo był zszokowany: w sondażach prowadził w cuglach, wspierała go partyjna starszyzna i przede wszystkim olbrzymi fundusz wyborczy, całkowicie zdominował tradycyjną przestrzeń informacyjną w telewizji i gazetach.

Były gubernator się nie poddaje, już zapowiedział start w wyborach jako kandydat niezależny, podobnie jak Eric Adams, kolejny upadły zasłużony demokrat.

Były czarnoskóry policjant z Bronksu miał wszystkie atuty, by stać się odpowiedzią na ofensywę trumpistów w klasach pracujących. Ale zarzucono mu przyjmowanie korzyści majątkowych od rządu Turcji i wszczęto śledztwo na poziomie federalnym – wstrzymane, gdy do władzy wrócił Trump. Wdzięczny Adams przyswoił część trumpistowskiej retoryki i choć oficjalnie Republikanie go nie przyje-

w telewizji i w mediach tradycyjnych, jego reklamy, zrealizowane w starym stylu, atakujące rywala i pokazujące jego samego jako herosa, były emitowane w lokalnych stacjach nawet 17 razy na godzinę. Poparły go również, choć dyskretniej, gazety – rada działu opinii „The New York Times” jednoznacznie napisała, żeby na Mamdaniego nie głosować. Nie miało to żadnego znaczenia, bo młody socjalista wygrał w serwisach społecznościowych. I to w bardzo konkretnych serwisach, bo – jak zauważa Hayes w rozmowie z Ezrą Kleinem z „New York Timesa” – mamy dziś do czynienia z co najmniej dwiema generacjami polityków w internecie i dwiema generacjami platform społecznościowych.

Sporo jest przecież polityków starej daty, którzy doskonale radzili sobie w tych przestrzeniach. Barack Obama zdominował Facebooka, a Trump, ale też Bernie Sanders, byli królami Twittera. To jednak, twierdzi Hayes, były social media pierwszej generacji, skupione na tekście. Mamdani tymczasem wywodzi się z pokolenia, które operuje obrazem – dlatego w kampanii był absolutnym cesarzem Instagrama i TikToka. Przy czym to nie jest jego czy jakichś spin doktorów wybór, dostrzeżenie trendu, autonomiczna decyzja, tylko po prostu rzeczywistość, w której działa, bo tam dzisiaj są wyborcy.

A platformy oparte na treściach wizualnych oddają znacznie więcej kontroli algorytmom. W dużym skrócie – na Twitterze mogłeś być popularny dzięki temu, co pisałeś. Na TikToku wygrasz, jeśli zrozumiesz, jak działa algorytm i co jest nośne według kodu platformy. Viralem, czyli treścią błyskawicznie się rozprzestrzeniającą, można zostać nagle, od razu, bez gigantycznego wsparcia pieniężnego. Tu kapitałem jest wyczuwanie momentu i naturalność. A Mamdani okazał się bardziej naturalny. On

i jego sztab nie tyle zrozumieli, ile po prostu przyjęli do wiadomości fakt, że dzisiaj informację przekazuje się ludziom za pomocą kilkunastosekundowych pionowych filmików.

Mamdani trząskał więc filmiki jak oszalały, ale widać było w tym strategię, która odnosi się do drugiej z trzech zasad współczesnej polityki: wyborcy właściwie wszędzie oczekują tego samego, bez względu na deklarowaną orientację ideologiczną. Najczęściej domagają się obniżenia kosztów życia, tańszych mieszkań, lepszego dostępu do usług publicznych. Słowem, co 33-latek sam powiedział w CNN, chodzi o obietnicę podniesienia jakości życia codziennego. Dla wielu górnolotne argumenty o obronie demokracji i instytucji, prawach człowieka czy klimacie są oczywiście ważne, ale ci wyborcy nie zapewnią masy krytycznej potrzebnej do zwycięstwa.

Obóz Mamdaniego to wiedział, bo ich kandydat pierwsze filmiki kampanijne na TikToku nagrywał kilka dni po listopadowym triumfie Trumpa. Pojechał wtedy do dzielnic, w których guru alt-prawicy zanotował największy przyrost poparcia, i przed kamerą pytał ludzi, co ich boli. Odpowiadali mu o problemach z bezpośredniego sąsiedztwa i ze zwykłej codzienności, choć były to przecież wybory prezydenckie, a więc federalne, górnolotne, oddalone od szarego obywatela. Tu szczególnie udowadniający, że Mamdani wiedział, co robi – bo prawie zawsze o tym, że startuje na burmistrza, mówił rozmówcom w ostatnim zadaniu, ostatniej sekundzie filmu. TikTok i Instagram ograniczają zasięgi treści politycznych, więc trzeba ich unikać. Chyba że się je sprytnie przemyci na końcu – co sprawdziło się nie tylko w Nowym Jorku, ale też w przypadku Calina Georgescu, mistyczno-newage'owego rumuńskiego kandydata na prezydenta utuczonych w serwisach społecznościowych na rosyjskich pieniądzach i dezinformacji.

Tu kłania się zasada trzecia mówiąca, że nawet jeśli problemy wyborców dalo by się rozwiązać za pomocą istniejącego systemu i jego instytucji, lepiej obiecać, że wywróci się stół. Dobrze ilustruje to projekt darmowych autobusów miejskich lansowany przez Mamdaniego. Żeby go zrealizować, potrzebowałby 700 mi-

lionów dolarów rocznie – a więc musiałby podnieść podatki, uprzednio przekonując do tego radę miasta. „New York Magazine” w szczegółowej analizie problemów komunikacyjnych miasta wyliczył, że szybciej i taniej zmianę na lepsze przyniosłoby po prostu zwiększenie liczby kursów i rozbudowa taboru. Mamdani jednak upiera się, że nie czas na delikatne reformy, trzeba podłożyć bombę, wprowadzać radykalne z amerykańskiego punktu widzenia rozwiązanie.

Nie wszyscy w Partii Demokratycznej się z nim zgadzają. Biegunowo odległy od jego sposobu uprawiania polityki jest inny pozytywny bohater ostatnich miesięcy, Gavin Newsom. Gdy Mamdani zbliża się do wyborców, mówi o kwestiach materialnych i bryluje na TikToku, gubernator Kalifornii robi z siebie męczennika walki o demokrację.

Jego ambicje prezydenckie nie są żadną tajemnicą, od lat był wymieniany w gronie kandydatów na najwyższy urząd. Przypomniął o sobie w czerwcu, kiedy Trump wysłał na ulice Los An-

Dla 33-latka Mamdaniego nie ma znaczenia, że w listopadowych wyborach na burmistrza Nowego Jorku nie poparł go żaden liczący się kongresmen Partii Demokratycznej. On ma TikToka

geles regularne wojsko, żeby pacyfikować relatywnie niewielkie, prawie w całości pokojowe demonstracje przeciwko deportacjom imigrantów. Newsom od razu wszedł w zwarcie, najostrzej, jak się da. Sam zachęcał Biały Dom, żeby agenci federalni wyprowadzili go z rezydencji gubernatora w kajdankach. W wystąpieniu do mieszkańców stanu jako pierwszy ważny polityk Demokratów wypalił wprost, że kraj spada w przepaść autorytaryzmu. Jednocześnie od dawna powtarza, że partia musi porzucić polityczną poprawność i kulturowy zwrot na lewo.

We własnym podcaście stwierdził, że wołke było gigantycznym błędem, czas na korektę kursu. Swoim wyborcom, obecnym i przyszłym, chce pokazać, że nie boi się konfrontacji, a z Trumpem jest gotów bić się – nawet dosłownie – na gołe pięści.

Niewiele przy tym mówi jednak o rozwiązywaniu problemów, które rozsadzają jego stan od środka. Rozwarstwienie społeczne, bezdomność, przestępczość zorganizowana, katastrofa klimatyczna – to dla Newsoma tematy znacznie mniej ważne niż krytyka lewicy ze Wschodniego Wybrzeża i prowokowanie Trumpa czy ekscelebryty Fox News, sekretarza obrony Pete'a Hegsetha.

W dryfującej Partii Demokratycznej jest jeszcze kilka postaci, które mają spore poparcie w konkretnych, wybranych częściach elektoratu.

Senator Chris Murphy z Connecticut zdobył popularność, próbując zwalczać wszechobecną korupcję w administracji Trumpa. Ma charyzmę, jest sprawny retorycznie, akceptuje go establishment, a ekonomicznie blisko mu do Mamdaniego. Beto O'Rourke, były kongresmen z Teksasu, robi furorę w serwisach społecznościowych, bo niemal codziennie spotyka się z uboższymi wyborcami i zapowiada, że odbije Stan Samotnej Gwiazdy z rąk Republikanów – przy okazji przeklinając przed kamerą jak szewc. Do tego dopisać trzeba in blanco kilka, kilkanaście nieznanych jeszcze nazwisk, które wystrzelią w najbliższych miesiącach tak jak Mamdani.

No i być może do polityki wróci David Hogg, wpisujący się w nurt aktywistyczno-lewicowy. Wszystko jest możliwe, bo liberalne centrum się kurczy, elity nie mają pomysłu na przyszłość, tylko wegetują przywiązane do starych idei i formatów komunikacyjnych. Żaden z liczących się kongresmenów Partii Demokratycznej poza Ocasio-Cortez nie popiera publicznie Mamdaniego w listopadowych wyborach na burmistrza Nowego Jorku – choć to już przecież oficjalny kandydat partii. Ale dla młodego mistrza TikToka to bez znaczenia i nawet gdyby jawnie go się wyparli, nie zrobi mu to żadnej różnicy.

Bo ci ludzie, choć skupiają uwagę szacownych mediów i poważnych komentatorów, co wciąż stwarza wrażenie, że są głównym nurtem i kreatorami wydarzeń, w amerykańskich kampaniach wyborczych nie mają już sprawczości.

WA

Jeśli przyjrzeć się różnym amerykańskim operacjom specjalnym nadzorowanym z Situation Room, to ich efekty były często podobne. Nawet największy sukces w pewnym sensie był świadectwem klęski.

Mariusz Zawadzki

Kiedy amerykańskie bombowce zrzucały gigantyczne 14-tonowe bomby na irański ośrodek atomowy, miesiąc temu, Trump i jego ludzie obserwowali nalot w Situation Room, czyli w tzw. Kryzysowym Pokoju w piwnicach Białego Domu. To piwniczne zgromadzenie uwieczniono na serii zdjęć przekazanych mediom. Żadne z nich nie dorównuje słynnemu zdjęciu Baracka Obamy i jego ludzi sprzed 14 lat, kiedy – również w Situation Room – obserwowali komandosów wysłanych do Pakistanu z misją zabicia Osamy bin Ladena.

Zdjęcie z 2011 r. ma walor autentyczności: na twarzy Obamy widać napięcie i nerwy, sekretarz stanu Hillary Clinton zakrywa twarz dłonią, większość ludzi jest w koszulach bez marynarek, wszyscy stłoczeni i wpatrzeni w monitor, wokół nich gołe białe ściany, a na stole sterta laptopów i kubków z kawą.

Dla odmiany zdjęcia z Trumpowego Situation Room są pozowane i w stylu glamour. Prezydent siedzi w swojej czerwonej czapeczce z napisem „Make America Great Again” i robi srogo majestatyczne miny. Białe ściany zastąpiły piękne drewniane panele

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34386764

15–17.08.2025

Olsztyn
green
festival

NA WARMII I MAZURACH

3 dni
3 sceny
36 koncertów

PLAŻA MIEJSKA
NAD JEZIOREM UKIEL

PROBL3M

BRODKA O.SADZA

PAWEŁ DOMAGAŁA

SOBEL

MARGARET

NOSOWSKA / KRÓL

MROZU

ORGANEK MTV UNPLUGGED

i inni

ORGANIZATOR:
wyborcza.pl

WSPÓŁORGANIZATOR:
OLSZTYN

PARTNER GŁÓWNY:
WARMIA MAZURY

PARTNER STRATEGICZNY:
LOTTO

SPONSOR STRATEGICZNY:
PERŁA

SPONSOR STRATEGICZNY:
HYUNDAI

SPONSOR STRATEGICZNY:
ING

SPONSOR STRATEGICZNY:
PEPSI

SPONSOR STRATEGICZNY:
Energa

PARTNER PARTNOSCI:
PayPo

PARTNERZY TECHNOLOGICZNI:
NASK

PARTNER EXO:
Ministerstwo Cyfryzacji

PARTNER MEDIAŁNE:
dobra energia
ZET chillizet GAZETA.PL ams HELIOS helios media

PARTNER TERENO:
OSIR

PARTNERZY EDUKACYJNE:
KORTO SFERA

SPONSORZY:
Kinder
ORIFLAME
AZZARO
cacharel
instax
Jordan
essence
Alcon
MICHELIN
MPEC
zook
GALERIA WARMIŃSKA
Aura
80
REMONDIS

eprasa.pl ce1cc5bd10

1 RP

ZNI LUDZIE W PIWNICY

z mahoniowego drewna – kilka lat temu pokój przeszedł renowację.

Ludzie Trumpa się nie tłoczą, tylko siedzą wygodnie w pięknych wyprasowanych garniturach przy ogromnym, długim mahoniowym stole i w ogóle nie wyglądają na zdenerwowanych, bo też i nie ma się czym denerwować. Bombowcom B-2 nic nie groziło, irańska obrona przeciwlotnicza była zniszczona we wcześniejszych bombardowaniach przeprowadzonych przez Izrael. Jeśli coś w ogóle było widać na monitorze, to zapewne tylko jakieś eksplozje w oddali. Nie mogły one wywołać wielkich emocji, bo na co drugim seansie w kinie pokazują dużo efektowniejsze, lepiej sfilmowane wybuchy.

Czy w Situation Room rzeczywiście ważą się losy świata?

W 2011 r. sytuacja była bardziej stresująca. Po pierwsze amerykańscy komandosi operowali na terenie obcego kraju, który nie został ostrzeżony. Jeden z ich helikopterów rozbił się przy lądowaniu. Po drugie: do końca nie było pewne, czy mieszkaniec domu, na który przeprowadzono najazd, naprawdę jest przywódcą Al-Kaidy poszukiwanym przez Amerykanów od ponad 10 lat. Przed akcją CIA szacowała, że tzw. Spacero-wicz – tak roboczo nazwano gospodarza domu – jest Osamą na około 40 proc.

Jeśli w ogóle coś łączy zdjęcia z Situation Room sprzed miesiąca i sprzed 14 lat – to tylko tyle, że na jednych i drugich widzimy Bardzo Ważnych Ludzi obserwujących na żywo odległe, ważne wydarzenia, które sami wykreowali. Ten klimat oddaje tytuł wydanej właśnie w Polsce książki George’a Stephanoupulosa „Situation Room. Pokój, w którym ważą się losy świata”.

Ale czy w Situation Room rzeczywiście ważą się losy świata?

Wprawdzie nigdy nie byłem w piwnicach Białego Domu, ale podczas wojny w Iraku byłem w miejscu dość podobnym: w centrum dowodzenia bazy USA w Bakubie. Do dziś nie rozumiem, czemu Amerykanie mnie tam wpuścili. Dla porównania, polscy żołnierze nie chcieli mnie nawet przepuścić przez bramę swojej bazy w Babilonie, nie mówiąc o jakimkolwiek centrum dowodzenia, bo nie przełaksowałem im stosownego podania do Ministerstwa Obrony Narodowej.

Jak w filmie z Jamesem Bondem

Centrum dowodzenia w Bakubie to była duża sala, w której kilkudziesięciu żołnierzy obserwowało okolicę za pomocą dronów, satelitów i radarów. Kilka monitorów pokazywało newralgiczne punkty miasta, choć na jednym trwała transmisja meczu NBA, tylko dźwięk był wyciszony.

Na elektronicznej mapie migające punkciki pokazywały aktualną pozycję amerykańskich patroli. Oczywiście każdy z nich miał stałą łączność z centrum dowodzenia. Kiedy rebelianci odpalili w naszą stronę pociski z moździerzy, radary wykryły ich pozycję w ułamku sekundy, analitycy ekspresowo sprawdzili, czy można odpowiedzieć ogniem, tzn. czy ryzyko ofiar cywilnych nie jest zbyt duże, a chyba już minutę później na rebelianckie pozycje spadły amerykańskie bomby, co obserwowaliśmy na żywo na monitorze za pośrednictwem kamery z drona.

Tymczasem my byliśmy bezpieczni, bo komputery przeliczyły trajektorię lotu wrogich pocisków i oszacowały, że spadną obok bazy.

Będąc w tym niesamowitym centrum dowodzenia, żywo przypominającym filmy z Jamesem Bondem, można było ulec złudzeniu, że Amerykanie mają pełną kontrolę nad sytuacją. Że tam właśnie, w tym pokoju, ważą się losy Bakuby i jej mieszkańców.



• **21.06. 2025. Trump w czasie bombardowania Iranu. N/z: szefowa sztabu Susie Wiles, szef Kolegium Szefów Sztabów Dan Caine, wiceprezydent J.D. Vance i sekretarz stanu Marco Rubio**

FOT. OFFICIAL WHITE HOUSE PHOTO BY DANIEL TOROK

• **1.05.2011. Prezydent Obama, wiceprezydent Joe Biden i sekretarz stanu Hillary Clinton obserwują akcję szukania w Pakistanie Osamy Bin Ladena**

FOT. OFFICIAL WHITE HOUSE PHOTO BY PETE SOUZA

Ale w rzeczywistości nie mieli żadnej kontroli – miasto było sterroryzowane przez rebeliantów, posterunki policji opuszczone lub spalone, poza jednym, do którego wysłano oddział amerykańskich żołnierzy. Iracy policjanci byli tak wystraszeni, że prawie w ogóle nie opuszczali ostatniego posterunku, a jeśli już, to tylko w chustach zakrywających twarze, dlatego bardziej przypominali rebeliantów niż policjantów.

Tak było nie tylko w Bakubie, ale w całym Iraku. Amerykanie, mimo niesamo-

witej technologicznej i militarnej przewagi, utracili kontrolę nad okupowanym przez siebie krajem i zapanował chaos. Po kilku latach wyłonił się z tego chaosu samowznający kalifat, który fanatyczni muzułmanie stworzyli na terenie północnego Iraku i wschodniej Syrii.

Jeśli przyjrzeć się różnym amerykańskim operacjom nadzorowanym z Situation Room, to efekty były często podobne. Nawet największy sukces – wspomniana wyżej akcja komandosów – w pewnym sensie była świadectwem klęski.

Dzieci poparzone napalmem

Kiedy Amerykanie zabili Osamę bin Ladena, nie był on realnym przywódcą Al-Kaidy, tylko starym, całkowicie odizolowanym od świata i od swoich fanów emerytem, który od lat ukrywał się na przedmieściach pakistańskiego Abbottabadu.

Jego śmierć nie miała absolutnie żadnego wpływu na losy świata. Co więcej, tamtej nocy stało się oczywiste, że cała wojna w Afganistanie nie miała żadnego sensu. Dziesięć lat wcześniej zaczęła się od amerykańskiej inwazji i obalenia talibów, dziesięć lat później zakończyła się amerykańską reteradą i powrotem talibów do władzy.

Problem terrorystów Al-Kaidy i kary za zamachy 11 września 2001 r. należało załatwić taką właśnie akcją komandosów, którą – gdyby nie wojna – zapewne można było przeprowadzić wiele lat wcześniej.

Największym fanem Situation Room ze wszystkich amerykańskich prezydentów był Lyndon Johnson. Przesiadywał w piwnicach Białego Domu całymi godzinami, często przychodził już o świcie, na bieżąco i nalogowo czytał raporty od amerykańskich szpiegów i dyplomatów, ale jakoś nie

wyczytał w nich, że wojna w Vietnamie – podobnie jak późniejsze wojny w Iraku i Afganistanie – nie ma sensu.

Zrozumiał to dopiero jego następca Richard Nixon, który – o ironio! – nie znosił Situation Room i prawie nigdy tam nie był. Niestety „honorowe zakończenie wojny”, które obiecał wyborcom w kampanii 1968 r., zajęło mu aż cztery lata i ostatecznie nie było zbyt „honorowe” – jak widać np. na słynnych zdjęciach z ewakuacji helikopterami z dachu ambasady USA w Sajgonie. Lub na innym znanym ujęciu, na którym wzdłuż szosy biegną dzieci poparzone napalmem, w tym naga, krzycząca z bólu dziewczynka na pierwszym planie.

Oczywiście decyzje, które zapadły w Situation Room, zaważyły na losach tej dziewczynki, oraz setek tysięcy innych ludzi, ale nijak nie przybliżyły celów, które chcieli osiągnąć decydenci. Ani Johnson, ani Nixon nie byli w stanie odwrócić losów wojny w Vietnamie.

Pijany Nixon z pijanym Breżniewem

Nawet w tych rzadkich przypadkach, kiedy losy świata istotnie ważyły się w Situation Room, była w tym jakaś ironia losu czy niezamierzone szyderstwo z systemu. Jak powszechnie wiadomo, w piwnicy Białego Domu znajduje się końcówka gorącej linii między Moskwą i Waszyngtonem.

Wbrew miejskiej legendzie nie był to nigdy telefon, tylko kanał łączności tekstowej – kiedyś teleksowej, potem faksowej czy e-mailowej – umożliwiający szybki kontakt przywódców supermocarstw. Obydwie strony pisały do siebie w swoim ojczystym języku. Wiadomości z Moskwy najpierw docierały do Pentagonu, gdzie dyżurny tłumacz przekładał je na angielski i przysyłał dalej do Situation Room.

Gorąca linia wydawała się szczególnie przydatna w 1973 r., kiedy wybuchła kolejna wojna Izraela z krajami arabskimi, która mogła się zamienić w konflikt supermocarstw, bo USA popierały Izrael, a ZSRR – kraje arabskie.

Niestety pech chciał, że w tamtym czasie przywódcy obu krajów – Nixon i Leonid Breżniew – byli najczęściej pijani, dlatego przez gorącą linię korespondowali ich najbliżsi współpracownicy, przy czym jedni i drudzy o tym fakcie nie wiedzieli. Tzn. doradcy Nixona w Situation Room – wśród nich Henry Kissinger – myśleli, że korespondują z Breżniewem, a doradcy Breżniewa na Kremlu myśleli, że korespondują z Nixonem.

Kissinger – zanim umarł w 2023 r. w wieku stu lat – tak mówił Stephanopoulosowi o Situation Room: „To bardzo zwyczajne pomieszczenie i kiedyś człowiek znajdzie się w środku, najchętniej od razu by stamtąd wyszedł. Z drugiej strony fakt, że ktoś jest w Situation Room, świadczy o jego statusie. Nikt bez odpowiedniego statusu by tam nie trafił”.

Ten cytat jest kluczowy dla zrozumienia specyfiki Situation Room. Raczej rzadko, jeśli w ogóle, decydują się tam losy świata. Ale bardzo często ten legendarny pokój jest wypełniony ludźmi, którym wydaje się, że są tak ważni, mądrzy i potężni, że decydują o losach świata. ●



• George Stephanopoulos „Situation Room. Pokój, w którym ważą się losy świata”. Wydawnictwo Prószyński 2025

Jak Izrael na nowo układa Bliski Wschód

JEROZOLIMSKI KONCERT MOCARSTW

Przez ponad 80 lat Bliski Wschód formowała opozycja wobec Izraela. Dziś to Izrael formuje Bliski Wschód.

Robert Stefanicki

Izrael dokonał wielkich historycznych osiągnięć i uplasował się w czołówce światowych mocarstw”, ogłosił premier Benjamin Netanjahu, kiedy w czerwcu informowa o zawieszeniu broni po 12-dniowej wojnie, podczas której izraelskie i amerykańskie samoloty niszczyły irańskie instalacje wojskowe i nuklearne.

Twierdzenie o 10-milionowym „światowym mocarstwie” wielkości Słowenii można by uznać za hucpę w stylu Donalda Trumpa, który codziennie pieje o swoich osiągnięciach zgodnie z zasadą, że jak sam się nie pochwalisz, to nikt cię nie pochwali. Ale jest niepoprawnie podstaw.

W latach 40. sama perspektywa powstania państwa izraelskiego wystarczyła do zawiązania panarabskiej koalicji, która wzięła się do bojkotu, a potem do działań zbrojnych w obronie Palestyńczyków.

Dziś natomiast Arabowie patrzą w gruncie rzeczy obojętnie – jeśli pominąć retorykę – jak Izrael zabija kolejne tysiące ich współwyznawców w Strefie Gazy. Ta powolna, ponura rzeź więcej emocji budzi na zachodnich kampusach niż w muzułmańskich stolicach.

A kiedy Izrael ruszył na Iran, sąsiednie reżimy arabskie uczynnie przechwytywały irańskie pociski wycelowane w Tel Awiw. Osłabienie Iranu jest im bardziej na rękę niż osłabienie Izraela.

Nagły schyłek tworzonej przez Iran „osi oporu”

Tymczasem jeszcze do niedawna to ajatollahowie triumfowali. W 2003 r. Amerykanie obalili Saddama Husajna, przekształcając Irak, największego i najgroźniejszego sąsiada Iranu, w jego wasala. Milicje proirańskie odparły zagrożenie dla Bagdadu ze strony ISIS, a następnie zyskały duży wpływ na politykę, gospodarkę i obronność Iraku.

Siły wysłane przez Iran do Syrii ratowały reżim Baszara al-Asada przed rebeliantami i pilnowały linii zaopatrzenia w broń dla Hezbollahu w Libanie. Hezbollah był perłą w koronie „osi oporu”, którą Iran utworzył przeciwko Izraelowi. Kiedy przywódca Hamasu zdecydowali się zaatakować Izrael 7 października 2023 r.



• Prezydent Donald Trump ostatnio podejmował premiera Benjamina Netanjahu w Białym Domu 7 lipca

– i sprowokować trwającą do dziś wojnę – musieli kalkulować, że dostaną wsparcie z zewnątrz. Okazało się ono jednak skromne. Hezbollah bez większego entuzjazmu posyłał rakiety na północny Izrael. W Jemenie inny klient Teheranu, Huti, na Morzu Czerwonym celowali w statki handlowe rzekomo powiązane z Izraelem. A Iran, mając na względzie własne bezpieczeństwo, się od tego dystansował.

Pomocnicy Hamasu ściągnęli na siebie zgubę. Izrael pokazał, że potrafi zinfiltrować wroga i zdziśiatkować ich szeregi, przy niskich stratach własnych. Z ponad 500 pocisków, które Iran wystrzelił w Izrael, tylko około 40 przedostało się przez obronę powietrzną, zabijając 28 osób – znacznie mniej, niż obawiano się przed wybuchem wojny. Huti w odległym Jemenie się jeszcze trzymają, ale Hamas i Hezbollah walczą już nie o wygraną, ale o przetrwanie. Asad w Syrii upadł w rezultacie ofensywy sunnickich rebeliantów, a izraelskie lotnictwo zniszczyło dużą część arsenałów armii Asada.

Kancelarz Niemiec dziękuje Netanjahu za wykonanie „brudnej roboty”

Wywołując wojnę z Iranem, Netanjahu trafił kilka wróbli jednym kamieniem. Co najmniej znacznie opóźnił postępy irańskiego programu nuklearnego. Zrujnował perspektywę rozwiązania dyplomatycznego pomiędzy USA a Iranem, a także planowany szczyt francusko-saudyjski, na którym kraje europejskie mogłyby formalnie uznać państwo palestyńskie. I odwrócił uwagę społeczności mię-

dzynarodowej od Strefy Gazy. Kancelarz Niemiec Friedrich Merz podczas ostatniego szczytu G7 podziękował Izraelowi za „wykonanie brudnej roboty za nas wszystkich”.

W ciągu kilku miesięcy rozpadło się to, co król Jordanii Abdullah II nazwał kiedyś „szyckim półksiężycem”, a co w założeniu miało być „szyckim NATO” – siecią uzbrojonych sojuszników Teheranu od Iraku, przez Syrię, po południowy Liban.

Budowano ją od rewolucji islamskiej w 1978 r. Chomeini, pierwszy najwyższy przywódca Iranu, dążył do eksportu swojego modelu rewolucyjnego islamizmu do innych państw muzułmańskich. Nigdy się to nie udało, niemniej Iran potrafił wykorzystać swoją ideologię, wojsko i pieniądze do pozyskiwania sojuszników i osłabiania przeciwników.

W Iraku uścisk irański zaczął słabnąć od czasu zabójstwa, na polecenie prezydenta Donalda Trumpa, popularnego irańskiego generała Kasima Sulejmaniego, który koordynował operacje zagraniczne Teheranu jako dowódca sił Al-Kuds, elitarnego ramienia Gwardii Rewolucyjnej. Pięć lat później zdziśiatkowanie przez Izrael dowództwa tej formacji oraz zdewastowanie zdolności Iranu do wzbogacania uranu obnażyło słabość reżimu Chameneiego i pogłębiło w Irakijczykach pragnienie uwolnienia się od jego kurateli.

Syria głównym „poligonem nowego porządku”

Kluczowa dla nowej architektury Bliskiego Wschodu jest zmiana w Syrii. Alawicki, świecki klan Asadów na poziomie ideologii

miał niewiele wspólnego z republiką islamską, ale sprzymierzył się z nią z powodu wzajemnej niechęci do Izraela i Iraku pod rządami Saddama. Teraz, po przejęciu władzy przez sunnickich rebeliantów, Damaszek po raz pierwszy od dziesięcioleci przestał być narzędziem w konflikcie irańsko-izraelskim. Izraelskie samoloty, które dopiero co bombardowały syryjskie wyrzutnie rakiet i magazyny wojskowe, teraz nad Syrią uzupełniają paliwo w drodze do nalołów w Iranie.

USA dążą do uznania Izraela przez nowy rząd w Damaszku, który ma korzenie w grupach dżihadystów – czyli nieprzejednanych wrogów państwa żydowskiego, ale też szyizmu. To całkiem realna perspektywa, bo nowe kierownictwo Syrii uznało, że droga do sukcesu wiedzie przez pełną zgodę z monarchiami Zatoki Perskiej i z Zachodem.

Arabia Saudyjska, Turcja i Zjednoczone Emiraty Arabskie pragną odbudować Syrię i przekształcić ją w węzeł gospodarczy i komunikacyjny regionu. Jedyną niewiadomą jest to, czy uda się zapobiec wybuchowi tam walk wyznaniowych, do czego dążą poplecznicy Asada, jak też fanatycy sunniccy po drugiej stronie. W marcu masakra alawitów pochłonęła 1,6 tys. ofiar śmiertelnych. W czerwcu zamachowiec-samobójca zabił 25 osób podczas nabożeństwa grecko-prawosławnego w Damaszku. W lipcu wybuchły starcia pomiędzy Druzami (wspieranymi przez Izrael) i plemionami beduinów.

Niektórzy wieszczą zmierzch wojowniczego szyizmu i separatyzmów mniejszości szyickich. Ogra-

niczenie wpływów Iranu ma powodować, że społeczności szyickie od Syrii, przez Arabię Saudyjską, po Bahrajn mogą dążyć do integracji zamiast separacji.

„Syria staje się obecnie głównym poligonem testowym dla nowego porządku”, pisze korespondent „New York Timesa” z Damaszku.

„Kraje z większością sunnicką, na czele z Arabią Saudyjską i Turcją, są zdeterminowane, by pogrzebać różnice wyznaniowe, które postrzegają jako zagrożenie dla stabilności politycznej i rozwoju gospodarczego”.

A co z Palestyńczykami? Ich regionalni pobratymcy patrzą przede wszystkim na interes własny. Widać to było już za pierwszej kadencji Trumpa, kiedy pod naciskiem USA kilka państw arabskich uznało Izrael w ramach tzw. Porozumień Abrahamowych, mając na względzie perspektywy biznesowe i strategiczne, zwłaszcza współpracę wojskową i technologiczną z USA i Izraelem.

Wojna wywołana atakiem Hamasu zahamowała ten proces, ale Arabia Saudyjska dalej sygnalizuje, że byłaby gotowa nawiązać relacje z rządem Netanjahu, jeśli tylko uzna on państwo palestyńskie w granicach z 1967 r., ze Wschodnią Jerozolimą jako stolicą.

Im słabszy Iran, tym większa ulga Arabów

Arabowie z ulgą powitali uderzenie w irański program nuklearny. Miał on być tarczą ochronną dla reżimu Chameneiego oraz próbą strategicznego zrównoważenia Izraela, jedyne mocarstwa atomowego w regionie. Mimo że od dwóch lat trwa wyraźne odprężenie w na linii Rijad-Teheran, to irańska bomba mogłaby też potencjalnie zagrozić reżimom arabskim, a na pewno wymusić w regionie kosztowny atomowy wyścig zbrojeń.

Doktrynalny spór sunnicko-szyicki, sięgający 1400 lat wstecz, w XX wieku przybrał postać wojny przez pośredników o przywództwo w świecie islamu. Szyici, choć stanowią mniej niż 20 proc. wszystkich muzułmanów, mieli nieproporcjonalnie duży wpływ dzięki Iranowi.

Z kolei za czołowego reprezentanta sunnitów wysforowała się, dzięki petrodolarom i odmłodzeniu swojego kierownictwa, Arabia Saudyjska, detronizując tradycyjne przywództwo Egiptu. Do tego mianą aspiruje też Turcja pod przywództwem charyzmatycznego Recepta Tayyipa Erdogana, lecz jej oddziaływanie, jako kraju niearabskiego, jest ograniczone.

Obecnie spadło znaczenie różnic religijnych – te zajmują wyłącznie radykałów, którzy dominują już tylko w Afganistanie. Domi-

nują względy strategiczne i gospodarcze. Rządy arabskie są pod presją boomu demograficznego, potrzebują miejsc pracy dla młodych ludzi. Chaos w regionie pokrzyżowałby ich plany.

Dlatego do koalicji sunnickiej de facto dołącza Izrael, który coraz bardziej sprzymierza się z reżimami arabskimi przeciwko Iranowi.

Gdy podpisywano Porozumienia Abrahamowe, sunniccy uczeni dali temu podkładkę, argumentując, że walka z antysemityzmem jest islamskim obowiązkiem, gdyż Koran odnosi się do Żydów jako „Ludu Księgi”.

Najsłabszy punkt planu Netanjahu: Palestyńczycy

Czy premierowi Netanjahu uda się zrealizować wizję zaprowadzenia pokoju siłą? Jest kilka niewiadomych.

Nie jest pewne, jak bardzo ucierpiał program nuklearny Iranu i czy nie uda się go reaktywować w tajemnicy. Niemniej wydaje się, że zdolność i chęć Teheranu do działań ofensywnych – czy to bezpośrednio, czy za pomocą sojusznicznych grup – została mocno ograniczona.

Izrael nie zamierza spocząć na laurach. W całym regionie stosować będzie „koszenie trawy”, jak nazywa ponawiane ataki w celu osłabienia i dezorganizacji wrogów. Robił to i wcześniej, z wątpliwym skutkiem, jak pokazał atak z 7 października – po latach „koszenia” Hamasu, wcześniej dopieszczanego jako konkurenta dla Autonomii Palestyńskiej.

– Lekcja, jaką Izraelczycy wyciągnęli z 7 października, nie polega na tym, że koszenie trawy nie działa. Po prostu nie wolno pozwalać trawie urosnąć za wysoko, trzeba kosić ją częściej i na krótko – powiedział Raphael Cohen, analityk wojskowy w Rand Corporation, portalowi Vox.

Inny cytowany tam ekspert, Michael Koplow z amerykańskiego Israel Policy Forum, zauważa, że Netanjahu nie wierzy w kompromis z Iranem, w którym widzi źródło wszelkich problemów Izraela. – Uważa, że im bardziej Izrael będzie demonstrował siłę, tym łatwiej będzie mu normalizować stosunki z innymi krajami. Zobaczymy czy to zadziała – zastrzega Koplow. – Jest ryzyko, że wpadniemy w niekończącą się serię ataków militarnych i tak naprawdę nie osiągniemy celu.

Pozostaje „wieczny” problem palestyński. Netanjahu po zniszczeniu Strefy Gazy wyraźnie zmierza w stronę jej kolonizacji, najlepiej po usunięciu stamtąd ludności, która miałaby zostać „dobrowolnie” – nie mogąc znieść piekła na ojczystej ziemi, jakie jej zgotował – przesiedlona do innych krajów, podczas gdy w Strefie Gazy powstanie zapowiadziane przez Trumpa eldorado dla deweloperów i turystów.

Trudno sobie wyobrazić przesiedlenie 2 mln Palestyńczyków np. na Cypr, o czym mówią ostatnie spekulacje. Oskarżenia przeciwko Izraelowi o zbrodnie przeciwko ludzkości będą się nawarstwiać, antysemityzm będzie miał pożywkę. Ale dla państw arabskich takie rozwiązanie może być do przyjęcia; ulemowie raz jeszcze przewertują Koran i znajdą pasującą uzasadnienie. ●

Kto odpowiada za głód w Strefie Gazy

Międzynarodowa krytyka działań Izraela w Strefie Gazy jest tak ostra, jak nigdy dotąd. Ludzie giną niemal codziennie w pobliżu centrów dystrybucji pomocy. I nawet w izraelskiej armii narastają wątpliwości.

**Daniel-Dylan Böhmer
Philip Volkmann-Schluck**

WELT

W minioną niedzielę konwój 25 ciężarówek przewożących żywność ledwo przekroczył granicę na północy Strefy Gazy, gdy setki palestyńskich cywilów rzuciły się na niego. Zdesperowani ludzie koczowali w tym miejscu, oczekując na transport z jedzeniem.

Według zgodnych zeznań świadków i pracowników Światowego Programu Żywnościowego ONZ, żołnierze Sił Obronnych Izraela (IDF) otworzyli ogień. Agencja AP, powołując się na dane ze szpitali, pisze o co najmniej 80 ofiarach śmiertelnych. Rzecznik armii potwierdził, że zginęli ludzie, ale tłumaczył, że żołnierze początkowo oddali „strzały ostrzegawcze”, aby powstrzymać tłum i zapobiec „bezpośredniemu” zagrożeniu dla oddziałów.

Dlaczego podczas dystrybucji giną cywile

Jednak to nie jedyna w ostatnich tygodniach informacja tego typu. Niemal każdego dnia w pobliżu centrów dystrybucji pomocy giną ludzie. Według ONZ takich ofiar jest już ponad tysiąc. Organizacje międzynarodowe oskarżają Izrael o podporządkowanie pomocy humanitarnej swoim celom wojskowym i dopuszczenie do klęski głodu w Gazie. Szokujące zdjęcia pokazują głodujących i chorych ludzi, w tym wiele potwornie wychudzonych dzieci.

Izraelski dziennikarz Shlomi Eldar obecnie pracuje jako korespondent dla Channel 13, ale pisze o Gazie od 30 lat. „Nie mogę sprawdzić wszystkich doniesień o ofiarach śmiertelnych podczas dystrybucji żywności”, mówi, „ale dwa dni temu rozmawiałem przez telefon z moim przyjacielem Muinem al-Hiluhem, który żyje w Gazie. Powiedział mi, że jego siostrzeniec zginął od kuli, gdy poszedł odebrać jedzenie z ciężarówki, którą wypuściła izraelska armia. Sam Muin głoduje, jest już zbyt słaby, by wstać z łóżka”, relacjonuje Eldar. „Znam go i wielu innych ludzi w Gazie, z którymi utrzymuję kontakt, od lat. Ufam im. Nie mam wątpliwości, że w Gazie panuje powszechne niedożywienie. Jeśli nic się szybko nie zmieni, rzesze ludzi mogą tam po prostu umrzeć z głodu”.

Na początku roku Izrael zakazał organizacji humanitarnej UNRWA dostarczania pomocy, ponieważ Hamas systematycznie kradł część towarów. Od końca maja największym dystrybutorem pomocy jest prowadzo-

na przez Izrael Fundacja Pomocy Humanitarnej w Strefie Gazy (GHF). Ale od tego czasu w Strefie działa znacznie mniej punktów dystrybucji, a ludzie często muszą przejść wiele kilometrów przez strefy walk, aby do nich dotrzeć. Muszą jednak podejmować ryzyko.

Według izraelskich władz, każdego dnia do Strefy wjeżdża od 200 do 300 ciężarówek z zaopatrzeniem. „Ale nie wystarczyło by nawet 600 ciężarówek dziennie – przecież potrzeba tysięcy, aby zaopatrzyć w podstawowe racje żywnościowe dwa miliony ludzi”, mówi Eldar.

W ub. tygodniu 25 rządów europejskich wezwało do zakończenia walk i natychmiastowej poprawy sytuacji zaopatrzeniowej. Według nich, obecny model dostarczania pomocy jest „nieskuteczny, zwiększa niestabilność i odziera ludzi z ich godności”.

Bruksela niedawno wymogła na rządzie Benjamina Netanjahu, że dostawy pomocy humanitarnej zostaną „znacznie poprawione” – w zamian, według źródeł dyplomatycznych, obiecując zaniechanie sankcji wobec Izraela. Jednak MSZ Izraela odrzuciło w środę krytykę i powtórzyło, że za sytuację odpowiedzialny jest Hamas, ponieważ nie chce ani uwolnić zakładników, ani złożyć broni.

Pracownicy Fundacji Humanitarnej w Strefie oskarżają terrorystyczną milicję o sabotowanie dystrybucji i atakowanie osób potrzebujących pomocy. Udostępnione przez nich nagrania pokazują członków Hamasu, którzy najwyraźniej karzą ludzi za przyjmowanie pomocy.

Istnieje jednak wiele doniesień, uznanych za wiarygodne przez ekspertów medycyny sądowej, że większość cywilnych ofiar w pobliżu centrów dystrybucji zginęła od izraelskich kul. „Haaretz” napisał na podstawie źródeł w armii, że dowódcy IDF „pod pewnymi warunkami” zezwolili na strzelanie ostrą amunicją do cywili.

Dziennikarz Shlomi Eldar jest sceptyczny wobec doniesień o celowym zabijaniu przez armię palestyńskich cywilów. Jego zdaniem bardziej prawdopodobne są poważne błędy w szacowaniu sytuacji, gdy młodzi poborowi bez dowiadzczenia są konfrontowani z tłumem zdesperowanych ludzi. „Natomiast co do oskarżeń Izraela, że Hamas przejmuje pomoc z ONZ, nie mogę tego ani potwierdzić, ani temu zaprzeczyć”, mówi Eldar. „Jasne jest jednak, że Hamas robi wszystko, co w jego mocy, aby mieć kontrolę nad dystrybucją pomocy. W ten sposób chce dowieść, że nadal dzierży władzę w Strefie”.

Jednak według dochodzenia przeprowadzonego przez „Washington Post”, Hamas jest w tej chwili w całkowitej rozsypce i nie jest nawet w stanie opłacić swoich bojowników czy personelu administracyjnego. Raport stwierdza, że Hamas faktycznie uzyskiwał ostatnio większość swoich dochodów z kradzieży pomocy i z przymusowych opłat, których doma-

gał się od lokalnych dystrybutorów. Ale od maja realizowania tej strategii było coraz trudniejsze. Doszło do tego, że cywilom, którzy odmawiali Hamasowi pomocy w rozkradaniu ładunków, grożono śmiercią. Hamas wciąż ma jednak wystarczająco dużo pieniędzy, by rekrutować młodych mężczyzn w Strefie do przeprowadzania ataków na izraelskich żołnierzy.

Według Shiry Efron, ekspertki z Israel Policy Forum, problem w Gazie od dawna wykracza poza dystrybucję dostaw. „Toczy się gra w obwinianie się, kto ponosi odpowiedzialność za zrujnowanie Gazy” – powiedziała „The New York Times”. „Ale większym problemem jest powszechne bezprawie i dysfunkcjonalność lokalnej administracji. Po 22 miesiącach wojny w Strefie panuje anarchia. Bez rozwiązania podstawo-

Kilogram mąki na czarnym rynku w Gazie kosztuje obecnie 100 szekli, czyli ok. 25 euro, a cukru – ponad 70 euro

wej kwestii, czyli ustalenia, do czego Izrael zmierza w Strefie, nie będzie końca przemocy i głodu”.

Izraelscy eksperci ds. bezpieczeństwa od dawna ostrzegają przed próżnią po Hamasie. Netanjahu unika jednak mówienia o szczegółach powojennego porządku, a jedynie podkreśla, że celem jest „całkowite zwycięstwo” i kategorycznie odrzuca sugestie, że Autonomia Palestyńska z siedzibą w Ramallah lub kraje arabskie mogłyby przejąć rolę kontrolną w Strefie.

Były premier Ehud Olmert krytykuje tę politykę: „Kontrolujemy Gazę, a więc naszym obowiązkiem jest zapewnienie podjęcia właściwych środków ochrony ludności. Jeśli nie są one podejmowane, to dlatego, że izraelski rząd ich nie chce”.

Rosną wątpliwości w izraelskiej armii

Podobnie Eldar – również twierdzi, że w interesie części obecnego izraelskiego rządu jest to, aby system pomocy nie działał – chodzi o partnerów koalicyjnych Netanjahu, którzy są blisko narodowo-religijnego ruchu osadniczego: ministra finansów Bezalela Smotricha i ministra bezpieczeństwa Itamara Ben Gvira.

„Smotrich i Ben Gvir od dawna mówią, że dostawy do Strefy muszą zostać ograniczone, aby ostatecznie zniszczyć Hamas” – mówi Eldar. „Dla nich ta wojna jest zaledwie początkiem mesjanistycznej misji. Chcą założyć żydowskie osiedla w Strefie i oczywiście z tego punktu widzenia pomogłoby, gdyby najpierw zniknęło stamtąd jak najwięcej Palestyńczyków”. Według dziennikarza, skrajna narodowo-religijna prawica trzyma Netanjahu w garści, ponieważ bez

niej musiałby rozpisać nowe wybory.

W izraelskiej armii działania w Strefie Gazy spotykają się z coraz mniejszym zrozumieniem. „Rozmawiałem z wieloma wysokimi rangą oficerami”, mówi Eldar, „i wielu z nich mówi, że już nie wiedzą, o co tak naprawdę walczą w Gazie”. Hamas został pokonany na tyle, na ile było to możliwe, a z około 50 izraelskich zakładników wciąż przebywających w Strefie, może 20 wciąż jest przy życiu. Ale przynajmniej oni mogą zostać uratowani dzięki osiągnięciu porozumienia z Hamasem. „Wielu w armii ma poczucie, że teraz walczą tylko po to, by utrzymać Netanjahu na stanowisku”, twierdzi Eldar.

Negocjacje ws. zawieszenia broni i uwolnienia zakładników jak dotąd nie przyniosły rezultatów, a Izrael rozszerzył ofensywę na części terytorium, których armia wcześniej nie penetrowała. Np. w Deir al-Balah w centralnej części Strefy zaatakowano magazyny należące do Światowej Organizacji Zdrowia.

Okolo 88 proc. Strefy Gazy nie jest już dostępne dla cywilów. To oznacza, że ok. dwóch milionów ludzi jest stłoczonych na pozostałym obszarze, często w plastikowych namiotach bez dostępu do wody. Eldar zaznacza, iż „twierdzenie, że mieszkańcy Gazy popierają Hamas, jest po prostu fałszywe”. „Na długo przed 7 października 2023 większość mieszkańców Strefy nie popierała już terrorystycznej milicji. Wydarzenia po ataku na Izrael sprawiły, że ludzie jeszcze bardziej oddalili się od Hamasu”. „Znam przypadek, w którym Palestyńczycy, którzy uciekli ze Strefy Gazy, rozpoznali wysokiej rangi hamasowca w centrum handlowym w Kairze, który pojechał tam na negocjacje z egipskimi mediatorami” – mówi Eldar. „Jak zareagowali, gdy go zobaczyli? Pobili go. Z powodu wszystkiego, co wydarzyło się w ich ojczyźnie od czasu ataku Hamasu w październiku 2023”.

Amerykańsko-palestyński analityk Ahmed Fouad Alkhatib z Atlantic Council, który ma regularne kontakty z ludźmi w Gazie, również donosi o gniewie i protestach ludzi przeciwko Hamasowi. Jednocześnie opisuje nowy system pomocy ustanowiony przez Izrael jako porażkę. „Głód jest dziś gorszy niż kiedykolwiek wcześniej”, mówi Alkhatib. „Ludzie już faktycznie chcą teraz tylko jednego: opuścić Strefę Gazy”.

Izraelski minister spraw zagranicznych Gideon Saar odrzuca podejrzenia, że Izrael przygotowuje plany wysiedlenia Palestyńczyków: „Nie ma mowy o przymusowym przesiedlaniu mieszkańców Strefy Gazy”. Jednak minister obrony Israel Katz ogłosił niedawno plany budowy „miasta humanitarnego” na ruinach np. Chan Junus na południu Strefy, które „Palestyńczycy chcący wyjechać” mogliby opuścić i udać się do krajów trzecich – „gdy tylko znajdą się chętni do ich przyjęcia”. ●

Tekst **Anna Wyrwik**
Zdjęcia **Jakub Włodek**

Ohyba się da – mówi kierowca starej hondy. Kuba właśnie mu tłumaczy, że chcemy sprawdzić, czy wciąż da się jeździć stopem po Europie Środkowo-Wschodniej.

Kierowca podwozi nas do Spytkowic w powiecie wadowickim. Tam zabiera nas Oskar, młody brunet, cały w tatuażach, który wraca busem do Austrii, gdzie mieszka, ma rodzinę, pracę i nie interesuje się polityką. Jest trochę zdziwiony, gdy mówimy mu, że w ostatnich wyborach parlamentarnych zwyciężyła w Austrii prawicowo-populistyczna Wolnościowa Partia Austrii.

Bo wypuściliśmy się stopem po Europie Środkowo-Wschodniej, a konkretnie po Słowacji, Węgrzech i Rumunii, nie tylko żeby sprawdzić, jak się dziś tym stopem jeździ, ale też po to, żeby pogadać z ludźmi o polityce.

Wizyta na „wyspie wolności”

– Myślę, że w krajach naszego regionu potrzebujemy więcej wysp wolności – mówi Robert Blaško. – Na Słowacji organizacje samorządowe i instytucje kulturalne czują zagrożenie ze strony rządu. W końcu pierwszym celem każdego reżimu jest zniszczenie kultury.

Jesteśmy w Żylinie, położonym blisko granicy z Polską, czwartym co do wielkości mieście Słowacji. Przeszliśmy na drugą stronę dwupasmówki i stanęliśmy przed kioskiem, ale nie z gazetami, tylko cytatami: „Prawda i miłość zwyciężą kłamstwa i nienawiść”, „Na Słowacji wykarczowaliśmy prawie wszystkie lasy”, „Głupota przejęła wszystko” czy „Sztuka i kultura stały się głównymi tematami nowo utworzonego rządu”.

– Ta instalacja odzwierciedla sytuację polityczną na Słowacji – mówi Blaško.

Kiosk znajduje się przy stacji kolejowej, w której budynku jest też Stanica Žilina-Záriečie, centrum kultury połączone z kawiarnią, którymi zarządza Blaško.

Stanica wzięła się z marzenia grupy studentów o wyspie wolności. Był rok 1998. Krajem nie rządził jeszcze Robert Fico, ale za to Žyliną – Ján Slota, znany nacjonalista i ksenofob. Studenci znaleźli więc przestrzeń, wyremontowali i od 2003 działają.

Dziś siedzimy wśród regałów z książkami, ścian z plakatami i obrazami, podczas gdy ekipa techniczna rozkłada kable przed wieczornym koncertem. W ogródku sporo rodziców z dziećmi, na stolikach lemoniady, piwa. Slota odszedł z polityki wyrzuty z własnej Słowackiej Partii Narodowej za malwersacje finansowe. Fico rządzi na całego i o tym głównie rozmawiamy, a konkretnie o kulturze.

– Odkąd Martina Šimkovičová została szefową resortu, kultura na Słowacji nie ma praktycznie żadnego wsparcia – mówi Blaško. – Instytucje są niszczone, zamykane, ludzie zastraszani. My też jesteśmy na czarnej liście, dlatego nie mamy szansy na dofinansowanie.

53-letnia Martina Šimkovičová znana jest z prorosyjskich i homofobicznych poglądów. Była prezenterką telewizyjną, ale zwolniono ją za udostępnianie w serwisach społecznościowych treści antyimigranckich. Wtedy po raz pierwszy wystartowała w wyborach do Rady Narodowej (jednoizbowy parlament Słowacji). Nie uzyskała reelekcji, więc wróciła do mediów, tym razem do stacji znanej z rozpowszechniania dezinformacji na temat zmian klimatycznych i pandemii. Dziś znów zasiada w RN, jest w rządzie, a ważne stanowiska kulturalne w kraju, m.in. w: Słowackim Teatrze Narodowym, Słowackiej Galerii Narodowej, Słowackim Centrum Literackim czy Słowackim Muzeum Narodowym, obsadziła swoimi ludźmi.



Autostopem przez Europę Środkowo-Wschodnią – cz 1. Słowacja

JANA WIERZY *w silnego Fice*

„Chcemy do Topolczan, bo tam urodził się Fico”

Kierowca na te słowa żegna się dwa razy.

– Taki to jest słowacki premier, jaki wasz polski prezydent!



◀ **Bratysława.** Widok ze Wzgórza Slavin m.in. na Katedrę Św. Marcina i restaurację UFO, która „wisi” 85 m nad mostem Słowackiego Powstania Narodowego nad Dunajem



▲ **Eva wiozła nas z Żyliny do Prievidzy.** Uczy angielskiego. Rozmawiamy m.in. o Ukrainie. „Ja boję się wojny. Nie rozumiem, jak ludzie mogli zapomnieć i o II wojnie, i o inwazji z 1968 roku.”



▼ **Samuel Marec.** Pisarz, tłumacz i dziennikarz z Bratysławy. Píše dla niezależnych mediów: portalu SME, Dennikau N oraz dla czeskiego portalu Seznam Zprávy

▼ **Zuzanna.** Studiuje psychologię, dorabia kelnerowaniem w jednym z barów obok centrum kultury na Ružinovie w Bratysławie. I jak większość jej znajomych marzy o wyjeździe z kraju

▼ **Nitrianske Sučany.** Redaktor Anna Wyrwik łapie stopa w kierunku Partizanskiego. Plan był taki, żeby dojechać do Topolczan, gdzie urodził się Fico, ale jakoś nikomu nie było po drodze



Słowacja – trasa autostopem (535 km)



© GAZETA WYBORCZA

1784 kilometry przez trzy kraje

- Reportaż to jedna z trzech części cyklu, który powstał po podróży dziennikarki Anny Wyrwik i fotoreportera Jakuba Włodka przez Europę Środkowo-Wschodnią. Ania i Kuba jechali stopem z Polski przez Słowację i Węgry do Rumunii. 1784 kilometrów z 22 kierowcami, a wśród nich byli zwolennicy i przeciwnicy wszystkiego, 7 kobiet, 15 mężczyzn, 1 pies. Podwoziły ich głównie volkwageny, ale też pięknie wyremontowane czerwone bmw e30, renault z kierowcą po prawej stronie i wielki jak ciężarówka range rover należący do rumuńskiego senatora...
- Byli w trzech krajach, w trzech ich stolicach, w kilku miastach, miasteczkach i na wsiach, a wszystko po to, by sprawdzić, jak się dziś tym stopem po naszej części Europy jeździ, oraz by pogadać z ludźmi o polityce.

Za tydzień - cz. 2. Węgry

Odpowiedzią były liczne protesty, których symbolem jest akcja „Kultúrny štrajk!” promowana przez Stanicę na stronie internetowej. „Razem sprzeciwiamy się niszczyteliskim interwencjom kierownictwa Ministerstwa Kultury Republiki Słowackiej w sektorze kultury na wszystkich jego poziomach” – piszą organizatorzy, a pod spodem umieszczają mapę kraju z zaznaczonymi 169 miejscami, 424 organizacjami oraz wypisanymi 4160 osobami w kraju i za granicą, „którzy są w stanie gotowości strajkowej”.

– Jak widzisz przyszłość? – pytam.

– Po raz pierwszy w życiu zacząłem myśleć o Czechach. Może wkrótce prócz cyfrowych nomadów będą też nomadzi demokratyczni...

Jak nie dotarliśmy do Topolczan
Robert Fico jest obecny w słowackiej polityce od początku lat 90. Od 1999 r. lideruje partii SMER (Kierunek – Socjalna Demokracja), określanej obecnie mianem populistycznej i narodowo-lewicowej. Od 2023 r. jest – już po raz czwarty (z przerwami) – premierem rządu. Za każdym razem coraz bardziej radykalnym i kontrowersyjnym. 9 maja tego roku jako jedyny przywódca kraju UE wziął udział w paradzie z okazji Dnia Zwycięstwa w Moskwie. Urodził się zaś w 1964 r. w Topolczanach, miasteczku w kraju nitrańskim,

położonym ok. 130 km na południe od Żyliny. Tam zmierzamy.

Łapanie stopa na Słowacji to trudna sprawa i nie pamiętam, by kiedykolwiek w przeszłości szło sprawnie. Zawsze na raty. Tak jest też dziś.

Po tym, jak Robert Blaško podwozi nas na Orlen za Żyliną, stajemy i machamy. Czekamy, machamy, pytamy kierowców na stacji benzynowej, znowu machamy, bo wszyscy z Żyliny, palimy papierosy, machamy, w końcu zajeżdża honda.

– Na Fico głosują w większości osoby starsze – mówi Eva, gdy rozpoczynamy politykowanie. – Podczas ostatnich wyborów z przerażeniem patrzyłam, jak wielu emerytów i rencistów szło do urn, podczas gdy młodzi zostawali w domach.

Eva jest nauczycielką angielskiego w szkole podstawowej w Żylinie. Mówi, że jedziemy najpiękniejszą drogą na Słowacji. Wokół drogi 64 z Żyliny do Prievidzy faktycznie pagórki są wyrażone zielone, za oknem przyroda, natura i góry. Trudno się jednak na tym skupić, gdy w powietrzu wisi temat wojny w Ukrainie.

The Central European Digital Media Observatory (CEDMO), „niezależny, bezpartyjny i multidyscyplinarny hub, którego celem jest identyfikowanie, badanie oraz priorytetyzowanie najbardziej istotnych źródeł i powodów zaburzeń informacyjnych w Europie Środkowej (głównie w Czechach, na Słowacji i w Polsce)”, w lutym te-

go roku opublikował wyniki badań opinii publicznej wykonanych w naszych krajach. Czytamy w nich, że Ukrainę popiera 68 proc. Polaków, 44 proc. Czechów i 32 proc. Słowaków. Zwycięstwa Rosji pragnęłoby zaś 4 proc. Polaków, 7 proc. Czechów i 17 proc. Słowaków.

– Pamiętam opowieści dziadków o II wojnie światowej. Pamiętam, co się mówiło o inwazji na Czechosłowację z 1968 r. – mówi Eva. – Nie jestem w stanie zrozumieć, jak ludzie mogli o tym zapomnieć. Myślę, że to w dużej mierze wina mediów, internetu i edukacji. Nikt nie weryfikuje faktów. Ja się boję wojny, a dla wielu uczniów wojna to abstrakcja. W grach zabija się dla zabawy, więc zabijanie brzmi jak zabawa.

Z kolejnej stacji benzynowej jest 50 km do Topolczan, a nas po czasie machania, czekania, machania i wypiciu piwa zgarnia Robert, potężny brodacze w koszulce z napisem „New York City”. Po starym volkswagenie latają stare śmieci, a ja mówię:

– Jedziemy do Topolczan, bo tam urodził się Robert Fico.

Robert żegna się dwa razy.

– Czemu? – pytam.

– To niedobry premier! Taki to jest słowacki premier, jaki wasz polski prezydent!

Wysadza nas przy motelu Dolina za Novákami, 36 km od Topolczan, a tam już machamy bez skutku ponad godzinę. Słońce zachodzi, my machamy, palimy i klniemy na łapanie stopa na Słowacji, po czym znowu machamy i nic.

Po godzinie zmieniamy taktykę. Przechodzimy przez wysokie trawy na skrzyżowanie, gdzie, wyskakując na drogę i błagalny wzrok wbijając w jej oczy, zatrzymuję Veronikę. Jedzie z goldenką Dorotką i z nami nie rozmawia, bo słucha beatów na mocnym basie, a poza tym podwozi nas jedynie 10 minut do Dolnych Vestenic.

Do Topolczan zostało 28 kilometrów, więc coraz bliżej, coraz bliżej, ale nic z tego, bo jest coraz ciemniej, a my machamy i nic. Więc palimy, ubieramy się, bo zimno i myślimy o noclegu w trawie albo na tym murku, przy którym stoimy i machamy, podczas gdy kolejne samochody na bratysławskich rejestracjach przejeżdżają obok nas.

W końcu zabiera nas drobna i radosna kobieta jadąca białym busem, w którym wiezie meble rattanowe na Truck Festival i śpiącego na nich syna. Radio ma nastawione na Radio Maria, bo jest katoliczką, ale mówi, że nieważne, kim człowiek jest, ale ważne, jaki jest, bo są tacy, którzy cały tydzień chodzą do kościoła i nic z tego nie wynika. Co do polityków, to wszyscy kradną. Uśmiecha się i na odchodne mówi z radosną obojętnością:

– My sem malička krajina.

Wysadza nas na stacji benzynowej przy autostradzie do Bratysławy, bo tak, zrezygnowaliśmy z Topolczan i postanowiliśmy je olać, zostawić, zapomnieć i ruszyć do miasta, gdzie Fico mieszka teraz.

Wwozi nas do niego Martin, taternik wracający z Tatr, pracownik IT, mieszkaniec stolicy rzucający kolejnymi statystykami świadczącymi o tym, że na Słowacji nie dzieje się najlepiej. Mówi, że produkty drogie, czynsze wysokie, polaryzacja i kryzys, któremu winna są wojna i pandemia.

– Na dodatek Fico znowu rządzi i nie będzie lepiej.

„Jestem smutna i jest mi wstyd”

W weekendowym upale ludzie szukają ochłody wokół fontanny. Dzieci się kąpią, mamy siedzą na brzegu, ojcowie pilnują dzieci, brodząc po kolana. Beton ściera promienie słońca, a wszystko to obserwuje socrealistyczny gmach ministerstwa transportu zajmujący całą ścianę placu Wolności. Jeszcze bratki w betonowych donicach i byłaby pocztówka z lat 70.

Bratysława łączy w sobie XXI-wieczny turystyczny rynek, czyli latte, crafty i śniadania z awokado w cenach europejskich, z marazmem lat 90.: domy handlowe z bla-



■

„Na Słowacji organizacje samorządowe i instytucje kulturalne czują zagrożenie ze strony rządu. W końcu pierwszym celem każdego reżimu jest zniszczenie kultury”

chy, rozsypujące się schody od ekierki i smutne osiedla. Takie przestrzenie wspólne, czyli niczyje. Za to z licznymi knajpami, bo bliskość Czech (sorry) zobowiązuje i wszyscy piją piwo.

– Jestem smutna i jest mi wstyd, że jestem Słowacką – mówi Zuzana, kelnerka w knajpie na jednym z osiedli, bo i ja postanowiłam się napić, a przy okazji zapytać o politykę.

Zuzana ma 24 lata, studiuje psychologię, kelnerowaniem dorabia, a pochodzi z prowincji, gdzie wygrał SMER. Sama głosuje na PS, jak większość jej znajomych. I jak większość jej znajomych marzy o wyjeździe z kraju.

– Nie znam nikogo, kto chce po skończeniu studiów zostać na Słowacji – mówi.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu wszystkiego. Wystarczy pojechać kilka minut, by znaleźć się w Austrii i zobaczyć, że to jest kompletnie inny świat.

Jeśli gdzieś na Słowacji w 2023 roku w wyborach parlamentarnych ludzie nie głosowali na SMER Roberta Ficy, to właśnie w Bratysławie. Tu zwyciężyli socjalliberalowie z Postępowej Słowacji (PS) z wynikiem 33,95 proc., SMER zdobyła 17,49 proc., a trzeci byli libertariańscy eurosceptycy z Wolności i Solidarności (SaS) – 13,78 proc. Stolica stanowi jedną z nielicznych wysp na mapie Słowacji, gdzie SMER nie wygrał.

W całym kraju partia Ficy zgarnęła 22,94 proc. głosów i wraz z HLAS (Głos – Socjalna Demokracja) oraz narodowcami utworzyła koalicję.

– Nie wiem, jak ktoś mógł głosować na SMER – mówi Zuzana. – Moi dziadkowie popierają Ficę. Staram się ich zrozumieć, ale ich jedyne argumenty to strach przed opozycją, liberałami, LGBT+ i multikulturowością.

„Jak nie stracić nadziei i pokonać Ficę”

– Słowacy są niezadowoleni z rozwoju po 1989 r., który wiąże się z liberalnym kapitalizmem, więc są antyamerykańscy, bo z Ameryką i szeroko pojętym Zachodem kojarzy im się ten rozwój. Wybierają coś przeciwnego, czyli m.in. tradycjonalizm, i dlatego głosują na Roberta Ficę – mówi Samuel Marec, z którym spotykamy się w Cafe Next Apache w centrum miasta.

Marec jest tłumaczem i dziennikarzem piszącym dla niezależnych mediów, portalu SME oraz Dennika N, a także dla czeskiego portalu Seznam Zprávy.

Jest też autorem książek. Jego najnowsza nosi tytuł „Ako sa zbavit zúfalstva zo Slovenska a porazit Roberta Ficu” (Jak nie stracić nadziei na Słowacji i pokonać Roberta Ficę). Materiały do niej zbierał przez sześć miesięcy, jeżdżąc po kraju.



• Nieczynne przejście graniczne Rajka-Cunovo między Słowacją a Węgrami



Co myślą Słowacy

70 proc.

- popiera członkostwo i w NATO, i w Unii Europejskiej

ŹRÓDŁO: NAJNOWSZE BADANIA GLOBSEC TRENDS 2025

32 proc.

- popiera Ukrainę w wojnie z Rosją

17 proc.

- chciałoby zwycięstwa Rosji

ŹRÓDŁO: BADANIA THE CENTRAL EUROPEAN DIGITAL MEDIA OBSERVATORY (CEDMO) Z LUTEGO 2025

32 proc.

- ufa premierowi Robertowi Ficy

62 proc.

- mu nie ufa

ŹRÓDŁO: SONDAŻ IPSOS OPUBLIKOWANY W DENNIK N W MARCU 2025

◀ **Bartysława. Dzielnica Podunajské Biskupice. Osiedle Medzi jarkami. Rzeźba UFO stanęła tu w latach 70. To miejscowa atrakcja i drugi znany spodek w mieście – po restauracji nad mostem SPM**

▼ **Żylina. Instalacja artystyczna kiosku z cytatami, głównie o politycznej sytuacji na Słowacji. Obok, w budynku dawnej stacji kolejowej mieści się Stanica Žilina-Záriečieľ – centrum kultury i kawiarnia**

► **Bratysława. Dzielnica Ružinov to głównie blokowiska i tereny zielone. Napis na ścianie pod centrum kultury: „Fico - rosyjski kolaborant”**



– W ciągu ostatnich 20 lat na Słowacji bardzo mało zainwestowano w infrastrukturę – rozpoczyna wyliczankę Marec. – To mały kraj, a dotarcie z jednego końca na drugi zajmuje sześć godzin samochodem i ponad osiem komunikacją publiczną z przesiadkami. Do tego co chwilę zawala się jakiś most. W kraju brakuje nie tylko pociągów, ale i nauczycieli czy lekarzy. Czasem, by dojechać do najbliższego lekarza, potrzeba trzech godzin. Nikt nie chce na Słowacji inwestować, nikt nie chce z nami współpracować, wszystko jest drogie. Ludzie czują się bezsilni i są wściekli.

Największym problemem Słowacji jest według Mareca przemoc. I wymienia: 21 lutego 2018 r. został zamordowany (wraz z narzeczoną) dziennikarz śledczy Ján Kuciak; 12 października 2022 r. przed gejowskim klubem Tepláreň w centrum Bratysławy napastnik zastrzelił dwóch gości klubu i ranił kelnerkę; 15 maja 2024 r. miał miejsce zamach na premiera Ficę.

– Mamy problem z przemocą i to mówi nam coś nie tylko o politykach, ale i o naszym społeczeństwie – mówi Marec. – Najgorsze jest to, co stało się po zamachu na Ficę. Można było postarać się zjednoczyć ludzi i zatrzymać przemoc, ale on wołał wykorzystać ją do celów politycznych i mówić, że to spisek liberałów, Ukraińców, Europy, organizacji samorządowych, George’a Sorosa i nie wiadomo czyj jeszcze.

Gdy spytałam Zuzany, co by zrobiła, gdyby rządziła krajem, prócz reformy służby zdrowia, reformy systemu edukacji i legalizacji aborcji wymieniła wprowadzenie prawa do zawierania małżeństwa i adoptowania dzieci przez osoby LGBT+.

Marec, mówiąc o coraz większej agresji w społeczeństwie, wśród atakowanych grup wymienia właśnie ich.

– Dwadzieścia lat temu sądziłem, że dziś będziemy w innym miejscu. Że marihuana będzie legalna, a geje i lesbijki będą mogli

spokojnie tu mieszkać. Gdy wchodziliśmy do Unii, nie mieliśmy pojęcia, że w 2025 r. możemy być tu, gdzie teraz jesteśmy.

W Tęczowym Rankingu ILGA-Europe, który bada poziom ochrony prawnej osób LGBT+ w krajach europejskich, Słowacja zdobyła 27,17 proc. Nie jest to najgorszy wynik, bo pod nią są Węgry, Polska czy Rumunia, ale to i tak ósmy od końca miejsce w UE.

A co do Unii, to z najnowszych badań Globsec Trends 2025 wynika, że 70 proc. Słowaków popiera członkostwo i w NATO, i w Unii Europejskiej.

– Od 30 lat zadajemy sobie pytanie, czy Słowacja powinna być częścią Zachodu czy Wschodu – mówi Marec. – Może wciąż poszukujemy i dlatego jesteśmy gdzieś pośrodku. Przecież, gdy rozejrzysz się wokół, zobaczysz, że to nie jest Zachód. Może chodzi o to, że Słowacja nigdy nie będzie Europą Zachodnią, tylko zawsze Europą Środkową.

Może to ta środkowość dodaje dystansu? Na koniec pytamy Samuela o Slavín, górujący nad miastem pomnik żołnierzy radzieckich, którzy zginęli podczas II wojny światowej i tam są pochowani. Odpowiada, że na ziemi odbywają się głównie randki i imprezy.

– Nikt nie uważa tego za pomnik. Wszyscy traktują to jako miejsce do miłego spędzania czasu. Tyle razy się tam upilem i nie myślałem o Sowietach.

„Ja na niego głosowałam!”

Jeśli gdzieś w Bratysławie jest coś nowego, to na obrzeżach. Po jednej stronie stoją nowe bloki, po drugiej będą stać. Na środku zaś stoimy my i od godziny, na deszczu i wietrze, łapiemy stopa.

W końcu zatrzymuje się Roman, który jedzie do Rajki, pierwszej wsi za granicą słowacko-węgierską. Jest miły, uśmiechnięty, a na wieść o tym, że na Węgrzech planujemy jechać do wsi Viktora Orbána, żegna się i mówi:

– Katastrofa! Fico to zło! – I żegna się ponownie.

W marcu tego roku Denník N pisał o wynikach sondażu Ipsos dot. zaufania społecznego do polityków. Wygrał prezydent Peter Pellegrini, któremu ufa 46 proc., a nie ufa 45 proc. respondentów. Drugi był Fico z zaufaniem na poziomie 32 proc. i nieufnością na poziomie 62 proc. Stawkę zamknął lider opozycyjnej PS Michal Šimečka, któremu ufa 30 proc., a nie ufa 55 proc. osób.

Może dlatego nie udało nam się spotkać sympatyków obecnego premiera. Stoimy na przystanku już w węgierskiej Rajce z poczuciem porażki.

I wtedy zatrzymuje się Jana. Ma siwe, kręcone włosy, vibe hipiski i odpala skręconego papierosa.

– Nie mogliście znaleźć nikogo, kto głosował na Ficę? Ja na niego głosowałam!

Jana odpowiada na wszystkie pytania, które zadawaliśmy sobie przez ostatnie dwa dni, a zaczyna od tego, że media kłamią i mówią nam, co mamy robić, bo ludzie są bezrefleksyjni i głupi.

– Nie potrzebujemy żadnej Unii Europejskiej – mówi. – Wierzę w Roberta Ficę, że coś zmieni i w końcu zrobi coś dla Słowaków, tak jak Orbán zrobił dla Węgrów.

Jana dwa lata temu przeprowadziła się z Bratysławy do miasta Mosonmagyaróvár, 16 km od granicy, i mieszka tu w domu z ogrodem nad rzeką, o czym wiem, bo nas tam zaraz zaprosi. Tymczasem jedziemy i rozmawiamy o Ficy.

– Wszyscy go chcą zabić, ale on jest silny. Mówią, że jest dyktatorem, ale gdyby nim był, mógłby coś zrobić, a tak pozostaje mu jedynie być silnym.

– Który polityk jeszcze jest silny? – dopytuję.

– Putin is realny strong – mówi.

– Lubisz go?

– Tak. A czemu nie? On nie wywołał tej wojny.

– Kto to zrobił?
– Nie wiesz? Trzeba wiedzieć...
– Myślisz, że Zelenski?
– Zelenski jest marionetką.
– Czyją?
– Pewnego porozumienia... Jest marionetką na kokainie i heroinie. Dla pieniędzy zrobi wszystko.

Po czym Jana pyta nas o politykę w Polsce, o premiera. Opisujemy jej poglądy Donalda Tuska, a ona mówi, że not good, i mówi, że ogólnie nie lubi polityki, bo najważniejsza jest praca nad sobą, życie zgodnie ze swoimi uczuciami i by być dobrym człowiekiem. ●

Wywiad Adama Michnika z Zuzanną Caputową, była prezydent Słowacji ► 36



• **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.

• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellin-gcat.

• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Zdrada *all-inclusive*

Czy mówić partnerowi o romansie wakacyjnym?
Jak mawiają psychoterapeuci – to zależy



Z **KATARZYNA HALER**, PSYCHOLOŻKĄ
I PSYCHOTERAPEUTKĄ
ROZMAWIA **AGA KOZAK**

Czy latem zdradzamy częściej?

– Lato to społeczny poligon zdrady – plaża, pool bar, a w tle poczucie anonimowości. W psychologii społecznej mówimy o zjawisku deindywidualacji: nasze wakacyjne ja jest bardziej skłonne ryzykować innymi zachowaniami niż zwykle.

Dopinguje nas „tymczasowy świat równoległy” niestykający się za bardzo z tym codziennym?

– Tak, bo na wakacjach wiele się zmienia: miejsce – nie jesteśmy u siebie, nikt nas nie zna. Czas – wszystko odbywa się „poza sezonem życia”. Rola społeczna – nie jesteś żoną, mężem, księżową, jesteś gościem hotelowym z pokoju 402.

Wspomniana deindywidualacja powoduje osłabienie wewnętrznych standardów zachowania, gdy jesteśmy anonimowi lub poza swoim środowiskiem społecznym.

W badaniu profesora Philipa Zimbarda z 1970 roku ludzie przebrani w anonimowe stroje częściej dopuszczali się agresywnych i nietypowych zachowań.

Nieprzypadkowo na оргiach ludzie często występują nago, ale w masce na twarzy. Wakacje to więc metaforyczny kostium – maska, która pozwala na więcej.

Ale o ile można założyć maskę, o tyle dużo można też z siebie zrzucić...

– ...i to nie tylko ubrań w upale, ale też obowiązków, ról, ciężaru codzienności. Wakacje to katalizator fantazji – odrywają od norm, wypierają rutynę. Chcemy wierzyć, że możemy być kimś innym, żyć inaczej.

Podczas jednej z terapii pacjentka powiedziała mi: „Czułam się jak aktorka na planie – inna rola, inne ja. To nie była wielka namiętność. Nie zakochałam się. Po prostu – przez kilka dni byłam kimś innym. Nie matką, nie żoną, nie pracownicą HR. On nie wiedział, kim jestem. A ja – pierwszy raz od dawna – też tego nie wiedziałam. I to było wyzwalające. Nazywałam to detoksem od siebie samej”.

Romans skończył się z lotem powrotnym. Ale refleksja została: ile w nas pragnienia ucieczki od własnej roli?

No właśnie, ile?

– W dużej mierze w romansach wakacyjnych uciekamy nie tyle od partnera, ile od tej wersji nas samych, które nas męczą i nużą, tych tożsamości złożonych z rutyny, powtarzanych w kółko działań i rozmów.

Romans nagle wybija w nas i przypomina, że jesteśmy żywi, że tam pod spodem leżą jakieś potrzeby, tęsknoty, marzenia, które nagle wszystkie chcą wyjść na zewnątrz i być spełnione.

I to mogłoby być bardzo twórcze – zajrzeć do tej studni i zobaczyć co tam jest, co z tym dalej zrobić. Ale zamiast tego idziemy po linii najmniejszego oporu – uciekamy w świat fantazji, projektujemy ją na nowo poznaną na wakacjach osobę i tworzymy krótkoterminową bańkę delulu, a po zakończeniu wakacji wracamy do znanej rutyny, nie wyciągając większych wniosków.

No dobrze, to sobie jeszcze rozłożmy antropologicznie idealne warunki zdrady. Sprzyja dystans. Musi być daleko czy może być sąsiednia miejscowość?

– Faktycznie, do romansu wakacyjnego najczęściej dochodzi poza miejscem zamieszkania. Dlaczego? Bo brak ryzyka społecznego – nie spotkasz znajomej z pracy w barze na Majorce. Często dochodzi do tego inna mentalność kulturowa – np. w krajach śródziemnomorskich flirt to część stylu bycia. No i egzotyka = podniecenie – im dalszy świat, tym bardziej poza regulami.

W socjologii to zjawisko wpisuje się w transgresję przez dystans – im dalej od norm lokalnych, tym więcej sobie pozwalamy.

„To nie ja, to ta wersja mnie z Grecji”?

– To z kolei możemy nazwać psychologicznym rozszczepieniem tożsamości. Wakacyjny flirt czy romans bywa odklejony od prawdziwego życia. Można by mówić o mechanizmach obronnych: racjonalizacji („przecież to tylko raz”), rozszczepieniu („to nie ja, to wakacyjna ja”) czy nawet zaprzeczeniu („to nie miało znaczenia”).

A do tego wielu z nas nosi w sobie niepisany kulturowy mit: „wakacje to czas wolności”. To efekt normy sytuacyjnej – społeczne przyzwolenie na inne za-

chowania w określonym kontekście. Jak karnawał, jak sylwester.

Dodatkowo dochodzi reguła wyjątkowości chwili – myśl: „To się już nigdy nie powtórzy. Gdybym tego nie zrobiła, zawsze bym żałowała”. W psychologii to zjawisko nazywamy błędnym przekonaniem wyjątkowości – czyli uzasadnianiem przekroczenia granic, bo „ta okazja to wyjątek”.

Do tego działają reguła niedostępności – zakazany owoc smakuje lepiej – i efekt kontrastu – codzienność w biurze kontra gorący flirt zza baru. Przepis na zdradę napisany przez psychologiczne zasady gotowy.

Do tego lato to szal ciał. I to nie tyle owego odsłonięcia: krew krąży w żyłach, skóra się opala...

– Lato ma po prostu wpływ na naszą fizjologię i emocje. Więcej światła oznacza podniesiony nastrój, więcej dopaminy i serotoniny. Odsłonięte ciało pozwala na silniejszą stymulację wzrokową i seksualną. Do tego – i to jest bardzo ciekawe! – ciepło fizyczne = ciepło emocjonalne.

Czy masz na myśli ten niezwykle eksperyment z kawą?

– Tak, ten!

Uwielbiam go! John Bargh z Yale University i dr Lawrence E. Williams z University of Colorado zrobili błyskotliwe badania, które pokazały, że fizyczne ciepło może zwiększać poczucie

bach, pojawia się presja, aby skorzystać z życia, bo przecież wakacje trwają krótko.

Impulsywnie i bezrefleksyjnie odreagowujemy stresy i frustracje całego roku, rzucając się w ogólne YOLO! Zwłaszcza w okresie wieku średniego, gdzie pojawia się lęk przed przemijaniem, utraconymi szansami i obawa, że już nigdy nie poczujemy się młodzi, zakochani, namiętni.

Słowem: organizm mówi „żyj!”, zanim zdążysz pomyśleć „czy to moralne?”.

– Tak, ale warto się temu przyjrzeć bliżej. Bo zdradę – albo chętkę na nią – można potraktować jako odbicie nas samych, informację. Jak pisze Esther Perel, najsłynniejsza terapeutka par na świecie, autorka „Inteligencji erotycznej”, zdrady „często nie mówią o partnerze, ale o nas. Szukamy innej wersji siebie”. Lato katalizuje tę tendencję – odwraca od codzienności i pozwala poczuć się młodziej, swobodniej, żywiej.

Co słyszysz w tym kontekście w gabinecie?

„Chciałem tylko poczuć, że jeszcze jestem atrakcyjny”.

„To nie była zdrada z braku miłości, tylko z braku przygody”.

„Po prostu miałam straszną ochotę”, „Wiedziałam, że to się skończy. Ale i tak chciałam, żeby w ogóle się wydarzyło, choć na chwilę”.

„To było potrzebne, żebym sobie coś uświadomił(a)”.

W tych wszystkich komunikatach słyszę, że potrzebna jest pogłębiona refleksja, a nie wygodne

To nie była wielka namiętność. Nie zakochałam się. Przez kilka dni byłam kimś innym. Nie matką, nie żoną, nie pracownicą HR. On nie wiedział, kim jestem

bliskości wobec obcych. Badanym podawano na chwilę do potrzymania filiżankę gorącej albo mrożonej kawy, a potem proszono ich o ocenę nieznaney osoby. Ci, którzy trzymali ciepły napój, postrzegali tę osobę jako bardziej życzliwą i troskliwą. Temperatura nie wpłynęła natomiast na ocenę cech niezwiązanych z ciepłem.

– Była też odmiana tego eksperymentu z termoforem. Ci z obserwowanych, którzy trzymali w rękach ciepły przedmiot, a nie ostygnięty – a mogli wybrać prezent albo dla siebie, albo dla kogoś – częściej niż siebie wybierali opcję obdarowywania kogoś.

Ciepło naprawdę wpływa na to, jak oceniamy siebie, sytuację i innych. Ale ty tu o kawce, ale tak naprawdę musimy chyba powiedzieć, że statystycznie na wakacjach częściej spożywamy – skoro nie mamy obowiązków i zawsze gdzieś jest już piąta po południu – alkohol. A on rozluźnia samokontrolę – jego efekt znany jest z teorii hamulców poznawczych.

Wolny czas i brak obowiązków z kolei oznaczają, że umysł mamy mniej zajęty niż na co dzień, a to daje więcej przestrzeni na fantazje. Wakacje to też czas, kiedy przypominamy sobie o różnych potrze-

usprawiedliwienie. Zadanie sobie pytania: Kim jesteśmy, gdy nikt nas nie zna? Czego nie potrafimy powiedzieć w domu, a wykrzykujemy do barmana na Goa czy w Sopocie?

Czy masz jakąś typologię zdrad?

– Och tak, to takie gotowe scenariusze na odcinek serialu albo jakieś pulp fiction. „Zdrada all inclusive”: ona i on opalają się przy basenie. Jeden drink prowadzi do rozmowy z atrakcyjnym animatorom. Fantazja o lepszym ja nocą kończy się krótkim romansem, potem śniadanie z pocuciem winy i powrót do rzeczywistości.

„Flirt pod pretekstem surfingu”: on zakłada neopren i przeży się, aby jej zaimponować. Ona idzie z jego córką do apteki po krem na oparzenie słoneczne.

On uczy jej syna nurkować. Oboje są na wakacjach z dziećmi, partnerzy zostali w domach w pracy.

Wieczorem dzieci idą spać, a oni rozmawiają przy winie. Pojawia się poczucie bycia widzianym, fantazja o innej wersji życia, mniej szarego niż to znane. Tu działają: deindywidualacja i dystans od codziennych ról plus nadzieja na coś poza normą.

No dobrze, ale załóżmy, że w tej surferskiej historii w ogóle nie dochodzi do seksu. Czy to też jest już zdrada?

– To, co dla jednej osoby będzie zaledwie flirtem, dla drugiej może być emocjonalnym ciosem w serce. Temat „co właściwie uważamy za zdradę” często jest punktem wyjścia do zupełnie nowej rozmowy o granicach, wartościach i lękach.

W gabinecie często pada pytanie: „Czy to, że on pisał z koleżanką z pracy, to już zdrada? Przecież się nie spotkali”. „Czy to, że w mojej głowie wyobrażałam sobie seks z kimś innym, to coś złego?”. I wtedy trzeba porozmawiać o tym, że zdrada to nie akt – to przekroczenie granicy, która była niewypowiedziana, ale święta.

Na nienazwaną granicę trafiamy najczęściej przypadkiem – pamiętam parę, gdzie punktem zapalnym okazało się komentowanie postu na FB za pomocą serduszek. Pan myślał, że czerwone serduszka zarezerwowane są dla żony, a innych można używać dowolnie. Dla pani było jasne jak słońce, że wszystkie serduszka bez względu na kolor są sygnałem ro-

mantycznego zaangażowania i nie powinny być wysyłane do osób poza związkiem.

Mimo zgrzytu i początkowego nieporozumienia stało się to początkiem owocnej dyskusji o tym, jak wiele rzeczy bierzemy w relacji za oczywistą oczywistość i nigdy wspólnie nie ustalamy, gdzie leży granica.

Masz pewnie jakąś typologię zdrad?

– Oczywiście. Zdrada fizyczna – klasyczna, oparta na intymności. Niby jasne granice ale niekoniecznie. Czy zmysłowy taniec na imprezie to już zdrada? A masaż w Tajlandii z happy endem? Granica zależy od pary.

Emocjonalna – czasem jeszcze boleśniej-sza, chodzi tu o czyjąś uwagę, czułość, sekrety. Kiedy partner/partnerka dzieli się czymś, co wcześniej było zarezerwowane dla mnie – czuję się zdradzony. Często z tego wykwita romans – nagle czujemy się widziani po raz pierwszy od lat. Czujemy, że możemy tej osobie powiedzieć wszystko – nawet to, czego nie mówimy partnerowi/partnerce.

Cyberzdrada – flirt online, często służy tylko do fantazjowania, potwierdzania swojej atrakcyjności, ale też jest formą biernej agresji wobec partnera(-rki), odreagowaniem frustracji i złości przez kontakt z kimś z poza relacji; czasem to pierwszy krok do głębszego romansu: chat, zdjęcia, emocje, bez zobowiązań – forma przedłużania romansu wakacyjnego.

Kolejna w typologii jest zdrada mentalna/wyobrażeniowa – brzmi jak żart, ale wcale nim nie jest. To regularne fantazje o kimś innym, czasem wręcz planowanie życia po drugiej stronie. Problemem jest przede wszystkim całe rozbudowane emocjonalne życie wewnętrzne, z którego partner(-rka) są wykluczeni.

Zdrada nie zaczyna się od pocałunku, tylko od tajemnicy, dlatego najważniejszym sposobem na zabezpieczenie relacji jest nie nakaz monogamicznej wierności, tylko rozmowa. Często zakładamy, że zdrada to złamanie obietnicy, ale podczas terapii często się okazuje, że obietnica nigdy nie została nazwana ani doprecyzowana.

Bo tak naprawdę te zasady istnienia mogą się różnić w obrębie nie tylko par, ale też kultury, w której żyjemy

– Zdecydowanie tak, np. kultura śródziemnomorska dopuszcza flirt jako element społecznego stylu bycia. Flirtuje się wszędzie: w sklepie, na ulicy, w pracy. W Polsce często flirt jest już odbierany jako nadwyrężenie zaufania.

Pary w gabinecie wyrzucają sobie, że ktoś na kogoś popatrzył, skomplementował albo śmiał się w rozmowie z plcią przeciwną. Buduje to ogrom napięcia i podejrzliwość, która paradoksalnie sprzyja przekraczaniu granic w ukryciu, bo odkładane przez lata frustracje kumulują się i wychodzą tylnymi drzwiami.

Nie rozmawiamy o fantazjach, bo się boimy oceny partnera, zazdrości, lęku, że poczuje się niewystarczający(-ca).

Romans np. we Włoszech może się skończyć sceną, dramatem, wyrzuceniem walizki z rzeczami przez balkon, ale niekoniecznie rozwodem. Paradoksalnie: intensywność emocji nie musi oznaczać zerwania – często jest to „awantura rytualna”, po której następuje oczyszczenie, pogodzenie, namiętność, a nawet... większa lojalność.

We Włoszech zdrada bywa wykrzyczana. W Polsce – przemilczana. Ale to nie zna-

czy, że ta druga mniej boli, wręcz przeciwnie – milczenie wokół zdrady działa jak toksyczny ładunek, który później przez lata zaturwa relację.

Przypominają mi się sceny z „Vicky Cristina Barcelona” z Javierem B ardemem i Penelope Cruz w przepięknych, namiętnych i głośnych scenach kłótni... Ale porozmawiajmy o Francuzach! To ich chyba kojarzymy stereotypowo z usankcjonowaną zdradą?

– Wielu Francuzów postrzega zdradę nie jako zdradę miłości, lecz jako akt niezależności lub pasji. Co niezmiennie szokuje Amerykanów – w serialu „Emily in Paris” Francuz Luc potrafi tak wyjaśnić paryskie zasady Emily: „Nigdy nie flirtujesz z inną kobietą przy własnej kochance. To gorsze, niż robić to przy żonie” – co pokazuje, że istnieją zasady, tylko są one trochę inne niż w bardziej pruderyjnych społeczeństwach, w których małżeństwo jest innym rodzajem kontraktu na życie...

On zakłada neopren i przeży się, aby jej zaimponować. Ona idzie z jego córką po krem do opalania. On uczy jej syna nurkować

W polskim – silnie opartym na moralności indywidualnej i wizerunku, zdrada może być kojarzona z wstydem oraz grzechem. Ma silniejsze konsekwencje: psychiczne i społeczne. My jako Polacy jesteśmy też w relacjach dość sztywni i nerwowi – lubimy sprawy stawiać jako czarno-białe i unosić się ramach moralnego gniewu, pokazywać wyższość wobec partnera – ja nigdy bym się czegoś takiego nie dopuścił i w związku z tym najlepiej się rozstać.

Dochodzi do skrajnych ocen, generalizacji, dewaluacji. Nie ma gotowości na dialog, zrozumienie drugiego dna zdrady. A bez tego nie ma naprawy związku. Często rodzi na czy przyjaciele jeszcze podkręcają atmosferę, zagzewają do zemsty lub rozstania. Przepracowanie zdrady wymaga dużo dojrzałości, a tej często nam brakuje.

O! Czyli zdrada to nie jest koniec związku?

– Niekoniecznie. Zdrada nie musi oznaczać końca – czasem toruje drogę do głębszej relacji. „Affairs can be make-ups” – mawia Esther Perel – czasem budują nową, bardziej szczerą komunikację i zaufanie. Przetłumaczę jeszcze na szybko zdanie, które pamiętam z książki Perel „Kocha, lubi, zdradza”: „Zdrada często odzwierciedla niezaspokojone potrzeby jednostki lub problemy w relacji, a nie jedynie moralne potknięcie”.

Zdrada naprawdę nie musi być moralną wpadką, może to być dialog ze sobą. Psychoterapia par widzi w romansie szansę – na rozmowę, na świadomość i na odnowę. Czasem nie tyle zdradzamy partnera, ile samych siebie. Wakacyjny romans to pigułka zwiększonej świadomości – ból, smak, odbicie w lustrze, które domaga się refleksji.

Musimy jednak pamiętać o cenie, którą przychodzi zapłacić, jeśli wybieramy taką

drogę „odkrywania siebie” – bo to, czym zachłysnie się w zachwycie osoba zdradzająca, równolegle rani jej partnera(-kę).

No dobrze, to dochodzimy do konkretów: czy mówić partnerowi o romansie wakacyjnym?

– Jak mawiają psychoterapeuci – to zależy... Zależy od ludzi, związku, rodzaju zdrady i – brutalnie – od tego, na co jesteś gotów/gotowa ty i druga osoba.

No to kiedy nie mówić – a przynajmniej nie od razu...

– Gdy mówisz dla oczyszczenia sumienia, a nie dla dobra relacji. To klasyczne przeliczanie ciężaru: „Zgrzeszyłem, teraz ty się z tym męcz”. Gdy zdrada była jednorazowa, nieznaczająca i nie zamierzasz tego powtarzać, a wiesz, że druga osoba się od tego rozpadnie.

No to kiedy warto mówić?

– Mam tu parę takich zdań zaczynających się od „gdy”. Gdy zdrada coś znaczyła. Gdy związek i tak jest w kryzysie – romans tylko go ujawnił. Gdy chcesz budować uczciwość, a nie pozory. Gdy wiesz, że zatajenie zniszczy cię wewnętrznie i nie dasz rady budować relacji w cieniu tajemnicy.

Złota zasada: jeśli mówisz, mów z odpowiedzialnością za emocje drugiej strony, nie z potrzeby ulżenia sobie.

Czyli liczy się tu, dlaczego chcesz o tym powiedzieć, tak?

– To pierwsze pytanie, jakie zadaje terapeuta. Czy chcesz się oczyścić z poczucia winy? Czy chcesz być uczciwy albo relacja tego wymaga? A może chcesz ukarać siebie lub partnera? Sprawdzić, co się stanie? Perel ostrzega przed spowiedzią dla ulgi winowajcy, która zrzuca ciężar z jednej osoby... ale przerzuca go całym ciężarem na drugą, nie zostawiając miejsca na odbudowę.

No dobrze, to jak to zrobić, żeby było dobrze?

– Uznajmy, że istnieją takie modele szczerości, które możemy zastosować. Pierwszy – szczerość bez okrucieństwa. Mówisz prawdę, ale z czułością, gotowością do przyjęcia bólu, bez obrony. Nie o szczegółach (gdzie, ile razy, czy był lepszy), ale o emocjach, o tym, co się działo wewnątrz ciebie.

Drugi to milczenie z odpowiedzialnością – zdarza się, że osoba, która zdradziła, decyduje się nie powiedzieć – ale nie po to, by zapomnieć, tylko po to, by samodzielnie pracować, dlatego to się wydarzyło, i odkryć, co może zrobić, by relacja była autentyczna, głębsza, mniej zagrożona powtórką. To nie ucieczka. To świadome przejęcie odpowiedzialności bez roztrząskiwania drugiej osoby.

Jak naprawiać po zdradzie?

– Nie ma szybkiej naprawy. Czyli znowu, mówiąc „po terapeutycznemu” – to bardziej złożone. Pierwszy poziom, którego powinniśmy dotknąć, to ten indywidualny – czyli rozumienie siebie. Dlaczego ten romans się wydarzył? Czego mi brakowało? Czy był to akt buntu, ucieczki, ożywienia, odwetu? Czy chcę wracać do tej relacji naprawdę czy z lęku?

Bez tej autorefleksji każda próba naprawy to tylko tapetowanie pęknięć.

Drugi poziom to poziom pary – co to mówi o naszej relacji? Czyli rozumienie zdrady. Czy jest to sygnał kryzysu – czy romans to alarm, że w związku coś jest nieadresowane? Intymność? Rutyna? Szacunek?

Dobrze jest dostrzec możliwość zmiany: my terapeuci par mówimy, że kryzys to okazja – to często pierwszy raz, kiedy para rozmawia o tym, czego unikała. Nie tylko, z kim, kiedy i gdzie, ale też ważniejsze: dlaczego.

Wtedy trzeba się przyjrzeć temu, czego nam brakowało. Co zdrada miała wnieść do życia zdradzającego? Jakie są niezaspokojone potrzeby w relacji? Konfrontacja uczucia winy, zranienia, szukanie nowego po-

rozumienia – może to prowadzić do wejścia na wyższy poziom bliskości we własnym związku.

No ale są przecież pewne zasady, prawda?

– Zdradzający musi skończyć z podwójnym życiem. Zero kontaktu z osobą trzecią. Zero nostalgicznych playlist. Następuje zatrzymanie bajki.

Bo zdrada to często nie koniec miłości, ale koniec iluzji o niej. I to nie musi być złe. Czasem dopiero wtedy ludzie widzą, jak naprawdę wygląda ich związek.

Zdradzony ma prawo wiedzieć, że historia się zakończyła, zanim może próbować przebaczyć. Praca nad związkiem po zdradzie to proces, a nie odkręcenie błędu. Nie chodzi o to, żeby zapomnieć i iść dalej. Chodzi o zmianę świadomości po obu stronach.

Nie ma ustalonego czasu powrotu do normalności, ale – uśredniając – można by założyć minimum 6 miesięcy na odbudowę elementarnego poczucia bezpieczeństwa i 12-24 miesiące na głębszą transformację relacji, o ile – podkreślam – obie strony pracują nad sobą i związkiem. Zaufanie nie wraca samo. Wraca przez konkretne działania – przejrzystość, konsekwencję, czułość i czas.

Widziałas takie pozytywne scenariusze?

– Tak, nawet mogłabym je nazwać. Takie, kiedy zdrada staje się momentem prawdy. Kiedy partnerzy przestają żyć w iluzji „wszystko jest okej”, budzą się z letargu i związkowego autopilota, zadają sobie pytania, które od lat były spychane gdzieś na bok: Czy jesteś szczęśliwy(-wa)? Czego ci brakuje? Dlaczego nie mówiliśmy o tym wcześniej?

Ważne jest, żeby – tak jak już wspominałam – zdradzający(-ca) wzięli odpowiedzialność – bez samoobrony.

Czyli nie „to był tylko moment”, nie „nie wiem, jak to się stało” albo „o co ci chodzi”, „to twoja wina, tak dawno nie mieliśmy seksu!”...

–...tylko „Zawiodłem cię. Chciałem czegoś, czego mi brakowało. Nie zareagowałem dojrzałe. I jestem gotów o tym rozmawiać”. To dzięki temu osoba zdradzona ma przestrzeń na ból i pytania. Bo zdrada to może być – nie musi – rana, a nie widzimiś. Potrzeba więc tu prawa do emocji – a pojawiają się żal, gniew, niedowierzanie – szczerości i bezpiecznej przestrzeni, gdzie można wyrazić ból, a nie być ocenianym za „przesadę”.

Perel mawia, że po zdradzie można zrobić takie „drugie małżeństwo”.

– Tak, to szansa na inny związek z tymi samymi ludźmi. Może mniej idealny, ale bardziej autentyczny. ●



FOT. BARBARA BOGACKA

*Katarzyna Haler

● psycholożka, psychoterapeutka i mentorka biznesowa z Krakowa. Specjalizuje się w pracy z osobami doświadczającymi wypalenia zawodowego, szczególnie kobietami w środowisku korporacyjnym. Prowadzi terapię par ze szczególnym uwzględnieniem związków międzykulturowych. Ukończyła psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz szkolenie psychoterapeutyczne w nurcie psychodynamicznym i systemowym, a także liczne kursy uzupełniające, m.in. z terapii Gestalt, RTZ oraz Jogi Nidry. Od ponad 14 lat prowadzi własną praktykę terapeutyczną, wspierając klientów indywidualnie oraz przez autorskie programy i szkolenia dla firm.

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wniośki i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Po zawale
świat daje mi sygnały,
że jestem miłszy

Z PISARZEM MIKOŁAJEM
GRYNBERGIEM*
ROZMAWIA DOROTA WODECKA
ZDJĘCIE MICHAŁ BOROWCZYK
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

JAKBYM PRZYTULAŁ SIĘ
DO KOGOŚ CAŁYM BRZUCHEM
I ŁKAŁ

DOROTA WODECKA: Rok, w którym nie umarłeś, był rokiem, w którym również i ja nie umarłam. Czytając twoją najnowszą książkę, zdziwiłam się, że telepałeś się ze strachu, bo ja go nie czułam, co bynajmniej nie znaczy, że jestem chojraczką. MIKOŁAJ GRYNBERG: Strach nie pojawił się od razu. Najpierw przez cały dzień byłem bardzo słaby. Obudziłem się w nocy i zacząłem otwierać okna, bo wydawało mi się, że jest potwornie duszno. Juno, moja żona, powiedziała, że duszno nie jest, a ja jestem biały jak ściana.

Wezwaliśmy pogotowie. Moje ciało drżało. Nie mogłem złapać oddechu i potwornie mnie wszystko bolało. Nie wiem, czy maszyną do EKG była zepsuta, ale ratownicy uznali, że mam atak paniki. Kazali mi oddychać do papierowej torebki. Bardzo się starałem robić ten wdech i wydech, ale nie mogłem ich zadowolić.

Powiedzieli, że nie jestem skory do współpracy, i zaaplikowali mi hydroksyzynę. Zasnąłem. Po przebudzeniu ucisk w piersiach nie zelżał, wręcz przeciwnie. Byliśmy w hotelu 200 kilometrów od Warszawy.

Tego dnia wypadał Purim, żydowskie święto celebracji życia. Ty uparłeś się na życie, bo nie wezwałeś znów ratowników, tylko twoja żona zawiozła cię do szpitala. – Odruch starego, gadziego mózgu nakazywał mi spieszczać stamtąd, mimo że – jak się później okazało – powinienem był zostać na miejscu, bo w mieście, w którym utknąłem, jest jeden z najlepszych ośrodków kardiologicznych w Polsce.

Lekarka, która się mną potem zajmowała, poprosiła, bym jej obiecał, że będę publicznie mówił, że powrót do Warszawy był pomysłem głupim, bo w takiej sytuacji trzeba pójść do najbliższego miejsca, gdzie leczą ludzi, a nie podejmować ryzyko i jechać 200 kilometrów. Niniejszym to czynię.

Mnie zawiozła do szpitala córka. I jeśli czegoś się bałam, to tego, że lekarze na SOR-ze nie uwierzą, że mój ból głowy nie jest migrenowy. A czego ty się bałeś? – W drodze do szpitala czułem, że umieram. W tamtym momencie mój strach był związany z bólem. Minął, kiedy założono mi stenty i przestało mnie boleć. Nie byłem superrelaksowany, ale w porównaniu ze stanami sprzed odczuwałem przede wszystkim ulgę. Oczywiście musimy przyjąć pewną zmienną...

Zmienną literacką? – Tak właśnie. Nie pamiętam wszystkiego, co się wtedy wydarzyło, ale napisałem książkę i dla mnie prawdą teraz już jest to, co napisałem.

Wspominasz w niej, że w ogóle się nie bałeś, kiedy istniało duże ryzyko, że samolot, którym lecisz, się rozbije. – Wtedy z zimną krwią niczym psychopata przyglądałem się pasażerom. Kobieta, która siedziała obok mnie, zacisnęła palce na moim przedramieniu i trzymała je zacisnięte, dopóki samolot nie wylądował. Miałem potem przez tydzień siłą rękę.

Nie zdziwił cię twój spokój? – Bardziej zdziwiło mnie to, że wcześniej sądziłem, że wypadające maski tlenowe są przejawem nadziei, tymczasem pomyślałem, że teraz to już nieodwołalnie się rozbijemy i na pewno nie będzie bolało. Z wyjątkiem patrzyłem na panikujących pasażerów, którzy sięgali pod fotele po kamizelki ratunkowe, mimo że był to lot kontynentalny i nie groziło nam awaryjne lądowanie na wodzie.

Wstyd powiedzieć, bardziej byłem skupiony na tym, co się dzieje w samolocie, niż na myśleniu o tym, co będzie z moimi bliskimi i jak będzie wyglądało ich życie bez mnie. Ale to było kilkanaście lat temu. Może byłem za młody?

Teraz płakałeś?

– W szpitalu płakałem. I słyszałem, że nie ja jeden płaczę. Nie mogłem widzieć innych pacjentów z mojego oddziału reanimacyjnego, bo byliśmy rozdzieleni parawanami. Mówiłem do mężczyzny, któremu łamał się głos w czasie rozmowy z bliskimi, że ja też płaczę, że to jest naturalną reakcją przynależną do syndromu near death experience. Wszystko mnie wzruszało, ale kiedy przychodziła do mnie Juno albo moje dzieci, wzbierała we mnie fala płaczu.

Tkliwość? – Wszystkie uczucia z tej właśnie półki. Jakbyś przytulała się do kogoś całym brzuchem i łąkała. Wspaniałe uczucie.

Jest emanacją miłości? – Czułem wspólnotę więzi, przywiązanie, miłość. To mnie rozwalalo, ale było dla mnie dobre. Martwiłem się tylko, czy nie jest dla nich krępujące, że ja ciągle płaczę.

Wasza miłość się zmieniła? – Nie czuję, żeby tak było, ale Juno mówi, że jestem bardziej odwrócony ku domowi, niż byłem kiedyś. Świat daje mi sygnały, że jestem miłszy, chociaż przedtem nie odbierałem sygnałów, że coś jest nie tak. Teraz usłyszałem od kilku osób, że nie boją się mnie tak jak przedtem.

Lekarka, która się mną zajmowała, poprosiła, bym jej obiecał, że będę publicznie mówił, że powrót do Warszawy był pomysłem głupim

Wieziona na operację czułam wdzięczność za czas przeżyty z dziećmi i przyjaciółmi i też płakałam. Ale nie przyszło mi do głowy katowanie siebie myśleniem, jak wyglądałoby ich życie, gdybym wtedy umarła. Po co to sobie robiłeś? – Można cenzurować, co się powie, ale nie można cenzurować swoich skojarzeń. Kalendarz równoległy pojawił się niespodziewanie po dwóch tygodniach od zawału. Leżeliśmy z Juno w łóżku, kiedy pomyślałem, że już by było po pogrzebie. A dalej to już poleciało, że byłby to strasznie smutny czas dla moich bliskich. Na początku byłiby otoczeni ludźmi, organizowali pogrzeb, czyli byli w okresie, który psychoterapeuci nazywają anestetycznym. Po dwóch tygodniach wpadliby w najciemniejszą czerń i smutek.

Spróbowałam popraczkować myślenie równoległe. I znów się popłakałam z wdzięczności, że przez te półtora roku od udaru mogłam zobaczyć ważne chwile w życiu bliskich i cieszyć się ich radościami. – No widzisz, to chyba właśnie tak działa. Jadąc do szpitala i potem, kiedy już miałem założone stenty, myślałem, że gdybym umarł, to nie mógłbym zobaczyć, co się moim bliskim w życiu przytrafi, nie mógłbym cieszyć się ich radością ani nie mógłbym być dla nich wsparciem, jeśli by go potrzebowali. Możliwe, że myślałem nie tylko o nich, ale też o sobie, o tym, co mogłem stracić.

Nie bałeś się wyjść ze szpitala ze strachu, że dostaniesz kolejnego zawału i już nie będziesz miał takiego farta, że cię uratują? – Nie, ja chciałem wrócić do domu. Poważne lęki dopadły mnie między wyjściem ze szpitala a rehabilitacją. Bałem się, że zostanę uwięziony w mieszkaniu, bo nie będę miał siły samodzielnie zejść i wejść po schodach.

Kokietujesz w książce, że jesteś stary, czy naprawdę czujesz, że się postarzałeś?

– Kiedy pisałem o tym, że jestem stary, byłem starszy, niż wskazywała moja metryka, zdecydowanie starszy niż przed zawalem. Mniej więcej o 15 lat. Nie miałem siły wyjść z wanny ani nawet w niej usiąść. Byłem przerażony, że zostanę już takim działuniem.

Odpuściłeś robotę? – Nigdy nie byłem zajeżdżony robotą, bo ona mieszała się z moim życiem prywatnym. Ale słyszę czasami od Juno, że bym zwolnił, bo zapominam, że jestem po zawale. Na pewno nie robię już żadnych rzeczy, których nie lubię. Wcześniej zdarzało mi się na przykład przyjmować zlecenie niekoniecznie w higienicznych warunkach. Teraz tego nie robię. Minimalizuję toksyczność.

Co ci się jeszcze zmieniło po? – Aż boję się tego, co zaraz powiem, ale przed zawalem na pewno zdrowiej się odżywiałem.

Jak to? – Przez parę lat nie jadłem mięsa, a ściślej mówiąc, okresowo bywałem wegetarianinem. Po zawale dostałem ssania na mięso i postawiłem siebie na pierwszym miejscu. To regres, jeśli chodzi o dbanie o siebie, ale najwidoczniej mój organizm tego potrzebował. Z drugiej strony bardzo konsekwentnie włączyłem w swoje życie ruch, co nie zdarzało się w moim dorosłym życiu. Ale znalazłem w tym przyjemność.

Endorfiny? – Wielu sportowców, biegaczy czy kolarzy odczuwa wyrzut endorfin, ale ja miewam je rzadko. Moją nagrodą jest to, że z tygodnia na tydzień czuję, że mogę więcej. Kiedy pierwszy raz po zawale wsadłem na rower, nie byłem w stanie przejechać kilometra, dziś przejeżdżam pięćdziesiąt. Mało miałem w dorosłym życiu tak wymiernych sukcesów. Kiedyś rozmyślałem nad tym, co bym zrobił, gdybym miał raka i wydawało mi się, że raczej bym się szybko z nim ułożył, przyjął z godnością i czekał na koniec. Nie podejrzewałem, że będę tak walczył o powrót do zdrowia.

I o czym myślisz, jeżdżąc tym rowerem? – Chyba o niczym. Cieszy mnie, że pokonuję dystans siłą swoich mięśni, i zastanawiam się, o ile wkrótce się wydłużę. Nie zwiadam okolic, nie podziwiam widoków, mam w nosie, jak to wygląda. Może kiedyś będę fotografował piękne miejsca i będę się nimi cieszył. Dzisiaj one mogłyby dla mnie nie istnieć. Ja mam frajdę z tego, że jadę. Przez ostatnią dekadę przed zawalem unikałem ruchu, nawet ze spacerów z przyjaciółmi rezygnowałem.

Bohater twojej książki, leżąc na oddziale reanimacyjnym, odczuwał miły dystans do rzeczywistości. Przestaje go interesować i świat, i Polska. Rozmawiając ze znajomymi, odnoszę wrażenie, że po wyborach spora ich część przeszła zawal. Nie czyta, nie słucha, odmawia angażowania się w sprawy, które wcześniej uznawała za istotne. A ty? – Też już nie śledzę non stop. Rano włączam radio, żeby z niepokojem usłyszeć wiadomości dotyczące wojen. I tyle. Nie jestem już uzależniony od newsów. Przedtem zdecydowanie bardziej potrzebowałem wiedzieć, co się dzieje.

Skąd ta zmiana? – Lepiej mi idzie samoregulacja i wiem, kiedy muszę się wycofać. Kiedy się znowu tego naczynam, jestem zdenerwowany, a przecież moja wiedza na ten temat jest bez znaczenia. Nie mam wpływu na to, co się dzieje. Muszę o siebie dbać. Nie chcę, żeby znowu stało się to samo. Nie chcę, żeby mój organizm pod wpływem stresu wyprodukował hurtowe ilości cholesterolu, z których zbuduję te wszystkie

sprytne blaszki miażdżycowe, które zablokują mi naczynia, wszystko jedno czy wieńcowe, czy w rozumie. Stawiam siebie na pierwszym miejscu, nie świat.

Obowiązkiem inteligenta nie jest stawianie świata na pierwszym miejscu? – Wystarczy, że ty stawiasz. Ja mam przerwę.

Nie powiedziałam tego przecież. Swoją drogą trudno mieć przerwę od Polski, skoro ona zawsze człowieka dopada. Ciebie dopadła na turnusie rehabilitacyjnym Polska seksistowska, wszystko najlepiej wiedząca, rechocząca ze swoich dowcipów, antysemicka i homofobiczna. – Zazwyczaj zabieram głos w takich sprawach, nie jestem milczącym przyzwoleniem, ale wtedy milczałem. Nie jest to moim powodem do dumy, wstydę się, ale moje milczenie pozwoliło mi zakończyć ten turnus rehabilitacyjny. Jakbym się z nimi pokłócił, tobym nie chciał już tam przychodzić.

Podoba mi się twoja pozawałowa życiowa mądrość ujęta następująco: „Nie spędzaj życia na walce z samym sobą. Trzeba brać, co jest do wzięcia, i nie zajmować się tym, co już dawno nieaktualne”. Jak odnosisz ją do siebie? – Ta, jak to nazwałaś, mądrość dotyczy starzenia się. Każdy wiek, w jakim jesteśmy, ma potencjał, by wziąć z niego coś dla siebie. Jeśli, starzejąc się, jestem odwrócony do tyłu i tylko z żalem odnotowuję, co zabrał mi kolejny rok albo dekada, to wybieram najsmutniejszą wersję tej gry. Kiedy odkryjesz, że każdy czas ma coś do dania, to nie będziesz odczuwała straty czy wręcz cierpienia.

Nie cierpię, raczej popadam w nostalgię. I myślę o śmierci. Ty nie? – Myślę o śmierci więcej niż średnia krajowa. Zostałem wychowany w jej cieniu. Myślę o śmierci, kiedy moje dzieci spóźniają się dwie minuty.

Ale nie wpatruję się w swoje dłonie, by biadolić, że mam plamy na skórze albo że ta skóra nie jest taka jak kiedyś. Już przed zawalem zyskałem taką perspektywę, zawał tylko ją umocnił. Polubiłem grę, która polega na szukaniu i robieniu rzeczy, które przychodzą do nas z każdym kolejnym rokiem. Współczuję ludziom, u których widzę walkę z permanentnymi utratami, które tylko się kumulują.

Jesteś też „niewkurwialny”, jak powiada jeden z twoich pozawałowych znajomych? – Nigdy nie byłem „wkurwialny”, nie darłem się, nie podnosiłem głosu, nie rzuciałem przedmiotami. Ale czułem, jak ja staram się śnienie i wszystko się we mnie zaciska. Natomiast teraz, i to jest najbardziej wyrażająca zmiana, jaka zaszła we mnie, kiedy obserwuję osoby „wkurwialne”, myślę: naprawdę? O to się będziesz wkurwiał? Zrób krok w tył i będzie ci lżej. Oczywiście taki mądry jestem w sprawach innych ludzi, niekoniecznie swoich, ale nie wypowiadam tych rad na głos.

Może szkoda. – Byłem kiedyś świadkiem rozmowy mojego ojca z przyjacielem, który twierdził, że mój tata powinien mi zwrócić uwagę, że źle wychowuję syna. Mój tata odpowiedział, że kieruje się zasadą, iż niepytany o radę jej nie udziela, co w domyśle jest gwarantem naszych dobrych relacji. Przyjąłem tę lekcję i ja też niepytany nie udzielam rad. Czasami mam ochotę powiedzieć dzieciom, co i jak powinny zrobić, ale jeśli nie pytają, siedzę cicho. Oczywiście rozmawiamy na różne tematy, ale ja staram się raczej dodawać im sił, zamiast je cenzurować czy recenzować.

Wasze relacje zmieniły się po twoim zawale? – Nie wiem.

Wiele osób w moim wieku ma już za sobą rozmowę z rodzicami, że już czas prze- stać jeździć samochodem. Zbierałem się do takiej rozmowy z moim tatą, ale się nie od- była, bo tata nagle zmarł. Trudno jest po- wiedzieć swojemu ojcu, że jest już na coś za stary, ale jeszcze trudniej jest pomyśleć, że nadszedł czas, że moje dziecko chce ze mną o tym właśnie rozmawiać. Jak to? Ze mną? Już?

Buntowałeś się?

– Nie. Zacząłem się do niej mentalnie przy- gotowywać. Czułem, że muszę zrobić wszystko, żeby moi bliscy czuli się bezpiec- nie, zamiast walczyć z nimi o ten przykłado- wy samochód.

Mój dziadek, o czym mogłaś przeczy- tać w mojej książce „Poufne”, nie chciał zre- zygnować z prowadzenia samochodu, a był już zagrożeniem dla siebie i innych. Pojecha- łem do niego na Mokotów, wziąłem scyzo- ryk i rozprułem mu cztery opony, o co dzia- dek oskarżył antysemitów. Ale nie wymienił opon i zakończył karierę kierowcy.

Znam historie przyjaciół, którzy próbo- wali negocjować z 70-letnimi rodzicami przeprowadzkę z trzeciego piętra w bloku bez windy niżej albo do bloku z windą. By zrobili to, póki mogą to zrobić sami, na wła- snych warunkach, zachowując podmioto- wość i godność.

Niektórzy reagowali na taką propozycję potwornie agresywnie: „Nie będziecie nam mówić, co mamy robić, to jest nasze życie”. Nie chcieli brać odpowiedzialności za czas, który nadchodzi. Nie wiem, jak się zacho- wałem, ale chciałbym iść za głosami dzieci. Zresztą była już ku temu okazja.

Nie za szybko? Nie masz sześćdziesiątki.

– Nie mam, ale już zacząłem ćwiczyć. Mamy dwupokojowe mieszkanie, schody prowa- dzące z jednego poziomu na drugi są stalo-

we, dosyć śliskie. Pewnego dnia mój syn po- wiedział: „Żarty na bok, wychowałem się na tych schodach, wiem, jak się można z nich spieszyć, musicie nakleić na nie taśmy przeciwpoślizgowe, bo się pozabijacie”.

Następnego dnia kupiłem te taśmy i je przykleiłem. Juno uznała, że teraz to się po- zabijamy, bo jesteśmy nieprzyzwyczajeni, że one nagle hamują. Ale ja pomyślałem, że muszę zrobić wszystko, żeby dzieci nie mia- ły z nami kłopotu. Nie uważałem, że odda- ją pole, bo to przecież z polem żadnego nie ma związku.

Czujesz, że twoje dzieci tym bardziej się teraz tobą opiekują?

– Szliśmy na spacer, już po zawale, córka po- wiedziała: „Krawężnik, uważaj”. Też tak mó- wilem swojemu tacie, bo bałem się, że się przewróci, a nie chciał, bym go trzymał pod rękę. Próbowałem mu też podawać w szat- ni marynarkę, ale on mówił: „Jeszcze nie, synku. Jak skończę 80 lat, będziesz mi po- dawał”.

Wzrusza cię to troskliwe następstwo pokoleń?

– Bardzo mnie wzrusza, ale też trochę śmie- szy, bo zwracają mi uwagę na coś, co widzę. Ale nie mówię: „Nie pieprz mi głupot, widzę ten krawężnik tak samo jak ty”. Wiem, że ostrzeżenie mnie przed rzekomym niebez- pieczeństwem jest dla nich ważne. Czują, że czemuś zapobiegają. Nie są nadgorliwi, nie są nadopiekujący, nie świrują. Czysta troska.

Rozmawiasz z nimi o swojej śmierci czy nie chcesz im tego robić w obawie, że ich emocjonalnie rozwalisz?

– Raczej tego nie robię. Syn poprosił nas, by- śmy zrobili porządki z rzeczami naszych ro- dziców, bo nie chcą tego ogarniać za nas. Ojciec też ze mną zbyt dużo o tym nie roz- mawiał, ale po śmierci mamy zrobił dla sie-

bie napis nagrobny. Zamówił litery, ale nie przyczepił ich do grobu. Kiedyś nie wytrzy- mał i powiedział mojemu synowi, że są w je- go biurku.

Kiedy zmarł, wyjęliśmy pudelko zawinie- te w gazety z okresu pogrzeby mamy. Sie- dzieliśmy na podłodze w jego pokoju i ukła- daliśmy litery trochę w ciemno, bo nie wie- dzieliśmy, jaki napis wymyślił. Pewne było tylko imię, nazwisko i data urodzin. Ciekaw- byłem, czy obstawił datę śmierci, ale nie, nie próbował.

Przywołujesz w książce swój sen, w którym próbujesz ustalić z pomocą rachunku prawdopodobieństwa i rodzinnych doświadczeń, kiedy dokładnie umrzesz. Chciałbyś wiedzieć?

– Tak dużo ludzi mnie o to pytało, że zacza- łem odpowiadać, że chciałem wiedzieć, ile czasu mi zostanie. Ale po tym zawale mam w dupie tę datę. Chcę jednak wiedzieć, co zdążę w życiu. Możliwe, że na jedno wycho- dzi.

„Chcę zdążyć, co jest do zdążenia” – napisałeś. Co chciałbyś zdążyć?

– Chciałbym pisać. I chciałbym mieć poczu- cie, że przez ten czas, który mi został, nie ro- bię nic wbrew sobie.

Zdarza ci się trwonić czas, czyli nic nie robić?

– Głównie! Ale dawno temu dogadałem się ze sobą, że kiedy nic nie robię, w mojej gło- wie wydarzają się rzeczy, które potem pro- centują. Nie jestem w permanentnym biegu.

Myślałam, że po zawale zrozumiałeś, że życie to nie są zawody i nie musisz ani nie chcesz z nikim konkurować. – Jestem pozbawiony przymusu rywaliza- cji. Jeśli ktokolwiek zaczyna się ze mną ści- gać, to od razu odpuszczam. Ja się ścigam ze

sobą. Nie mam też towarzyskiego przymu- su rywalizacji.

A zrobiłeś coś, czego nie zrobiłeś do tej po- ry? Ja nauczyłam się jeździć samochodem.

– Nie zrobiłem nic tak spektakularnego jak ty, ale zacząłem więcej żyć. Przed zawalem siedziałem w domu, w swoim pokoju i pra- wie codziennie od 18 do 21 prowadziłem za- jęcia online. To było bardzo komfortowe, bo nie musiałem spotykać się z ludźmi, cho- dzić na spotkania, do teatru i tak dalej. Żało- wałem, ale byłem kryty.

Po zawale zacząłem to wszystko robić i mam z tego wielką przyjemność. Wcze- śniej nie miałem siły na życie. ●

Mikołaj Grynberg

• Rocznik 1966. Pisarz i fotograf, z wykształ- cenia psycholog. Od lat zajmuje się problema- tyką i historią polskich Żydów. Autor albumów „Dużo kobiet” (2009) i „Auschwitz – co ja tu robię?” (2010) oraz zbiorów rozmów: „Ocaleni z XX wieku” (2012), „Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne” (2014), „Księga wyjścia” (2018) a także „Jezus umarł w Polsce” (2023). Wydał dwa opowiadania: „Rejwach” (2017) nominowane do Nagrody „Nike” i „Poufne” (2020). Laureat Nagrody Literackiej Prezy- denta Białegostoku im. Wiesława Kazanec- kiego. W 2021 r. zadebiutował jako reżyser dokumentem „Dowód toż- samości” wyprodukowa- nym przez Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”. Prowadzi warsztaty pisania historii osobistych. Jego najnowszą książką jest „**Rok, w którym nie umalem**” (wyd. Agora 2025)



Felieton z cyklu: Za pięć trzynasta

Kiedy podoba się nam brzydki prezent

Kończę mój włoski miesiąc wakacji spędzony po raz pierwszy na emeryturze i przeglądam „małe empirie” Katarzyny Sobczuk. Książkę, która zasługuje na żarliwe wyznanie wdzięczności

Jarosław Mikołajewski

Wobec książki, która zainteresowała czy rozbawiła, chyba często odczuwa się wdzięczność. Przy czym wyraża się ona zawsze na nieoczekiwanym poziomie, kształtując odczucia niejedno- rodne, zależne od sposobu, w jaki na nas oddziaływała, zastanowiła, wzruszyła, czy też nam zwyczaj- nie pomogła.

W chwili kiedy kończę w tym roku wakacje, z wdzięcznością przeglądam przeczytane tro- chę na wrywki, trochę w zapro- ponowanym przez autorkę po- rządku, „małe empirie” Katarzy- ny Sobczuk. Książkę, o której le- dwie wspomniałem w jednym z poprzednich felietonów, a któ- ra zasługuje na żarliwe wyznanie wdzięczności i równie żarliwe po- lecenie. Zapis „obserwacji tego, co się ludziom przydarza w oknie po- godowym między młodością i sta- rością, gdy znajomi zaczynają wy- słać zdjęcia kwiatów w ogrodzie, a rodzice karmią ptaki z nową na- miętnością”.

• „Kiedy miałam trzydzieści lat – zaczyna autorka pierwszy z małych esejów („Rozmarudze- nie”), z jakich składają się małe empirie – siedziałam w restauracji z przyjaciółką, która długo się za- stanawiała, co chce zjeść”...

Pierwszą reakcją, jaką w sobie rejestruję, jest wątpliwość sple- ciona z ulgą. Po pierwsze: Czy trzydzieści lat to wiek, który ma coś wspólnego z pojęciem „sta- rość”? Po drugie: Czy to, że w wie- ku trzydziestu lat przebąkuję coś o starości, rzeczywście zasługu- je na karykaturalne protesty, z ja- kimi rozmówcy witają taką kuali- fikację? Czy na pewno błędę mó- wiąć o sobie „stary” kiedy niektó- rzy z nas zdobywają jeszcze olim- pijskie medale? Ile w tym kokie- terii, ile zaniepokojenia upływem czasu, utratą pewnych zdolności (a może tylko łatwości, na przy- kład uczenia się języków obcych)?

Niech będzie rzeczą jasną: wiek lat trzydziestu mam już daw- no za sobą. A przecież wciąż znaj- duję się „w oknie pogodowym”, o którym wspomina Katarzyna Sobczuk, artystka i filozofka.

Za oknem tym inne są już wi- doki, inne światło, a przecież wciąż należę do grupy osób, w któ- rej wciąż potrafimy kochać, jesteśmy rodzicami dla dzieci, dziećmi i rodzicami dla matek i oj- ców, przyjaciółmi dla rówieśni-

ków, u których widzimy zmiany nie bardzo zdając sobie sprawy, czy przebiegają one tylko u nich, czy również w nas.

Bo okno to pozostaje otwarte czy choćby przezroczyste do chwi- li, kiedy jest w nas aspiracja do in- nego, lub bardziej pełnego ży- cia, kiedy umiemy zastanawiać się nad sobą, konfrontować ży- celiwie nasze doświadczenia z do- świadczeniem innych. Noc za tym oknem (to już moja uwaga) zapa- da w chwili, kiedy stajemy się bez- refleksyjnym obiektem pielęgnacji.

• Wielkim bogactwem książki Katarzyny Sobczuk jest opis przypadków, w których możemy siebie odnaleźć.

Oto „dotychczas młody czło- wiek zaczyna chodzić po leka- rzach i, nie mogąc się z tym po- godzić, szyfruje daty wizyt w ka- lendarzu”. Lub następuje w nas moment czułości, „jaką budzą w skromne lub brzydkie prezen- ty: długopis, kubek, rysunek od dziecka znajomych”. Gdy „rze- czy, które kiedyś wyniosłabym do piwnicy, zaczynają wywoływać dziwną wdzięczność i tklivość”.

„Symptodem początku staro- ści – zauważa Katarzyna Sobczuk – może być też utyskiwanie na ko- ta. Nie zjadła?, Znowu nie zjadła, Ona nic nie je, Przedtem to lubiła, a teraz nie chce, Oszaleć można”.

I dalej ta konstatacja: „Młodzi lu- dzie nie mówią w ten sposób”.

Irytacja lub rozbawienie, z ja- ką inni używają (nieznośnego dla mnie, nawiasem mówiąc) terminu „peselozą”. Reakcje, z jakimi przy- mujemy u innych splątanie wą- tków, zależnie od statusu, jaki ma- ją w naszym życiu. Automatyczne uznawanie rzeczy, które mówi ro- dzic, za głupie...

• Gdyby nie wyrobiony przez lata rygor oryginalności poetyckich in- spiracji, opisy przypadków poda- ne w „małej empirii” łatwo mógł- bym uznać za pobudkę do wła- snych wierszy.

Są wśród nich sytuacje lirycz- ne, czyli graniczne, gdzie prze- czucie walczy o lepsze z absurda- lnym przekonaniem, a tak zwana obiektywna rzeczywistość z ob- sesją. A przecież są to małe ese- je filozoficzne, w których to, co za- rejestrowane jako doświadcze- nie dzikie, autonomiczne, zysku- je odbicie w lustrze obiektywizmu, a przede wszystkim przymiarek w konfrontacji z czującym głąbo- ko rozumem.

Przypadki skolekcjonowane przez autorkę najpierw zaskakują czytelnika, który aż wylazi ze skó- ry, by zawołać „to prawda” albo „mam dokładnie tak samo”. Pre- zentują się w nowym rozumieniu, w postaci wolnej od rutyny. Na-

stępnie poddają się rozumieniu i po-rozumieniu, jej bratu.

I to może jest najbardziej do- niesie znaczenie tej książki: po- kazanie, o czym my, ludzie i my, naród, moglibyśmy rozmawiać, w czym się spotykać i przyjaź- nić, gdyby polityka nie prowadziła nas na manowce głupoty, stronni- czości, małości. Jakże inaczej wy- glądałyby nasze wigilie, urodzi- ny, spotkania towarzyskie, deba- ty społeczne, gdybyśmy nie mu- sieli gubić się w pułapkach zasta- wianych przez małe umysły opa- nowane ambicją inną niż poszuki- wanie we wszystkich nas tego, co wspólne, łączące. Mówilibyśmy, że na tym etapie życia u nas jest tak, słuchalibyśmy z zaciekawieniem, że u innych jest całkiem inaczej. Wzbogalibyśmy wiedzę o lu- dziach, jaką mają inni, i rozumie- nie człowieka jakie jest w nas.

Jeżeli to tylko marzenia, to kie- dy nam marzyć, gdyby nie w chwi- li, kiedy rozpakowujemy brzydkie, dawno otrzymane prezenty? ●



Katarzyna Sobczuk „**małe empirie**”, Wydawnictwo Dowody 2024

„W centrum historii znajduje się Izabela Łęcka, młoda kobieta, która nie zgadza się na przypisaną jej rolę biernej arystokratki. Zafascynowana emancypantkami marzy o wolności i samostanowieniu. To Łęcka, która nie chce wychodzić za mąż, tylko żyć po swojemu”. Co pomyślałaś, kiedy przeczytałaś ten opis?

– Że jeśli ktoś chce nakręcić serial o młodej emancypantce, to może po prostu zrobić serial o młodej emancypantce, nie nazywać jej Izabela Łęcka i nie łamać powieści Prusa kręgosłupa.

Nie mam nic przeciwko ekranizowaniu XIX-wiecznych powieści w sposób uwzględniający współczesną perspektywę. Krytyczne komentowanie źródeł historycznych – a powieść też jest źródłem – jest potrzebne i ważne. Ale „Lalka” nie jest opowieścią o buncie przeciwko starym zasadom. Jest dokładnie na odwrót: to powieść o tym, że świat stoi w miejscu i choćby nie wiem jak nim potrząsać, ostatecznie się nie zmienia.

Porządek społeczny w „Lalce” się nie rozpada?

– Rozpada, ale w specyficzny sposób. Nie eksploduje, tylko zapada się w sobie jak bardzo stary budynek, który jest w koszmarnym stanie i powoli się osuwa.

Prus bardzo krytycznie oceniał ten porządek, w tym wpisany w niego sposób wychowywania kobiet. Przy czym robił to ze specyficznej pozycji. Pozytywiści uważali, że kobiety powinny się uczyć i pracować, bo widzieli w nich niewykorzystany zasób. Kobiety z klas wyższych miały przestać być bezwolnymi lalkami, żeby wraz z mężczyznami budować siłę i zasobność Polski – co miało ostatecznie doprowadzić do odzyskania niepodległości.

Ich osobiste szczęście się nie liczyło?

– Na pewno było mniej istotne niż społeczna przydatność. Choć dostrzegała je np. Eliza Orzeszkowa, która podkreślała, że satysfakcja zawodowa przynosi też satysfakcję osobistą. Również była wobec kobiet z klas wyższych bardzo krytyczna. Pisała, że są niezdolne, płaczliwe, rozchwiane emocjonalnie, niedojrzałe – ale dlatego, że nic nie potrafią i zwyczajnie się nudzą. Nie mają żadnych głębszych myśli, bo nikt nie dał im szansy takich myśli wykształcić.

Izabela Łęcka jest tego idealnym przykładem. To postać bierna, pusta i pozbawiona celu w życiu nie dlatego, że jest jednostką wybrakowaną moralnie, tylko dlatego, że pochodzi z klasy społecznej, która tego właśnie od kobiety oczekuje.

Prus nie jest wściekły na kobiety, że są głupie i nieprzydatne, tylko na społeczeństwo, że tak wychowuje młode panny. Postać Łęckiej jest egzemplifikacją problemu społecznego – i dokładnie dlatego tak bezsensowne jest pisanie Izabeli od nowa jako postaci buntującej się przeciwko normom społecznym i marzącej o wolności.

Czy, historycznie rzecz biorąc, kobieta z jej sfery w tamtych czasach mogła fascynować się ruchami emancypacyjnymi?

– Zależy, jak je zdefiniujemy. Akcja „Lalki” toczy się w Warszawie w późnych latach 70. XIX w. W Polsce trwa już wówczas dyskusja o „kwestii kobiecej”, nasilająca się od klęski powstania styczniowego w 1864 roku.

O emancypacji dużo rozprawiają pozytywści, piszą czasopisma dla kobiet takie jak „Bluszcz”. Eliza Orzeszkowa publikuje m.in. „Kilka słów o kobietach”, a w nim esej „O pracy kobiet”, w 1873 roku powieść „Marta”. Jej bohaterką jest ziemianka, która po śmierci męża usiłuje utrzymać siebie i małą córkę, ale nie jest w stanie tego zrobić, bo została wychowana na panią domu i nie ma żadnych praktycznych umiejętności, a nawet, gdyby miała, nikt nie dałby jej pracy.

Teoretycznie Izabela mogłaby przeczytać „Martę” i zapłakać nad jej losem. Ale zorganizowane ruchy sufrażystek walczą-

Projekt Izabela Łęcka

Twórcy serialu „Lalka” zapowiadają opowiadanie tej historii z kobiecej perspektywy. Czy robienie z Łęckiej feministki ma sens?

Z DR ALICJĄ URBANIK-KOPEĆ, AUTORKĄ KSIĄŻEK O PRACY I EMANCYPACJI KOBIET, ROZMAWIA EMILIA DŁUŻEWSKA



• Izabela Łęcka jako młoda emancypantka, która w połowie XIX w. pragnie żyć po swojemu? Taką wersję „Lalki” proponują twórcy serialu Netflixa. Serial reżyseruje Paweł Maślona, a w rolach Łęckiej i Wokulskiego: Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt (oboje na zdjęciu). Premiera jest planowana w 2026 roku. W tym samym roku do kin wejdzie też film „Lalka” w reż. Macieja Kawalskiego z Kamilą Urzędowską i Marcinem Dorocińskim oraz Markiem Kondratem w roli Rzeckiego.

ce o prawa wyborcze i prawo do edukacji wyższej zaczynają działać na ziemiach polskich w latach 90. XIX w. A wybuch emancypacji takiej, jak ją sobie dziś wyobrażamy – z marszami, protestami, petycjami, powstaniem Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich – to przełom XIX i XX w., czyli całe pokolenie później.

Nie mówię, że w czasach „Lalki” na ziemiach polskich nie było emancypantek. Ale to były wyjątkowe jednostki.

Na przykład?

– Anna Tomaszewicz-Dobrska, lekar-ka, która w 1871 roku wyjechała na studia do Szwajcarii, siedem lat później obroniła w Zurychu pracę doktorską, wróciła do Polski i walczyła o to, by nostryfikować tu dyplom. Maria Skłodowska-Curie wyjechała na Sorbonę dopiero w 1891.

W latach 70. i 80. XX w. pierwsze uniwersytety w Europie, głównie w Szwajcarii, zaczęły przyjmować kobiety. Zdarzały się Polki, które wyjeżdżały studiować filozofię czy medycynę, ale wymagało to gigantycznego wysiłku. Trzeba było mieć ogromną odwagę, poza tym pieniądze, zgodę rodziców, znajomości, by wiedzieć, jak na te studia aplikować, ale też choćby gdzie się zatrzymać. I niesamowite samozaparcie, by wrócić do Polski i pracować na jej rzecz.

Kiedy Tomaszewicz wróciła do Warszawy, w prasie ukazywały się na jej temat paszkwile. Stanisław Krupski publikował w odcinkach powieść „Pod skrzydłami Al-mae Matris” o panience, która wyjeżdża na studia do Zurychu, by znaleźć sobie męża. Publicyści sugerowali, że kobiety studiu-jące medycynę są zaburzone psychicznie i robią to, by móc oglądać nagie ciała. Le-karze snuli teorie, że kobiety mają za małe mózgi albo że od nauki usychają im ma-cice. W powszechnym mniemaniu kobie-ty z wyższym wykształceniem były moral-nie podejrzane, a wręcz nie do końca by-ły kobietami.

Izabela Łęcka też jeździła po Europie.

– Ale tak robiły panienki z jej sfer – by po-glądać zabytki, pójść do opery i na bal, do-brze się bawić, a potem wrócić do kraju i wyjść za męża, co tak długo odwlekała.

Tu akurat mogę się z opisem Netflix-a zgodzić: Łęcka nie chce wychodzić za męża. Tylko że wynika to nie z dążeń emancypa-cyjnych, ale z niedojrzałości. Izabela nie kontestuje samej koncepcji zamążpójścia. Jest to dla niej konsekwencja biologiczne-go dojrzwania, jak to, że w miejsce mlecz-nych zębów wyrastają stałe – jest się ozdo-bą salonów, potem żoną i matką, na końcu matroną. Ale to dla niej abstrakcja: będzie jakiś mężczyzna, sukienka, wydarzenie to-warzyskie, zmiana pozycji społecznej. Star-sze koleżanki wytłumaczyły jej, że mąż oznacza dzieci, dzieci są śliczne, można je ładnie ubierać i przynoszą w życiu bardzo dużo radości.

Owszem, tragedia Izabeli polega na tym, że nie odnajduje się w społecznych ra-mach. Ale nie dlatego, że pragnie wolno-ści, nawet w XIX-wiecznym rozumieniu, ale dlatego, że wskutek odebranego wycho-wania jest osobą niedorozwiniętą emocjo-nalnie i psychicznie. Nie ma narzędzi, żeby odnaleźć się w dorosłym życiu. Dlatego ro-bi takie głupoty jak flirtowanie ze Starskim, choć stawia na szali dobro rodziny.

Izabela wie, że to niebezpieczne, bo aku-rat w tej kwestii nie jest naiwna. Zna swo-ją pozycję na rynku matrymonialnym i sy-tuację finansową. Na początku „Lalki” pyta ciotkę, czy naprawdę musi wybierać mię-dzy sprzedażą siebie a serwisu. A ciotka mówi: szkoda rodzinnych pamiątek.

W XIX w. panny z wyższych sfer faktycznie były aż tak niedojrzałe?

– Izabela jest przerysowana, ale nie jest nieprawdopodobna. Dorasta jako dziew-czyna nie tylko bogata, ale też rozpieszcza-na przez rodzinę i bardzo piękna. Ludzie całe życie jej nadskakują. Prus z ironią pi-sze, że wychowała się w świecie, w którym

nie obowiązują prawa fizyki. Mogła spać cały dzień i nie spać w nocy, nie zwracać uwagi, czy jest lato czy zima, bo inni dbali o to, by temperatura była odpowiednia, nie zauważać, czy jest w górach czy nad mo-rzem, bo zawsze ktoś ją zawiózł, przepro-wadził, przeniósł, zadbał o jej komfort.

Sztuka, muzyka, piękne stroje i spotka-nia towarzyskie to nie tylko jedyne dzie-dziny, w których może się realizować, ale w ogóle jedyne bodźce, jakie dostaje. Nie ma kiedy poczuć strachu, złości czy fru-stracji, więc patrzy na świat jak na przed-stawienie w teatrze. I nagle po 25 latach okazuje się, że może ją spotkać coś faktycz-nie nieprzyjemnego, czyli deklasacja. Choć tak realnie grozi jej najwyżej to, że bę-dzie musiała wyjść za starego bogacza. Al-bo poczekać na spadek po jednej czy dru-giej ciotce.

Jak w serialu „Sukcesja” – wydaje się, że bogacze grają o gigantyczne stawki, a ostatecznie nikomu nie stanie się krzywda.

„Lalka” nie jest opowieścią o buncie przeciwko starym zasadom. Jest na odwrót: to powieść o tym, że świat stoi w miejscu i choćby nie wiem jak nim potrząsać, ostatecznie się nie zmienia.

– Bo „Lalka” jest o świecie, który się nie zmienia. I jak się jest z wyższych sfer, to trzeba się naprawdę bardzo postarać, że-by sobie zrobić krzywdę. Izabela zachowuje się głupio, działa wręcz absurdalnie wbrew swoim interesom, ale czy ostatecz-nie spotyka ją jakaś kara? Kiedy Wokulski z nią zrywa, prawie zaręcza się z marszał-kiem. Kiedy znów przylapują ją na flirto-waniu z pewnym inżynierem, idzie podob-no do klasztoru (choć tak naprawdę dowia-dujemy się jedynie, że „wyjeżdża za grani-cę”), ale za rok, dwa wróci, a że jest piękna i z dobrego domu, to znajdzie kogoś, kto się z nią ożeni. Im starszy, tym szybciej umrze, a Łęcka zyska niezależność. Jak pani Wą-sowska.

W przeciwieństwie do Izabeli faktycznie wyzwolona. I chyba jak na XIX w. progresywna?

– W XIX w. o takich kobietach mówiło się „dwice salonowe”. Wąsowska wygrała los na loterii: wyszła za mężczyznę, który szyb-ko umarł, zostawił jej duży majątek, wol-ność, pozycję społeczną. Nie czuje presji ponownego zamążpójścia. Czy tam sobie na boku sypia ze Starskim czy z kimś in-nym, to nikogo nie obchodzi, byleby nie ro-biła tego zbyt ostentacyjnie.

Wąsowska jest wyemancypowana, choć w specyficzny sposób. Nie chodzi jej o to, by kobiety mogły studiować, tylko by mia-ły wolność seksualną i nie były rozliczane z łamania norm społecznych surowiej niż mężczyźni. Ma do świata cyniczne podejście i można ją za to krytykować, ale można też uznać, że urządziła się w świecie w najlepszy sposób, jaki był dla niej dostępny. Prus zresztą sugeruje, że Wąsowska kiedyś była inna, ale się sparzy-ła w miłości. Więc zmieniła podejście i na dobre jej to wychodzi.

W cyniczną stronę idzie też pani Meliton, swatka, którą oplaca Wokulski.

– Prus mówi wprost, że niektórzy biorą pie-niądze za umożliwienie rozplodu koniom, a ona za ułatwianie stosunków ludziom. Ale wiemy też, że nie zawsze była cyniczna. W młodości była ubogą, pozbawioną sza-

cunku nauczycielką, potem porzuconą ko-chanką, wreszcie znalazła męża, który oka-zał się pijakiem i przemocowcem. Robiła wszystko tak, jak powinna, ale nie spotka-ła jej nagroda.

Taką postacią jest też baronowa Krze-szowska. Ludzie czytający „Lalkę” w li-ceum z reguły zapamiętują ją jako histe-ryczkę, postać śmieszną, dziwną, intry-gantkę prowadzącą osobiste wendety. Ale to też kolejna kobieta, która została przez system skrzywdzona: miała duży posag, więc wyszła za męża za barona, ale ten źle ją traktuje, nie opiekuje się nią, nie zapew-nia jej szacunku społecznego. Krzeszowska spełniła swoją część umowy społecznej, a on się ze swojej nie wywiązuje.

„Lalka” pokazuje kobiety uwikłane w patriarchalny system. Wszystkie jedno, czy łamią zasady czy ich przestrzegają – na końcu przegrywają.

– To ciekawe, że Prus pokazuje niemal wy-łącznie takie bohaterki. W jego powieści udaje się właściwie tylko Wąsowskiej i mo-że jakimś postaciom trzecioplanowym jak prezesowa Zasławska – choć i ona nie mo-gła poślubić ukochanego, bo byłby to me-zalians.

Pani Stawska, anioł domowego ogni-ska z mieszczaństwa, też cierpi, poddając się kolejnym próbom życiowym. Jej mąż, oskarżony o morderstwo, ucieka za grani-cę i przepada, a ona, ni to wdowa, ni roz-wódka, utrzymuje matkę i córkę z lekcji pianina, haftu i angielskiego. Jest jak Mar-ta, tylko ma to szczęście, że odebrała lep-sze wykształcenie i jest w stanie sprzeda-wać swoje umiejętności na korepetycjach. Ale ciągle ma kłopoty finansowe i gdyby nie Wokulski, zapewne podzieliłaby los po-wieściowej Marty.

Nie ma w „Lalce” postaci, która zоста-łaby za przestrzeganie patriarchalnych za-sad nagrodzona. A karane bywają bardzo okrutnie, jak Małgorzata Minclowa. Całe życie ciężko harowała jako kupcowa, kiedy jej mąż umarł, wyszła za męża za swojego subiekta, czyli Wokulskiego, i została uzna-na za oblesną babę, która ślini się do mło-dego chłopca. Wiesz, ile miała lat?

Pięćdziesiąt?

– Czterdzieści dwa. A Wokulski trzydzie-ści osiem. Do tego Rzecki pisze, że w krę-gach kupieckich Minclowa była pięknością i wszyscy się w niej kochali. Czyli tak: Wo-kulski ożenił się ze starszą o kilka lat pię-kną wdową – wcześniej miał z nią romans, więc wiemy, że pociągała go seksualnie – która dała mu pieniądze, sklep i pozy-cję, a i tak gardził z tego powodu nią i sobą. Minclowa umiera w wyjątkowo upokarza-jący sposób: po nieudanej kuracji kosme-tycznej, którą podjęła, by bardziej podobać się mężowi.

Jest jeszcze Marianna, pracownica sek-sualna, którą Wokulski spotyka w koście-le. Przez chwilę wydaje się, że jej się uda. Dostaje od Wokulskiego posag, wychodzi za mężczyznę, który zna jej przeszłość, ale i tak ją kocha. Tylko że mąż szybko stwier-dza, że jednak jej tej przeszłości nie mo-że zapomnieć.

Czyli „Lalka” pokazuje więcej kobiecych perspektyw niż niejedna współczesna powieść, nie mówiąc już o serialu.

– Tak, i myślę, że z tego punktu widzenia jest powieścią feministyczną. Ale Prus równie dobrze opisuje nieszczęśli-wych mężczyzn.

Wokulski całą powieść się miota, bo – co paradoksalnie łączy go z Izabelą – żyje w świecie złudzeń. Owszem, nie może so-bie pozwolić na takie odklejenie od świata materialnego, bo musi ogarniać prowadze-nie biznesów. Ale poza tym? Spotyka ko-bietę i do razu projektuje na nią swoje wy-obrażenia, dopisuje jej historię, charakter, nakłada na nią swoje oczekiwania. Oczywi-ście nic im o tym nie mówi, a kiedy się oka-zuje, że te kobiety zachowują się inaczej, niż sobie wyobrażał, jest oburzony: czemu te kobiety są takie fałszywe?!

Tak jest z Izabelą. Wokulski próbuje ją zdobyć za pomocą pieniędzy i manipulacji, ale jednocześnie gardzi jej materializmem i chce, by połączyła ich szczerą miłość. Ale podobnie gardzi kupiectwem, gdy tylko zo-staje kupcem. A kiedy jest już na dobrej drodze, by zostać przyjęty do arystokracji, zaczyna gardzić i nią.

Tomasz Schuchardt, który w serialu zagra Wokulskiego, mówi o nim: „romantyk, ale też mężczyzna uwięzio-ny w patriarchalnych schematach”.

– To już bliższe prawdy. Czy jest romanty-kiem? Na pewno jest człowiekiem, którym kierują emocje i pragnienia. Wokulski ma mnóstwo pragnień, tylko albo ich do siebie nie dopuszcza, albo nie umie ich zrealizo-wać w sposób satysfakcjonujący.

Czy jest uwięziony w patriarchalnych schematach? Można tak powiedzieć. Wie, że mężczyzna musi mieć pieniądze, że-by zdobyć żonę, zapewnić jej pozycję, opiekować się nią. Trudno powiedzieć, czy świadomie pragnie takiej relacji albo czy w ogóle się nad tym zastanawia. Ra-czej jest to dla niego przezroczyste. Wła-śnie dlatego pojęcie emancypacji nie ma w kontekście „Lalki” większego sensu – ta powieść powstała w ostatnim momencie, kiedy takie narracje nie były w społecznej świadomości obecne.

Mówiłaś, że nie jesteś przeciwna nowym odczytaniom XIX-wiecznych powieści. To co chciałabyś we współcze-snej „Lalce” zobaczyć?

– To, czego nie można było opowiedzieć w poprzednich ekranizacjach. W PRL-u łatwo było nakręcić „Lalkę”, która jest krytyką kapitalizmu i ciemniącego spo-leczeństwa klasowego – ale jako opowieść z czasów słusznego minionych, bo prze-cież nie ma już w Polsce ani kapitalizmu, ani klas społecznych. W świecie, w któ-rym Jeff Bezos może sobie wynająć We-necję, żeby wziąć ślub, to już dawno nie-aktualne.

Przed wszystkim chciałabym zobaczyć opowieść o świecie, który pędzi naprzód, ale nie potrafi się zmienić. Prus w „Lalce” opisuje moment rozwoju ekonomicznego, urbanizacji i wszystkiego tego, co przyniósł wiek pary i elektryczności – a jednocześnie społeczeństwo zastale, rządzone sztywny-mi zasadami. Jednostki, które nie mogą re-alizować swoich pragnień, bo system spo-leczny gra przeciwko nim. Gdziekolwiek się obróć, napotykają ściany.

Mogą pragnąć stać się innym człowie-kiem, mogą pragnąć miłości, związku, uznania, ale żyją w świecie, który jest po-wierzchniowy, zimny, techniczny, zajęty pieniędzem, karierą, kupowaniem sobie przedmiotów i statusu. W którym techno-logia rozwija się niezwykle szybko, ale na-wiązanie relacji z drugim człowiekiem jest bardzo trudne. Myślę, że dla wielu z nas brzmi to znajomo. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

dr Alicja Urbanik-Kopeć

• adiunktka w Instytucie Historii Nauki PAN. Zajmuje się historią kultury XIX w. Autorka książek: „Anioł w domu, mrówka w fabryce” (o robotnicach fabrycznych), „Instrukcja nadużycia” (o służących domowych), „Chodzić i uśmiechać się wolno każdemu” (o pracownikach seksualnych) i „Matrymonium” (o XIX-wiecznym rynku matrymonialnym). Laureatka Nagrody Klio za wybitny wkład w badania historyczne. Finalistka Nagrody Historycznej „Polityki”.

Katarzyna Tubylewicz

Skąd wziął się sukces Knausgård? Zadie Smith pisała, że potrzebuje jego książek jak narkoman heroiny. „Moja walka” w samej Norwegii sprzedawała się w pół miliona egzemplarzy, a że Norwegia ma 5 milionów mieszkańców, było to tak, jakby w Polsce jakąś powieść rodzimego autora kupiły 4 miliony czytelników. Jednym słowem: szok. Inna rzecz, że w Norwegii naprawdę się czyta.

– W 2024 roku 81 proc. Norwegów przeczytało co najmniej jedną książkę, a połowa społeczeństwa czyta co najmniej jedną książkę na kwartał. W 2023 roku przeciętny norweski czytelnik przeczytał 12,1 książki – podsumowuje dla mnie wyniki badań doktor Maciej Liguziński, mieszkający w Oslo skandynawista, literaturoznawca i badacz bibliotek. – Dzisiejsze 81 proc. czytelnictwa jest jednak uważane za oznakę kryzysu – w 2007 i w 2009 roku było to aż 93 proc. – dodaje z uśmiechem. Fakt, że Carl Ove Knausgård pochodzi z Norwegii, ma wielkie znaczenie dla jego sukcesu, o tym tu jeszcze będzie.

Tuż przed apokalipsą

Dla Björna Wimana, szefa działu kultury dziennika „Dagens Nyheter”, trzy tomy nowego cyklu powieściowego Knausgård – w Polsce ukazuje się właśnie „Trzecie królestwo” w wybitnym przekładzie Iwony Zimnickiej – to najbardziej poruszające „dzieło o byciu człowiekiem u progu nowej epoki”, a „niemal rytualna liturgia codzienności” uprawiana przez autora i skrupulatne odtwarzanie banalnych szczegółów egzystencji mają wymiar etyczny.

To wezwanie do uważności na świat tuż przed apokalipsą. W nowych książkach czai się gdzieś w podtekście poczucie zmierzania do katastrofy, ale przede wszystkim czuć freudowskie das Unheimliche – poczucie niesamowitości, jest tam napięcie rodem z horroru, elementy fantasy i realizmu magicznego. To typ lektury, od której nie można się oderwać, chociaż jest wymagająca. I opowiada o wszystkim, co najważniejsze: życiu, śmierci i zagadce naszego istnienia.

Karl Ove Knausgård pisze pięć godzinny dziennie przez pięć dni w tygodniu. Po trzy strony. „Gwiazdę poranną”, pierwszą część nowego cyklu – docelowo ma mieć sześć to mów jak konfesyjna „Moja walka”, którą podbił świat – pisał szybciej.

Powstała w cztery miesiące, a kiedy poszła do składu, okazało się, że ma dokładnie 666 stron. Liczba 666 to apokaliptyczna liczba bestii utożsamiana z Szatanem, a tytułowa gwiazda poranna, niewytłumaczalne zjawisko na niebie, jest nie tylko nawiązaniem do biblijnej jutrzienki, symbolu Chrystusa. Gwiazdą poranną bywa też nazywany Lucyfer. Sprytny chwyt marketingowy czy magia tworzenia?

Po norwesku i szwedzku „Trzecie królestwo” zwie się „Det tredje riket”, czyli „Trzecia rzesza”, „Moja walka” to z kolei „Min kamp”, ten sam tytuł jaki nosiło w tych krajach „Mein Kampf” Hitlera. Dlaczego tak? Twierdzi, że to świetnie brzmiące tytuły i chciał zmienić ich negatywne konotacje. Naprawdę?

Zawsze w zamszowej marynarce jak Adam Michnik

Pisze, słuchając muzyki, kiedyś rockowej i black metal, którym się zafascynował, gdy w latach 90. studiował w Bergen w Norwegii, gdzie ciągle padał deszcz. Swoją drogą, świetnie wychodzi mu opisywanie deszczu i chmur. Najnowszą książkę napisał przy dźwiękach muzyki poważnej, słuchał zwłaszcza fińskiego kompozytora Sibeliusa.

Jest przystojny, z wiekiem nawet bardziej, po norwesku wyższy od ludzi wokół, wyrzista twarz, kilkunastoletni zarost i burzliwe włosy zamiast upokarzającej łysi-



Współcześni giganci norweskiej literatury: Jon Fosse, Roy Jacobsen czy Per Petterson, są po części dziećmi litteraturpolikk realizowanej konsekwentnie od 1965 roku.

I cóż, że z Norwegii

ny. Aura rockendrollowa, ale w niebieskich oczach miga nieśmiałość. Dużo pali.

Z Adamem Michnikiem łączy go upodobanie do chodzenia zawsze w tej samej zamszowej marynarce w kolorze brudnego brązu. Wywiadów dla szwedzkiej telewizji – a było ich na przestrzeni lat wiele – udziela tylko w niej.

Trzecia żona i szóstka dzieci

Szwecja bardzo się nim interesuje i bardzo chciałaby go mieć dla siebie, a wkurzała go niemiłosiernie, o czym wielokrotnie pisał w „Mojej walce”. Przez wiele lat mieszkał w Österlen, szwedzkiej Prowansji, razem z córką i żoną Szwedką.

Linda Boström Knausgård cierpiała na depresję i chorobę dwubiegunową. Pisze o tym bez ogródek w szóstym tomie „Mojej walki”, czym wzbudził w niektórych wątpliwości, czy nie przekroczył jakiejś granicy. W temacie bezwzględnej, obnażającej to, co najbardziej wstydlive, szczerości to jechanie po bandzie stanowi jego specjalność. Norweska rodzina do dziś z nim nie rozmawia po tym, jak w „Moje walce” wywalił na wierzch wszelkie brudy, z alkoholizmem i przemocowością ojca na czele.

Dziś mieszka w Londynie z trzecią żoną, brytyjską wydawczynią, i szóstką dzieci. Przed południem jest pisarzem, potem oddaje się życiu rodzinnemu i innym sprawom.

Kiedy pracował nad „Moją walką”, pisał od czwartej rano, potem robił dzieciom śniadanie, zmieniał pieluchy i woził do przedszkola. Dziś najstarsze dziecko ma lat osiemnaście, jest dwoje szesnastolatków, dwoje czternastolatków, ośmiolatek i trzylatek.

Zanim wstanie od komputera, trzy strony pisarskiej dniówki wysyła do swojego re-

daktora i wydawcy w Oslo Geira Gullikse-na. Codziennie. Mówi, że czyni go to najbardziej uprzywilejowanym pisarzem świata.

„Dostaję odpowiedź każdego rana i czytuję te komentarze, zanim zacznę pisać. (...) Ważne jest dla mnie poczucie, że ktoś mnie czyta. Geir redagował wszystkie moje książki. Jeśli gdzieś utknę, dzwonię do niego, żeby to przegadać, i znajduję rozwiązanie” – opowiedział w wywiadzie dla szwedzkiego „Dagens Nyheter”.

Szwedzi, ograniczeni cyklopi

Szwedzi interesują się nim bardzo, bo mieszkał w Szwecji przez kilkanaście lat i to tu napisał swoją najśłynniejszą książkę, nie szczędząc przy tym krytyczno-immigranckich uwag na temat przesadnej politycznej poprawności i innych szwedzkich obsesji.

W roku 2015 naprawdę wściekł się na ten niby taki zsekularyzowany, a przecież protestancki w duchu naród wiecznych moralizatorów, gdy znana szwedzka krytyczka uczepiła się jego pierwszej powieści, w której nauczyciel ma romans z uczennicą. Że to promocja pederfilii.

Opublikował wtedy esej o Szwecji i Szwedach: „jednookich, ograniczonych cyklopach”, który do dziś odbija się Szwedom czkawką, ale dobrze tłumaczy jego stosunek do literatury, która ma być przestrzenią absolutnej wolności: „Cyklopi nie potrafią poradzić sobie z ambiwalencją. Nie rozumieją tego, co nie jest ani złe, ani dobre, nie rozumieją – a to ich wkurza. Dlatego nie lubią literatury. Twierdzą, że kochają książki, ale literatura, którą cenią, to tylko ta, która zgadza się z ich obrazem dobra i zła – a to nie jest literatura, tylko coś, co ją przypomina. Literatura w swojej

istocie jest ambiwalentna, ale cyklopi tego nie rozumieją”.

Jest legendą, zasiada na najbardziej prestiżowych scenach i dostał tak zwanego małego Nobla – nagrodę Akademii Szwedzkiej w wysokości 400 tys. koron, ale nie wyżył się nieśmiałości.

„Podczas kolacji z ludźmi, których nie znam dobrze, nie odzywam się. I czuję się jak idiota. Zawsze taki byłem. Potem mogę siedzieć na scenie i mówić bez końca, ale to niczego nie zmienia, przynajmniej dla mnie” – mówi w jednym z wywiadów.

Jest też bardzo krytyczny względem siebie. To przez to po dwóch docenionych, ale niezbyt głośnych i raczej średnich książkach, w których czytelował każde zdanie, dopadł go pisarski blok. Trwał kilka lat. Żeby go przełamać, mając 39 lat, obniżył próg własnych oczekiwań, zaczął pisać codziennie, akceptować wszystko, co się z niego wylewało w tekst, nie wyrzucać i pisać głównie o sobie.

Im głębiej sięgał w to, co prywatne i wstydlive, tym bardziej okazywało się to uniwersalne i bliskie czytelnikom na całym świecie. W całej swojej przegadanej niedoskonałości lub proustowskiej perfekcji – jak jest, o tym można dyskutować.

„To rodzaj method writing – tłumaczy w „Dagens Nyheter”. – Musisz zapomnieć o kontroli i po prostu pisać. (...) Jeśli potem książka działa, to zmienia tego, kto ją czyta, nie zależy to od płci czy orientacji seksualnej bohaterów ani od tego, w jakiej żyją epoce. W »Mojej walce« pisałem o tym, co bardzo osobiste i moje, a potem się okazało, że ludzie mają wrażenie, że piszę o nich. Czyli wszyscy jesteśmy do siebie



FOT. THOMAS KARLSSON/DN / IT NEWS AGENCY VIA AFP

• **Norweski pisarz Karl Ove Knausgård obecnie mieszka z rodziną w Londynie**

bardzo podobni. W jakimś miejscu w duszy czy jak to zwać”.

Norweski pisarz dużo zarabia

W pisaniu wspiera go nie tylko wydawca. Zwłaszcza na początku wspierało go, i to mocno, tak jak i innych rodzimych pisarzy, norweskie państwo. Norweskie stypendia dla autorów nie mają sobie równych.

– Myślę, że sukces każdego pisarza wynika zawsze i przede wszystkim z jego talentu. Po karierze Knausgård widać, że już jego debiutancka książka zyskała uznanie krytyków, o czym świadczą nagrody. Spojrzałbym jednak na Knausgård przy całej jego wyjątkowości jako na dziecko większego systemu, który stworzył dobre warunki do rozwoju tego talentu – rozumianego bardziej jako rzemiosło, a nie dar od Boga – mówi Maciej Liguziński.

I podkreśla, że także inni współcześni giganci norweskiej literatury: Jon Fosse, Roy Jacobsen czy Per Petterson, są po części dziećmi norweskiej litteraturpolikk realizowanej konsekwentnie i nieprzerwanie od 1965 roku.

Wszyscy zdobyli uznanie, popularność i towarzyszący im sukces finansowy dopiero przy kolejnej książce, u Fossego trwało to naprawdę długo.



My mamy ironię i poczucie, że wszystko byśmy zrobili lepiej i głębiej, tylko jakoś nie możemy

– Norweskie programy zakupów bibliotecznych wraz z programami stypendialnymi sprawiają, że norwescy pisarze mają większą swobodę nie tylko eksperymentowania, rozwijania warsztatu, eksplorowania tematów, ale też stopniowego budowania swojej pozycji i rozpoznawalności – tłumaczy. – Pisanie książek jest traktowane jako zawód, który wymaga wsparcia i ochrony państwa.

Kiedy Fosse dostał Nobla, w szwedzkiej prasie pojawił się duży artykuł, w którym 12 norweskich pisarzy odpowiedziało na pytanie: jak wytłumaczyć fenomen światowych sukcesów literatury tak małego kraju? Sukcesów licznych i spektakularnych, przypomnijmy tu takie nazwiska jak: Maj-Lunde, Jo Nesbø, Linn Ullmann czy Vigdis Hjorth.

I – uwaga – wszyscy Norwegowie mówili o tym, że w ogóle nie byłiby pisarzami bez norweskich stypendiów literackich. Słowami Niny Lykke: „Norwegia to wspaniały kraj dla pisarzy. Mamy zarówno wolność słowa, jak i bardzo hojny system wsparcia, a także organizację – Norla – która zajmuje się tylko i wyłącznie promowaniem norweskiej literatury za granicą. Norweski sukces literacki ostatnich dziesięciu lat może mieć z tym coś wspólnego”.

Norwescy pisarze dostają stypendia wieloletnie, i to nie są sumy symboliczne na parę miesięcy obmurowane sztywną biurokracją jak w przypadku stypendiów polskich – w Polsce Ministerstwo Kultury nie przyznaje np. stypendiów na pisanie książek, na które autor ma już umowę.

Poza tym państwo wspiera co roku całą branżę wydawniczą 200 milionami norweskich koron przeznaczonymi na zakupy biblioteczne. Liguziński tłumaczy, że program zarządzany jest przez Norweską Radę Kultury – państwowy, acz niezależny od polityków organ, który co roku rozdysponowuje około miliarda koron dla twórców kultury.

– Idea programu zakupów bibliotecznych jest prosta: wydawcy zgłaszają do Rady Kultury nowo wydane książki, a ich jakość jest oceniana przez niezależne komisje eksperckie złożone z pisarzy, krytyków, badaczy literatury i bibliotekarzy.

Jeśli komisja uznaje, że tytuł spełnia kryteria jakości i powinien się znaleźć w norweskich bibliotekach, podejmuje się decyzję o zakupie. Wydawca wystawia fakturę dla Rady za zakup około 600 egzemplarzy danego tytułu, które są potem rozprowadzane do wszystkich bibliotek publicznych w kraju. Program zapewnia stabilność finansową wydawcom, wzbogaca biblioteki, ale nie zapomina też o pisarzach – podkreśla.

Jak pisze „Dagens Nyheter”, od 2024 roku norwescy autorzy prozy otrzymają z tytułu zakupu ich książek gwarantowany dochód w wysokości 97 tys. koron norweskich za książkę (poeci 87,5 tys. koron za tomik poezji) – kwoty, o których wielu szwedzkich kolegów może tylko marzyć, a które w Polsce są w ogóle nie do pomyślenia.

System zakupów to jeden z kilku filarów norweskiego systemu wsparcia literatury, ale nie jedyny. W kraju obowiązuje też od lat ustawa o stałej cenie książki, a na program PRL – wynagrodzenia dla pisarzy za wypożyczenia biblioteczne ich książek – przeznaczają się 162 miliony koron rocznie, czyli około 57,7 miliona polskich złotych.

Czytając „Moją walkę”, czułem wstyd autora

Powtórzmy może, że mówimy o kraju liczącym 5 milionów obywateli, a w Polsce, w której mieszka 38 milionów osób, właśnie podniesiono budżet na PRL do „zawrotnej” sumy 10 milionów złotych.

Warto się nad tym pastwić, bo akurat Norwegia podobnie jak Polska jest krajem o dość dramatycznej historii, który w zasadzie od niedawna jest w pełni niezależny i wolny. Norweskie programy literackie powstały z przekonania, że języka norweskiego trzeba bronić, bo to język jest gwarantem przetrwania narodu w czasach ciężkich, a zagraża mu dziś wiele, między innymi dominacja angielskiego.

W tym kontekście Polska, gdzie młodzież młotkowana jest w szkole lżawymi opowieściami o tym, jak to bez naszej wielkiej literatury i miłości do języka nic by z nas nie zostało po zaborach i wojnach, jawi się jako kraj, który po odzyskaniu niepodległości i zbudowaniu jako takiej demokracji postanowił się systemowo pozbyć literatury. Zwłaszcza dobrej. Zwłaszcza takiej, którą chciałby czytać świat.

A świat chce czytać Norwęgów z wielu różnych powodów. Na pewno jest tu dużo świetnych psychologicznych powieści, rzetelnego realizmu, pisarz norweski nie zastanawia się nieustannie, jak to jest być Norwegiem, za to ma wiele do powiedzenia o tym, jak to jest być człowiekiem.

Często uwodzi też wyjątkowością krajo-brazu. Knausgård też. Paweł Kaźmierczak – literaturoznawca i tłumacz, który bada literaturę Północy – twierdzi, że Norwegia, jej dzika przyroda i odmienność wzbudzają ciekawość i zachwyt i to przyciąga czytelników:

– Wiele osób chce tam pojechać, a z nim to robią, sięgają po książki norweskich autorów, by znaleźć w nich jakieś odbicie świata, o którym marzą. – mówi. – Norwegowie mają świadomość unikalności miejsc, z których pochodzą. Jako inspirację wykorzystują często doświadczenia oddalonych od centrów lokalnych społeczności, poczucia odrębności, samotności, niezrozumienia, zagubienia jednostki, które są przecież uniwersalne.

Co zachwyca Kaźmierczaka u Knausgård?

– Bezkompromisowa szczerość przekazu, wrażenie intymności kontaktu. Czytając „Moją walkę”, często czułem wstyd i zażenowanie autora. Jego opowieść przypominała mi o własnych doświadczeniach, ale była w tym też jakaś czułość i wyrozumiałość. Każdy z nas chciałby o czymś zapomnieć, a Knausgård mówi otwarcie o rzeczach trudnych, dzieląc się swoimi doświadczeniami, skraca dystans, tak jakby kumpel mówił do nas o swoim życiu tu i teraz.

Knausgård jest mistrzem pokazywania nagiętej prawdy o tym, co głęboko w nas. Nowy cykl powieściowy zbudowany jest trochę jak słynny film Roberta Altmanna „Na skróty”. To wielogłos, kalejdoskop wielu prywatnych, intymnych historii, wchodzimy w doświadczenia wielu bohaterów, jesteśmy nimi, bo narracja prowadzona jest zawsze w pierwszej osobie.

Razem z bohaterami stajemy nadzy w samym środku naszych wewnętrznych sprzeczności, wahań, lęków, pragnień i zmęczenia samymi sobą. W tym sensie to idealna kontynuacja „Mojej walki”, w której Knausgård pisał, jak niemęsko się czuje, pchając wózek z dzieckiem, i jak jednocześnie nie pragnie niczego innego, niż pchać ten wózek i zmieniać pieluchy, bo jest mężczyzną swojego pokolenia, który chce być ojcem obecnym i zaangażowanym.

W nowych powieściach mierzy wysoko i próbuje rozgrzyźć tajemnicę istnienia, ale podkreśla jednocześnie, że jego najważniejszym tematem jest zawsze pytanie o tożsamość. „Co nas tworzy, co sprawia, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, myślimy to, co myślimy, czujemy, jak czujemy, robimy to, co robimy?” – pisał w jednym z esejów w szwedzkiej prasie.

Knausgård. Drań, któremu wszystko się udaje

Knausgård opowiada dużo i rozwlekłe o funkcjach opiekuńczych – od szczegółowych opisów monotonii, cudu i koszmaru zajmowania się dziećmi po temat opieki nad osobami starszymi. Piszę intuicyjnie, prosto z ciała, a w najnowszym cyklu odwraca się plecami do patriarchalnego kultu tego, co racjonalne i poparte naukowym dowodem. W pewnym sensie to Knausgård jest współczesną dobrą czarownicą opowiadającą nam świat, ponieważ gdyby kobieta zapisała kilkaset stron swoimi przemyśleniami na temat opieki nad dziećmi, została by całkowicie zlekceważona.

Czy można mu tego zazdrościć. O tak! Czy to niesprawiedliwe? Jak cholera!

Można mu też zazdrościć gigantycznego sukcesu, ten wątek pojawia się często w szwedzkiej prasie, w której koledzy po piórze, na przykład Bengt Ohlsson – pisarz dobry, ale poza Szwecją zupełnie nieznany – piszą, jak nie znosi tego drania, któremu wszystko się udaje, a jednak nie mogą nie przyznać, że „Gwiazda poranna” to książka genialna.

Poza tym nie sposób go nie polubić, zwłaszcza gdy się posłucha uważnie prowadzonych z nim wywiadów. Ten niepewny uśmiech. Te ciekawe rozmówcy oczy. Ta pasja tworzenia. I facet jest po prostu mądry.

Tak czy owak, przypadek Knausgård dowodzi, że pisarzy, którzy stają się wielcy za życia, łączy na ogół to, że ich sukces współtworzy wiele różnych czynników. Knausgård pochodzi z wyjątkowo wspierającego kraju, ma wyjątkowego wydawcę, a do tego jeszcze reprezentuje go najsukeczniejszy agent literacki świata zapewniający swoim autorom i pieniądze, i sławę – Amerykanin Andrew Wylie zwany „Szakalem”.

Pod jego skrzydłami byli: Joseph Brodsky, Orhan Pamuk, Bob Dylan i Czesław Miłosz. Dziś reprezentuje między innymi: Chiamandę Ngozi Adichie, Sally Rooney i Rachel Cusk.

To Wylie załatwił dla Knausgård w 2015 roku miejsce na dziesięć stron esaju w prestiżowym „The New York Times”. Knausgård w swoim stylu napisał siedemdziesiąt stron i gazeta je opublikowała. Czy pomogło to podbić amerykański rynek? O tak.

Czy Knausgård jest przereklamowany?

Przyznam, że kiedyś sądziłam, że tak. Teraz powiem tylko – bierzcie i czytajcie wszyscy jego najnowsze powieści. Są wybitne. Nie przejmujcie się, że Kinga Dunin napisała:

„Niestety Knausgård ma skłonności do filozofowania i często są to banały. Ale pocziwe i nieszkodliwe. Książkę i tak świetnie mi się czytało, bo ten katastroficzny sznyt i bizarne wydarzenia sprawiają, że jest bardziej popowa niż dotychczasowa twórczość i pomimo wszystkich typowych dla autora chwytów naprawdę trzyma w napięciu do ostatniej strony”.

To po prostu tak jest. My mamy ironię i poczucie, że wszystko byśmy zrobili lepiej i głębiej, tylko jakoś nie możemy. A Norwegowie – oraz kawał świata – wielbią bezkrytycznie Knausgård a może także dlatego staje się on coraz większy, a wraz z nimi wielu innych norweskich pisarzy.

Pochodzi z miejsca, w którym można się literaturą zachwycać, w którym nie tropi się nerwowo banału, tylko zanurza w czytanie, w którym pisze się jeszcze długie i wnikliwe recenzje.

Skąd się więc wziął sukces Knausgård? No ewidentnie także stąd, że nie jest pisarzem polskim. Ostatnie zdania napisałam wzorem Knausgård intuicyjnie, bezkrytycznie i do dźwięków „The Temest Suite No. 1” Jeana Sibeliusa. ●



FOT. DAREK LEWANDOWSKI

Katarzyna Tubylewicz

• Pisarka, kulturoznawczyni, dziennikarka i tłumaczka. Prowadzi podcast Morze możliwości. Mieszka w Sztokholmie

Karl Ove Knausgård „Trzecie Królestwo”
tłum. Iwona Zimnicka
Wydawnictwo Literackie. Premiera książki 6 sierpnia br.





Niestabilny świat 2025

CHWIEJE SIĘ
NASZA
DEMOKRACJAPodobieństwo między Trumpem i Putinem?
Obaj wykorzystują dezinformację,
a potem stają się ofiarami własnych fake newsówZ ZUZANĄ ČAPUTOVĄ,
BYŁĄ PREZYDENT SŁOWACJI
(W LATACH 2019-24),
ROZMAWIA ADAM MICHNIK

FOT. VLADIMIR SIMICEK / AFP

ADAM MICHNIK: Publiczna rozmowa z panią to dla mnie wyróżnienie. Nasi południowi sąsiedzi mieli więcej szczęścia do prezydentów niż my. Słowacy mieli panią prezydent, Czesi - Havla, a my...

Spędziła pani niedawno semestr na wykładach na Uniwersytecie Stanforda w USA i mogła pani poczuć atmosferę ruchomej historii, jaka tam dziś panuje. Jestem przekonany, że to, co robi prezydent Trump, wpisuje się w uniwersalne procesy społeczne i polityczne: w dążenie od demokracji do systemu autorytarnego.

Moi rosyjscy koledzy 15 lat temu mówili mi, że Rosja weszła na drogę powolnej ewolucji od autorytaryzmu do totalitaryzmu, ale to było jednak do przewidzenia - choć dla mnie to była osobista porażka, bo zawsze wierzyłem w inną Rosję, która dzisiaj przegrała. Ale zupełnie nie mogłem przewidzieć, że na czele Ameryki stanie polityk mówiący do świata językiem, w którym jest trochę z Breżniewa, trochę z Putina, a trochę z Mussoliniego.

Jaki jest pani obraz tego gwałtownie zmieniającego się świata, raz w lepszą, a raz w gorszą stronę?

ZUZANA ČAPUTOVÁ: W trakcie stażu akademickiego na Uniwersytecie Stanforda po zakończeniu sprawowania mandatu prezydenckiego [co nastąpiło 15 czerwca 2024 r.] oprócz wykładów i dyskusji mogłam skupić się także na bliższej analizie tego, co dzieje się dzisiaj z demokracjami na całym świecie, również w regionie środkowoeuropejskim. Uświadomiłam tam sobie wiele ważnych dla mnie faktów, co umożliwiło mi lepsze zrozumienie rozwoju wydarzeń w ostatnich latach. Chodzi o globalny upadek demokracji, który zaczął się około 2006 r. To zjawisko ma swoje przyczyny, jest więc w znacznym stopniu zrozumiałe, wręcz logiczne, chociaż nie jest przyjemne.

Światowa erozja demokracji zaczęła się stosunkowo niedługo po upadku komunizmu w 1989 r. Słowacja i kraje naszego regionu w ostatnich 36 latach starały się budować demokrację i jej instytucje, ale zarazem przez większość tego czasu mierzyły się i mierzą z odwrotnym trendem globalnym, erozją demokracji właśnie. To jest jak pływanie w basenie, ale pod prąd.

W USA również trwa regres demokracji, a jego kulminacją był ponowny wybór Donalda Trumpa. W pierwszych miesiącach jego prezydentury mają tam miejsce zjawiska, które rodzą, mówiąc dyplomatycznie, wielkie obawy. Burzą standardowe postrzeganie demokracji i tego, jak powinna funkcjonować, choćby trójpodziału władzy. Mam na myśli kwestionowanie przez Trumpa niektórych orzeczeń sądów, ingerowanie w wolność akademicką itd. Obserwujemy to bardzo uważnie i ze zdumieniem.

Ale myślę, że duże zaskoczenie czy wręcz szok przeżywają również liczni Amerykanie. Kiedy byłam na Uniwersytecie Stanforda, to po wyborach prezydenckich w USA często słyszałam zdanie, które rok wcześniej powtarzano po wyborach parlamentarnych w Słowacji, gdy do władzy wrócił Robert Fico. Miało ono brzmieć uspokajająco: „To tylko retoryka wybranego lidera, a rzeczywistość będzie inna”. I to się sprawdziło, rzeczywistość jest inna, ale jeszcze gorsza, niż zakładano.

Myślę, że wszyscy wciąż uważnie śledzimy to, co się dzieje w Ameryce, bo to ważny test dla standardów demokratycznych i tego, jak postrzegaliśmy je przez ostatnie dziesięciolecia.

Wszystko, co pani prezydent mówiła, to był miód na moje serce i bardzo bym chciał, żeby kiedyś polski prezydent zdobył się na tyle odwagi i roszumu, żeby powiedzieć mniej więcej to, co pani przed chwilą. W Polsce wielokrotnie się zasta-

nawialiśmy, jak to możliwe, że Polacy, którzy tak zaciekle przez lata całe dopominali się wolności, nagle oddali władzę na dwie kadencje ludziom, którzy w ogóle nie przejmowali się konstytucją, swobodami obywatelskimi.

Kiedy myślę o Słowacji, to bardzo interesuje mnie fenomen: jak Słowacy dopuścili do władzy Vladimíra Mečiaru i jak potrafiliby oswobodzić swój kraj od jego władzy?

- O dojściu do władzy Mečiaru w latach 90., niedługo po upadku komunizmu, na pewno więcej opowiedzieliby panu ludzie, którzy doświadczyli jego działań na własnej skórze i którzy tworzyli ruch Społeczeństwa przeciw Przemocy. Mečiar był znany z tendencji autokratycznych i z jego rządami wiązały się liczne afery, jak choćby porwanie syna prezydenta Michala Kováča, nadużywanie służb specjalnych i wiele innych, których części do dziś nie wyjaśniono.

Sytuacja polityczna naszego kraju w pierwszej połowie lat 90. była również przyczyną, dla której Słowacja nie została przyjęta do Unii Europejskiej ani nie stała się członkiem NATO razem z pozostałymi krajami wyszehradzkiej czwórki. Mówiono o nas, że jesteśmy czarną dziurą Europy, co było dość surowym określeniem, ale z drugiej strony takie nadstawienie lustra podziało mobilizująco na słowackie społeczeństwo.

Ja w tych latach kończyłam studia prawnicze i zaczynałam praktykę. Widziałam wielką mobilizację społeczną: nie tylko demokratycznych sił politycznych, ale też społeczeństwa obywatelskiego. Myślałam, że to właśnie ciężki okres meczaryzmu zbudował w Słowacji silne obywatelskie społeczeństwo. Być może nawet silniejsze niż w pozostałych krajach postkomunistycznych. Na każdym rozdrożu demokracji odgrywało ważną rolę. Myślę, że było tak właśnie dzięki trudnym, testującym demokrację latom meczaryzmu.

To jest również częściowa odpowiedź na to, w jaki sposób potrafiłszy sobie poradzić z meczaryzmem. Były to z jednej strony jasne sygnały z zagranicy - z Europy czy z USA – w sprawie naszych zapóźnień integracyjnych, a z drugiej silne dążenie demokratycznych sił politycznych i dojrzewanie społeczeństwa obywatelskiego w Słowacji.

●
Mnie się wydaje, że rola społeczeństwa obywatelskiego także w Polsce była bardzo ważna dla powstania koalicji, która odsunęła od rządów PiS. Jednocześnie polaryzacja w Polsce ukształtowała dwa niechętnie sobie, ostrożnie mówiąc, sposoby postrzegania tego, czym jest projekt na przyszłość dla Polski. Czy ma być demokratyczny, czy - mówiąc kolokwialnie - populistyczny.

Sądzę, że z podobną polaryzacją mamy do czynienia w Słowacji, Serbii czy Niemczech. To nie jest już podział: prawica - lewica, tylko: społeczeństwo otwarte - społeczeństwo zamknięte.

To wcale nie przypadek, że w Polsce nie można być wprost proputinowskim - jeżeli ktoś taki jest, sam siebie skazuje na degradację - ale u nas język tego populizmu to jest język antyukraiński i - co istotne - antyeuropejski.

Jak pani widzi w Słowacji tę polaryzację? Przecież w parlamencie przewaga obozu Fico w koalicji ze skrajną prawicą jest niewielka, więc koalicja antypopulistyczna też może przybrać taki sam kształt jak w Polsce i doprowadzić do zwycięstwa opozycji.

- Zacznę od Słowacji. Polaryzacja jest oczywiście dużym problemem. Ja nazywam to nawet nie polaryzacją, tylko fragmentaryzacją, bo to jest podział nie na dwa obozy światopoglądowe, tylko na wiele. Choć da się je postrzegać przez pryzmat antagonistycznych postaw, poglądów czy wręcz wartości.

Jednak sama polaryzacja, czyli różnorodność postaw i poglądów, jest dla demokracji naturalna. Demokracja jest przecież otwarta na różnorodność, pluralizm, tę wielość postaw stara się łączyć za pomocą wzajemnego dialogu i niezbędnego szacunku.

Ale tym, co jest chorobą naszych czasów, nie tylko w Słowacji, jest radykalizacja w ramach tej polaryzacji czy fragmentaryzacji. To olbrzymi problem, bo owa radykalizacja uniemożliwia dialog, kasuje szacunek dla odmiennych poglądów, gra na negatywnych emocjach: nienawiści, strachu przed nieznanym, przed oponentem itp.

Dla Słowacji, kraju, który ma 5,5 mln obywateli, jest to oczywiście duży problem, bo każda fragmentaryzacja i radykalizacja osłabia każde społeczeństwo. To tak, jakby został zaatakowany system odpornościowy. Żyjemy w epoce kryzysów, a zarządzanie kryzysami w społeczeństwie, które jest osłabione przez brak spójności, jest znacznie trudniejsze.

W Słowacji zostały przeprowadzone liczne badania, które potwierdzają nie tylko obecność w społeczeństwie nienawiści, ale także wysoki stopień nieufności nie tylko do instytucji, ale też niestety między ludźmi nawzajem.

Kocham swój kraj, byłam dumna z pełnienia funkcji prezydentki Republiki Słowackiej, to był dla mnie zaszczyt życia, że mogłam służyć krajowi. Więc gdy konstatuje opisane tu fakty, mówię z ogromnym żalem, że to zjawisko uniemożliwia nam wykorzystanie potencjału, który mamy w Słowacji, i wręcz szkodzi krajowi.

Ale nie dotyczy to wyłącznie Słowacji. Z tym samym zmagają się wszystkie demokracje zachodnie, łącznie ze wspomnianą Ameryką. Gdy spojrzymy na Austrię - sąsiada Słowacji, czy na Niemcy, Holandię, Francję, na brexit w Wielkiej Brytanii, widać, że to zjawisko globalne, które wiąże się z odwrotem od demokracji czy z jej regresem.

Ta polaryzacja albo fragmentaryzacja społeczeństwa jest logicznym następstwem pewnych zjawisk. Rozpad demokracji albo jej osłabianie i przyczyny, które są z tym łączone, polegają na występowaniu wielu kryzysów, z którymi od lat mamy do czynienia: od kryzysu finansowego w 2008 r., przez kryzys migracyjny w 2015, COVID, kryzys bezpieczeństwa wywołany rosyjską agresją na Ukrainę, rekordową inflację, kryzys energetyczny czy falę migracji - wynik rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wszystkie te kryzysy działają jak katalizator rozkładu albo zagrożenia demokracji.

Dochodzą do tego: globalizacja, pogłębianie się dysproporcji czy przepaści między bogatymi i biednymi, zmiany na rynku pracy związane z nowymi technologiami i oczywiście zmiana środowiska komunikacji, bo wraz z nadejściem nowych technologii mamy do czynienia z zalewem dezinformacji i propagandy w sieciach społecznościowych.

Wspomniałam tylko o niektórych czynnikach, które uznawane są za przyczyny odwrotu od demokracji, ale jednocześnie w logiczny sposób prowadzą do pewnych zjawisk społecznych. Ludzie pod wpływem tych zmian stracili stabilność, mają wrażenie, że świat, który rozumieli, się zmienia, ale nie są w stanie wystarczająco szybko zareagować na tę niestabilność. Wpływ społeczno-ekonomiczny wszystkich tych kryzysów, które wymieniałam, był olbrzymi.

Wielu psychologów - pisał o tym m.in. Erich Fromm - już dawno stwierdziło, że gdy ludzie czują niepewność, pragną porządku, autorytetu, twardej ręki. Również ze względu na ten fakt wielu ludzi we wspomnianych krajach preferuje wybór radykalnych rozwiązań, które obiecują im partie skrajne albo populistyczni politycy. Obiecują szybkie rozwiązanie, wprowadzenie porządku bez względu na to, czy są w stanie te rozwiązania naprawdę zrealizować.

Nie trzeba daleko szukać: wszyscy pamiętamy słowa jednego z liderów światowych, który obiecywał zakończenie wojny w Ukrainie w ciągu 24 godzin, później do inauguracji, później do stu dni - i czekamy na to do dziś. Chodzi o to, że problemy światowe są naprawdę skomplikowane - proste recepty populistów albo ekstremistów po prostu nie działają i oni nie są w stanie ich zrealizować. Ale mimo to ludzie tym obietnicom wierzą.

Nie chcę jednak, żeby nasza uwaga podążała w stronę tego, co inni robią źle, bo jako prezydentka republiki sama byłam częścią kierownictwa państwa, choć ze stosunkowo niewielkimi kompetencjami i bez prerogatyw wykonawczych. Dla mnie więc kluczowe pytanie brzmi: co demokratyczni politycy

Po zwycięstwie Trumpa w ostatnich wyborach często słyszałam zdanie, które wcześniej powtarzano w Słowacji, gdy do władzy wrócił Robert Fico. „Spokojnie, to tylko retoryka lidera, rzeczywistość będzie inna”. I jest inna. Gorsza

mogą zrobić lepiej? Gdzie demokratyczne spektrum zawiodło? Dlaczego pozostawia ono taką przestrzeń populistycznym liderom i radykałom, że w niektórych krajach odnoszą wielkie sukcesy albo zmierzają po sukces?

●
Przywołała pani Fromma. Jego analiza ucieczki od wolności do autorytarnego lidera to jest opowieść najpierw o faszyzmie, a potem o tym autorytaryzmie, który dzisiaj zdobywa dla siebie władzę.

Chciałbym zapytać w tym kontekście: czy w Słowacji istnieje mechanizm nowego odczytywania historii? W Polsce jest, my się spieramy o historię, ale jest to często spór o współczesność. Spieramy się o historię, z której chcemy być dumni, ale nie zawsze możemy, bo tradycja demokratyczna była u nas słaba. Mieliśmy silną tradycję wolnościową, ale nie potrafiłszy się nauczyć, że demokracja to jest wolność w granicach prawa, że ta wolność ma swoje ograniczenia konstytucyjne.

Była taka anegdota: co robi człowiek rosyjski, kiedy dają mu wolność? Może bez przerwy pić wódkę i nie chodzić do pracy. W Polsce nigdy nie było aż tak radykalnie, ale tendencja do lekceważenia konstytucji była silna i teraz radykalizacja, o której pani mówi, jest niebezpieczna dlatego, że po obu stronach - niestety po obu - wytwarza brak możliwości wzajemnego samoograniczania się.

Czy widzi pani w Słowacji proces fałszowania historii? Bo to wyraźnie widać w Budapeszcie, w Polsce po prawej stronie i zaczyna to też być widoczne w Niemczech, np. w relatywizowaniu nazizmu. Mnie zawsze interesowało, jak sobie słowacka świadomość zbiorowa poradzi z fenomenem ks. Jozefa Tiso i jego państwa.

I jeszcze: jak się pani układały relacje z państwem węgierskim? Przecież Węgrzy długo w swej retoryce mówili, że Słowacja to tyle co Górne Węgry?

- W Słowacji jesteśmy częścią tego samego trendu, który można zaobserwować gdzie indziej: partie skrajne manipulują historią, zwłaszcza kiedy chodzi o historię II wojny światowej. Republika Słowacka nie rozliczyła w sposób wystarczający dwóch totalitaryzmów, z którymi się mierzyliśmy: faszyzmu w ramach Państwa Słowackiego i komunizmu.

Relatywizowanie historii to nie tylko teoretyczna debata, ale też olbrzymi problem społeczny, bo wspólna świadomość historyczna każdego narodu jest ważna dla tworzenia jego tożsamości zbiorowej. Myślę, że w tej kwestii Republika Słowacka ma jeszcze przed sobą pewien etap rozliczenia i jednoznacznego przepracowania swojej historii.

Tiso jako prezydent Państwa Słowackiego deportował do obozów niemal 60 tys. słowackich Żydów, przy czym jeszcze płacił Hitlerowi za każdego Żyda wywiezionego z kraju. To ktoś, na kim po wojnie został wykonany wyrok śmierci, ale ciągle odzywają się głosy, które relatywizują winę Tiso.

Podobna relatywizacja ma dziś miejsce w kwestii czasów komunizmu, też przez różne kampanie dezinformacyjne, jak wskazują nasze badania socjologiczne. Te kampanie są do tego stopnia skuteczne, że część młodego pokolenia, które nigdy nie doświadczyło czasów komuny - i dziś może podróżować, korzystać z wolności słowa - deklaruje sentyment do tamtej epoki. Wynika to wyłącznie z oddziaływania dezinformacji, a pewnie także rosyjskiej propagandy, która w Słowacji jest bardzo mocna i rozpowszechniona.

Jeśli chodzi o wpływy rosyjskie, to spośród krajów Bukareszteńskiej Dziewiątki na wschodniej flance NATO byliśmy celem numer jeden, bo w Słowacji jest bardzo silny pozytywny sentyment do Rosji, co diametralnie różni się od sytuacji w Polsce - choć dotyczy to tylko części społeczeństwa. Więc ten typ manipulacji czy wykorzystywania historii w celu osiągnięcia politycznych celów jest obecny również w Słowacji.

Myślę jednak, że nie tylko u nas. W wielu krajach, o których już wspominaliśmy, jak Niemcy czy Austria, to standardowy wzorec radykalnych sił, które relatywizują winę albo odwracają historię, co dotyczy okresu faszyzmu. U nas dotyczy to również czasów komunizmu. To oczywiście bardzo niebezpieczne.

●
Jeśli chodzi o Austrię, przypominam sobie anegdotę, jaką mi opowiedział niemiecki polityk Hans-Dietrich Genscher: największym osiągnięciem dyplomacji austriackiej po II wojnie było wytłumaczenie całemu światu, że Hitler był Niemcem, a Beethoven - Austriakiem.

Ale wróćmy jeszcze do natury tego kryzysu, który pani łączy - i to jest dla mnie ciekawe - z kryzysem finansowym. Pamiętam, jak rozmawiałem z prezydentem Niemiec Weizsäckerem i on mi powiedział: „Pamiętaj, Adam, największe zagrożenie dla demokracji w Europie nazywa się Berlusconi. Berlusconi i berlusconizm to gnicie demokracji od wewnątrz. Niby są wszystkie demokratyczne dekoracje, ale to już nie działa”.

Czy z pani perspektywy to, co się stało na Węgrzech, w państwie Orbána, to rezultat jakiegoś berlusconizmu?

- Relacje z Węgrami to dla nas ważny temat w zasadzie od roku 1989. Już drugą kadencję mniejszość węgierska nie ma swojej reprezentacji w parlamencie słowackim w postaci partii politycznej. To wiel-

ka szkoda, bo węgierskie partie były zawsze częścią dobrej historii w ramach procesu demokratyzacji w Słowacji, częścią dobrych decyzji, które posuwały Słowację do przodu.

Zarazem mniejszość węgierska jest najliczniejszą mniejszością narodową w Słowacji i mam wrażenie, że całe spektrum rządów, które mieliśmy od listopada 1989 r., nie poświęcało tej mniejszości i południu Słowacji, gdzie ona mieszka, wystarczającej uwagi. W tej sferze Republika Słowacka ma stosunkowo duży dług.

Tę pustą przestrzeń, jeśli chodzi o infrastrukturę, zabytki czy mniejszość w ogóle, w dużym stopniu wypełnia w ostatnich latach rząd węgierski za pomocą różnych projektów i zachęt finansowych, oczywiście tym samym budując swój wpływ polityczny. Karta węgierska była w pewnym okresie po 1989 r. nadużywana. W Słowacji mieliśmy siły narodowe, które formułowały bardzo radykalne deklaracje wobec mniejszości węgierskiej.

Teraz, przy obecnym rządzie [Fico], mamy pewien renesans relacji z Węgrami, chociaż opiera się to na wspólnym profilu w sferze światopoglądu i wartości, takim samym sposobie postrzegania demokracji i podejściem politycznym do niektórych ważnych instytucji demokratycznych. Występuje pewna zgodność i symbioza między Orbánem i Fico. Wiadzimy, że w Słowacji są powtarzane kroki, które Orbán testował na Węgrzech. Chodzi o podejście do mediów, organizacji pozarządowych itp. czy polityki zagranicznej i stosunku do Unii.

A jednocześnie nie da się przeoczyć niektórych symboli, kroków, sygnałów ze strony węgierskich władz. Niedawno głośnym echem odbił się u nas fakt, że telewizja publiczna na Węgrzech na koniec emisji programu nadaje hymn węgierski, ilustrując go nie tylko ujęciami z Węgier, ale również zdjęciami Bratysławy i Zamku Bratysławskiego.

To dziwne sygnały, które w przeszłości skłoniłyby słowacki rząd co najmniej do dociekliwych pytań. Dzisiaj tym faktom nie poświęca się uwagi. Do tego w ramach wspólnoty europejskiej powstała silna więź między rządem słowackim i węgierskim, zarówno w kwestii rosyjskiej agresji na Ukrainę, jak i Unii.

Na ile to sprawa wpływu Berlusconiego czy jego metod, tego nie podejmę się oceniać, ale w każdym razie na Uniwersytecie Stanforda węgierskie podejście do zarządzania sprawami publicznymi, do zmian ustawodawstwa, ze zmianami konstytucji włącznie, opisywane jest jako konkretny wzorzec zachowania, który osłabia demokrację.

Kiedy byłam prezydentką, temat mniejszości węgierskiej był dla mnie bardzo ważny, bo wszystkie mniejszości zasługują na zwiększoną uwagę. Odbylałam wiele podróży na południe Słowacji i niektóre historyczne tematy otwierałam jako pierwsza słowacka głowa państwa. Włącznie z tym, że przeprosiłam za kroki Republiki Słowackiej tych ludzi, którzy przeżyli deportacje ze Słowacji do Czech i do Niemiec.

Węgry to nasz sąsiad, musimy mieć z nim konstruktywne relacje, ale jednocześnie starałam się prowadzić autonomiczną politykę, bo jestem wierna zasadom liberalnej demokracji i wszystkich wartości, które się z nią wiążą.

Kiedy słucham pani rozważań na temat demokracji i mniejszości, czuję się tak, jakbym słyszał mojego przyjaciela, nieżyjącego już Jacka Kuronia. To jest ten sam sposób myślenia, wartościowania i przekonanie, że to od nas zależy, czy mniejszości w naszym kraju będą wzbogacały naszą kulturę, czy też doprowadzimy do tego, żeby unicestwić wartości przez nie tworzone.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Nelly Sachs*

TWÓJ BAGAŻ UCHODŹCY MASZ JUŻ

*po drugiej stronie –
granica jest otwarta
lecz przedtem
oni wyrzucą wszystkie twoje „w domu”
jak gwiazdy przez okno
nie powracaj już nigdy
zamieszkać w niezamieszkałym
i umieraj –*



*Nelly Sachs - 1891-1970, niemiecka poetka i dramatopisarka pochodzenia żydowskiego, od 1940 r. na emigracji w Szwecji. Jej twórczość pokazuje m.in. martyrologię Żydów w czasach III Rzeszy, odzwierciedla też osobisty dramat pisarki, szukającej drogi do zrozumienia sensu życia w mistyce żydowskiej i chrześcijańskiej. W 1966 r. otrzymała literacką Nagrodę Nobla.

Wiersz za: Nelly Sachs, „Rozżarzone zagadki / Glühende Rätsel”, wybór i przekład Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2006.

To jest też spór o przyszłość Polski, o to, czym jest polskość. Czy opowiadamy się za polskością różnorodną, tolerancyjną dla mniejszości w poczuciu, że one wzbogacają naszą demokrację i naszą kulturę, czy też uważamy, że są dla niej zagrożeniem. To, co robi Orbán, jest zagrożeniem dla kultury węgierskiej.

Czy Grupa Wyszehradzka jest jeszcze do uratowania i co należy zrobić, jeśli uważamy, że Wyszehrad ma sens?

- Współpraca w ramach wyszehradzkiej czwórki, V4, nie jest czymś statycznym. W dużym stopniu zależy od tego, kto reprezentuje jej kraje i jaki stopień zrozumienia na poziomie wartości panuje między liderami politycznymi w danym czasie. Sama doświadczyłam różnych wersji owej czwórki i wiem, że wraz ze zmianą głów państw zmieniała się jej dynamika.

Jednak jeśli pochylimy się nad DNA Grupy Wyszehradzkiej, to ten klub został powołany po to, żeby ułatwić integrację jego państw ze strukturami europejskimi, wzmacniając tym samym jedność Unii. Myślę, że o tym DNA nie powinniśmy nigdy zapominać.

Dzisiaj w państwach V4 słyszymy głosy kwestionujące jedność czy współpracę w ramach Unii albo wręcz członkostwo w Unii. To jest przeciwne pierwotnym zamysłom. W Grupie Wyszehradzkiej chodzi



*Część młodego pokolenia,
które nigdy nie doświadczyło
czasów komuny, dziś może
podróżować, korzystać
z wolności słowa, co wtedy nie
było możliwe. I ci sami młodzi
ludzie deklarują sentyment
do tamtej epoki*

jednak również o sąsiedztwo krajów, które mają wspólną część historii, o stosunki kulturowe, międzyludzkie, handlowe, i ten wymiar na pewno warto nadal podtrzymywać i rozwijać. Bo cokolwiek by się działo na poziomie politycznym, to geografia jest niezmienna: politycy się zmieniają, ale my nadal będziemy sąsiadami o podobnej historii i kulturze. Warto o tym pamiętać.

Kiedy mówimy o demokracji i o relacjach między krajami, czy to w ramach Wyszehradu, Unii czy na skalę globalną, to dzięki pięcioletniemu doświadczeniu prezydenckiemu mocno uświadomiłam sobie, jak ważny jest człowiek i jego cechy na stanowisku politycznym. Jak wiele zależy

od tego, czy człowiek jakoś nad sobą pracuje, na ile jest dojrzały, do jakiego stopnia uświadamia sobie własne słabości i co z nimi robi, na ile jest zdolny do autorefleksji, czy potrafi kontrolować swoje ego. Kiedy dysponuje się władzą publiczną, wszystkie te indywidualne cechy i dążenie do bycia jak najlepszym człowiekiem na tak odpowiedzialnym stanowisku definiują jakość lidera i relacje, jakie tworzy w ramach przestrzeni globalnej.

Pytanie nieoczywiste: jakie książki słowackich autorów, pani ulubione, poleciałaby pani polskiemu czytelnikowi, żeby mógł się czegoś dowiedzieć o Słowacji i Słowakach? Bo przecież nie wiemy jeszcze bardzo wielu rzeczy.

- Muszę wspomnieć o Martinie M. Šimečce, który napisał wiele świetnych książek. Duże wrażenie zrobiła też na mnie ostatnio książka antropologa społecznego Jura Já Buzalki „Postsedliaci” (Postchłopi). Polecam również książkę Pavla Kosatíka, wprawdzie czeskiego autora, ale o historii Słowacji, „Slovenské století” (Słowackie stulecie).

Chciałbym jeszcze wrócić do dyżurnego tematu Polaków, do Rosji. Mam takie poczucie, że wielka wojna Putina zaczęła się od ataków na Rosję, na rosyjską demokrację. Zanim zaatakował Gruzję, a później Ukrainę, zniszczył wszystkie instytucje rosyjskiej demokracji: niezależne media, niezależne sądy, uczciwy biznes, społeczeństwo obywatelskie. Wszystko to zostało zrujnowane.

Wydaje mi się, że Putin i Trump mają wspólną cechę: polityka zagraniczna to dla nich funkcja polityki wewnętrznej. Trumpowi głównie po to są potrzebne deklaracje, że zajmie Grenlandię, że Kanada będzie nowym stanem amerykańskim i inne tego typu mądrości, żeby zniszczyć społeczeństwo obywatelskie w USA. To, co robi Trump, to putinizacja Ameryki. On chciałby stworzyć państwo putinowskie.

W tym sensie tak jak zbliżył się reżim Fico do reżimu Orbána - mimo tradycyjnie złych stosunków - tak zbliżył się reżim Putina do reżimu Trumpa. Bo Trump w gruncie rzeczy chciałby mieć taką władzę nad Stanami, jak Putin ma nad Rosją. Choć będzie z tym pewnie kłopot, bo to są trochę inne społeczeństwa.

Wydaje mi się charakterystyczne, że Putin potrzebuje wojny z Ukrainą nie po to, żeby mieć Donbas, tylko po to, żeby mieć Rosję. Żeby utrzymać Rosję w żelaznym uścisku, rządzić za pomocą strachu i korupcji.

Czasem mam wrażenie, że dzieje się coś irracjonalnego, ale przecież w latach

30. były dwie oczywistości w Europie: wrogiem numer jeden dla nazizmu jest bolszewizm, a wrogiem numer jeden dla bolszewizmu jest nazizm. I oto w 1939 r., ku zaskoczeniu całego świata, nazizm z bolszewizmem podały sobie ręce, oczywiście powodując katastrofę naszego regionu, państw bałtyckich i również Polski.

Czy ten dosyć pesymistyczny wywód ma ręce i nogi, czy też są to majaczenia chorego polskiego patrioty?

- Dla mnie to ma sens. Podobieństwo między Trumpem i Putinem? Myślę, że fałszywe z innych dziedzin wskazałoby jeszcze więcej ich wspólnych cech. Ja mam wrażenie, że kolejnym zjawiskiem, które łączy tych dwóch liderów - a także innych, którzy wykorzystują dezinformację - jest to, że stopniowo sami stają się ofiarami fałszywych newsów, przestają rozróżniać granice prawdy i fikcji, ulegają własnym dezinformacjom albo tym szerzonym przez innych. To, co się dzieje obecnie w związku z Ukrainą i dojściem do władzy Trumpa, wzbudza olbrzymie obawy z punktu widzenia tego, jaki pokój miałby tam zostać osiągnięty.

A ponieważ jestem na terytorium Polski, nie mogę nie wspomnieć o jednej ważnej kwestii. Kiedy pełniłam urząd, w 2022 r. rozpoczęła się pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę. Mówiliśmy już o tym, że w naszych krajach mamy mnóstwo różnorodnych problemów, ale możemy być dumni, zwłaszcza Polska, z tego, w jaki sposób zareagowaliśmy na tę rosyjską agresję.

Pamiętam pierwsze godziny, kiedy się o tym dowiedzieliśmy. Na nadzwyczajnym szczycie NATO w Warszawie, gdzie reprezentowałam Słowację, reakcja państw wschodniej flanki Sojuszu była jasna, jednoznaczna i odważna. W czasie, gdy w krajach Europy Zachodniej bano się, debatowano o tym, że do Ukrainy będą wysyłać tylko helmy i pomoc humanitarną, Słowacja była pierwszym krajem, który przekazał swój system obrony przeciwrakietowej, a Polska olbrzymią pomoc wojskową i humanitarną oraz wsparcie transportu sprzętu wojskowego.

To są sytuacje, w których jako młode demokracje zdaliśmy egzamin dojrzałości. W porównaniu z krajami, które za pomocą biznesu usiłowały ułożyć się z Rosją, my nie popadliśmy w tę naiwność ze względu na silne doświadczenie sowieckiej okupacji naszego terytorium.

Naprawdę wierzę, że historia zapamięta stopień odwagi, solidarności i wsparcia, jaki wiele krajów wschodniej flanki NATO, zwłaszcza Polska, wykazało w stosunku do Ukrainy.

Chciałbym się przyłączyć i powiedzieć, że rzadko mi się zdarza mówić publicznie coś pozytywnego o polskim rządzie - nie tylko dlatego, że często on mi się nie podoba, ale też dlatego, że jeśli mi się nawet podoba, to nie należy go rozpieszczać. Ale tutaj jestem w pełni solidarny z tym, co mówi pani prezydent - w momencie pełnoskalowej agresji putinowskiej Rosji na Ukrainę polski rząd i polskie społeczeństwo zachowały się wzorowo.

A drugi mój powód do dumy jest taki, że w wyborach parlamentarnych w 2023 r. odsunęliśmy od władzy partię Kaczyńskiego, która w gruncie rzeczy rozsiewała zarazę trucizny antyeuropejskiej, żeby rozbić europejską solidarność. Bo miejsce Polski jest w Europie, podobnie jak Słowacji i Republiki Czeskiej.

Powiem więcej: miejsce Ukrainy też jest w Europie i tylko należy jej życzyć, żeby sąsiadowała z Rosją bez Putina. Jestem przekonany, że w interesie naszych krajów jest budowanie silnej opcji proeuropejskiej. ●

przeł. Michał Wirchniarski

Rozmowa została przeprowadzona w Cieszynie podczas 27. festiwalu Kino na Granicy i 8. spotkania Literatura na Granicy (30 kwietnia - 4 maja 2025).

Stefan Amsterdamski, 1929-2005

Nad wszystkim czuwał i nadawał bieg

Usunięty z uczelni po marcu 1968 r., internowany w stanie wojennym. Niezależny obywatel. I ciepły opiekun

Andrzej Rychard

Już 20 lat nie ma z nami Stefana Amsterdamskiego [zmarł 19 lipca 2005 r.]. Był prawdziwą postacią polskiej humanistyki, jakich już coraz mniej. I prawdziwym, niezależnym obywatelem. A także wspaniałym organizatorem nauki.

Wybitny filozof nauki, nieustannie stawiający pytanie o to, czy zawsze istnieje tertium non datur, czyli tylko albo prawda, albo fałsz. Czy jest tu możliwość jakiejś syntezy? Jego dorobek naukowy wyznacza także koncepcja ideałów nauki, wzorców budujących cele racjonalnego poznania badawczego.

Nie tylko sam tworzył, ale też jako wybitny tłumacz przybliżał polskiemu czytelnikowi ważne dzieła światowej humanistyki i nauk społecznych. To wśród wielu prace Karla Poppera, Thomasa Kuhna, a wreszcie tak ważne dla nauk społecznych dzieła jak „Kulturowe sprzeczności kapitalizmu” Daniela Bella czy „Stanowienie społeczeństwa” Anthony’ego Giddensa.

Praca tłumacza fundamentalnych dzieł naukowych jest sama fundamentalnie ważna, a przecież tak żmudna, a na dodatek tłumacz zawsze jakoś pozostaje w cieniu autora. Ale bez tego cienia o tyle mniej szans poznania dzieł wybitnych miałby polski czytelnik.

Stefan Amsterdamski, niezależny obywatel. Związany z Uniwersytetem Łódzkim, usunięty stamtąd po marcu 1968 r., jeden z założycieli niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych [w 1978 r.], internowany na blisko rok po wprowadzeniu stanu wojennego, działający w podziemnym Spo-

lęcznym Komitecie Nauki „Solidarność”, uczestnik obrad Okrągłego Stołu po stronie opozycyjnej. Po przełomie ustrojowym współtworzy Komitet Badań Naukowych, pierwowzór nowoczesnych form finansowania nauki.

W 1991 r. rozpoczyna pracę w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, którym wówczas zaczynałem kierować. Wtedy poznałem Stefana osobiście. Zaczyna, z inicjatywy mego zastępcy Józefa Niżnika, w roku 1992 tworzenie Szkoły Nauk Społecznych w Instytucie.

Wspieraliśmy go z całych sił, a sukces na początku był mocno niepewny. To miała być (i stała się) całkowicie nowa forma kształcenia doktorantów w PAN, odmienna od tradycyjnej formuły „studium doktoranckiego”. Zachowując to, co najlepsze, czyli rolę indywidualnej opieki mentora nad doktorantem, Szkoła wprowadzała kształcenie zgodne z ustrukturyzowanym programem, w którym współistniały zajęcia obowiązkowe i fakultatywne.

Od początku też miała charakter międzynarodowy. No i prawdziwie interdyscyplinarny, łącząc humanistykę i nauki społeczne. A przede wszystkim miała umożliwiać doktorantom poznanie dokonani wybitnych postaci humanistyki i nauk społecznych.

Nie ma już wśród nas takich osób związanych ze Szkołą jak np.: Barbara Skarga, Jerzy Jedlicki, Maria Janion czy Edmund Mokrzycki. A oni też współtworzyli jej fundamenty. Szkoła łączyła badaczy nie tylko z PAN, ale i z uniwersytetów, przełamując istniejące wówczas (a i dziś) bariery. Nad wszystkim czuwał Stefan i nadawał kierunek. A czynił to, kierując Szkołą, przez 12 lat.

Nie było łatwo na początku. Poza wolą dyrekcji, zaangażowaniem Stefana i samym pomysłem nie było nic. Instytut dał pierwsze pomieszczenia, wsparł finansowo początki, ale istotnych fundu-



FOT. GRZEGORZ PRESS/POLITYKA/REPORTER

**Kiedy już
kandydat stawał
się doktorantem,
mógł liczyć na
swoiste poczucie
bezpieczeństwa
i opiekę Stefana.
Był ciepłym
i opiekuńczym
mentorem**

szy nie było. A Stefan mówił: „Do tego, jak zbierać pieniądze, się nie nadaję”.

Na szczęście mylił się bardzo. Szkoła, co do zasady niepobierająca żadnego czesnego, a przeciwnie - oferująca stypendia, dzięki Stefanowi Amsterdamskiemu uzyskała wieloletnie wsparcie z Open Society Foundation, a także z innych ważnych fundacji europejskich. I stała się ważnym ośrodkiem kształcenia na poziomie doktorskim nie tylko w Polsce, ale i w całym naszym

regionie, co szczęśliwie do dziś kontynuuje. Stanowi jeden z fundamentów Instytutu, uzupełniając profil badawczy przez silny element edukacyjny.

Formalnie powstała w wyniku najprostszego mechanizmu, jakim było zarządzenie dyrektora, do dziś na nim się opiera. Ale początki formalnie nie były proste. Nie mieliśmy jak zmieścić aktywności Szkoły w sprawozdaniach do PAN, bo nie było odpowiedniej rubryki. A w biurokracji wiadomo - bez rubryki nie istniejesz.

Kiedy dziś „szkoły doktorskie” są zasadniczą strukturą kształcącą doktorantów w całej Polsce, widzimy, jak długą drogę przeszliśmy od początku lat 90. I w tej drodze, dzięki uporowi i pracy Stefana Amsterdamskiego, rola Szkoły Nauk Społecznych była pionierska. To zostało docenione na forum międzynarodowym: Szkoła jest dwukrotną laureatką Nagrody im. Hanny Arendt za rolę w reformie edukacji w regionie środkowoeuropejskim.

Zawsze będę pamiętał Stefana z nieodłącznym gauloisesem w kąciku ust, z ironicznymi, lecz zwykle ciepłymi komentarza-

mi. I pamiętam go z egzaminów rekrutacyjnych do naszej Szkoły (tu już oczywiście bez nieodłącznego papierosa, bez przesady, nawet w rozszalałej demokracji lat 90.). Ale często z nieodłącznym pytaniem do kandydatki/kandydata: „A co by się musiało stać, żeby Pani/Pana hipoteza okazała się nieprawdziwa?”. I bywało, że zdarzały się odpowiedzi typu: „Moja hipoteza nieprawdziwa? To niemożliwe!”. I to był koniec szans kandydatki/kandydata.

Rygoryzm naukowy Stefana był bezkompromisowy. Chcesz prawdy, to sprawdzaj, czy to prawda. Ale kiedy już kandydat stawał się doktorantem, mógł liczyć na swoiste poczucie bezpieczeństwa i opiekę, którą Stefan otaczał grono doktoranckie. Tak dążący do prawdy w nauce był zarazem ciepłym i opiekuńczym mentorem.

Stefan był prawdziwy w każdym sensie tego słowa. I tej prawdy uczył nie tylko doktorantki i doktorantów, ale i nas, swoich współpracowników.

PS Poza swą pamięcią oparłem się tu na wstępie do pracy „Ideały nauki i konflikty wartości. Studia złożone w darze profesorowi Stefanowi Amsterdamskiemu”, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2005. ●

Tytuł tekstu - „Wyborcza”



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

prof. Andrzej Rychard

● Rocznik 1951. Socjolog, wieloletni dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376931

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: W PODRÓŻY. W nieznane miejsca, w głąb siebie, po inspirację, po miłość, do domu. Dlaczego mimo wszystko nie rezygnujemy z podróży?

Co z miłością, gdy pożądanie wygasa?

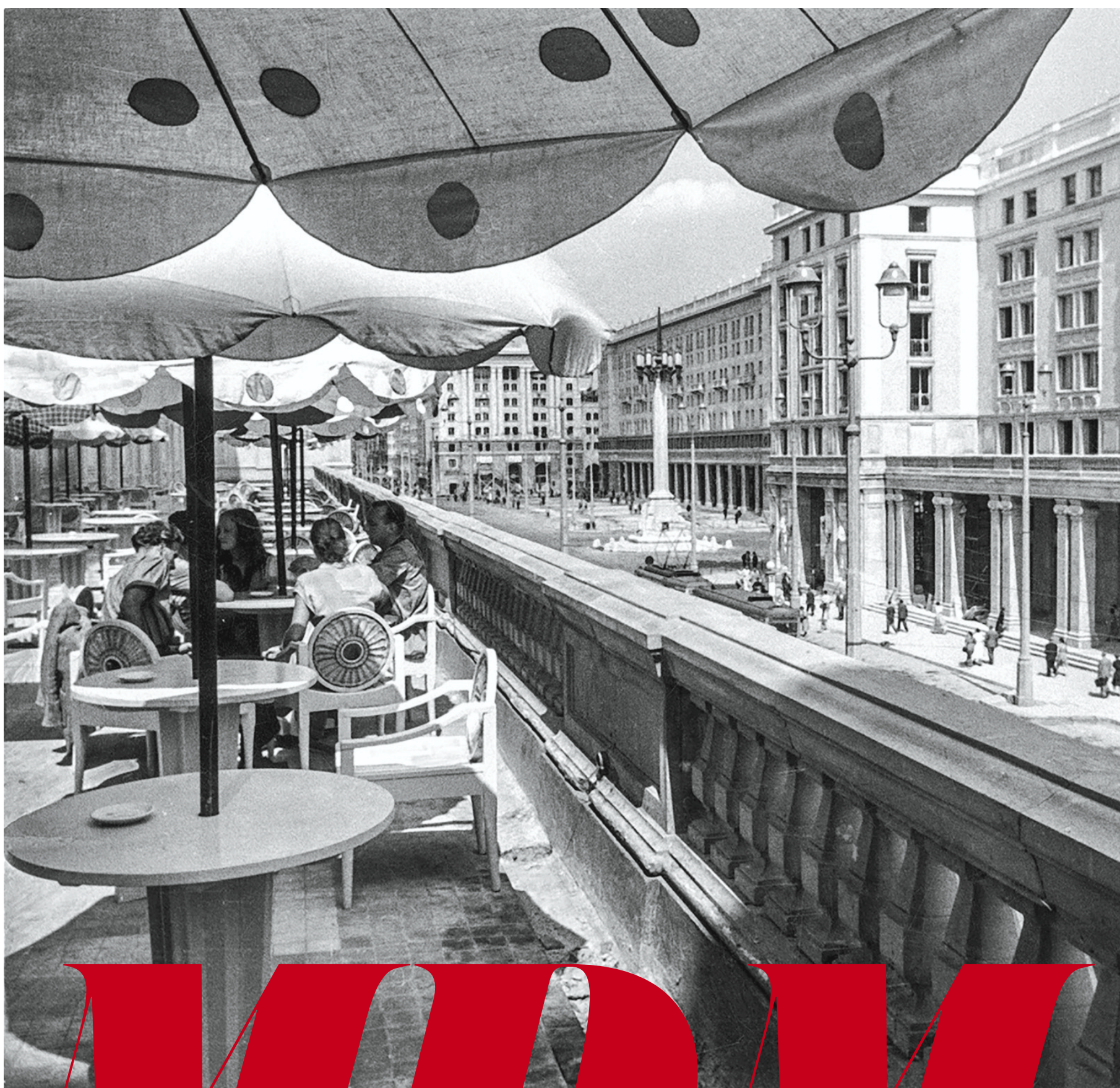
Żyrowanie kredytu to koniec przyjaźni?

Romans w pracy. Co dalej?

wysokieobcasy
extra

W PREZENCIE: MAGAZYN
100 stron łamigłówek umystowych





MDM

BIERUT CIĄGLE SIĘ CZEPIAŁ

Co by dziś powiedzieli projektanci Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej deweloperom?
„Stawiamy wam niedostateczny z urbanistyki”.

Z KRZYSZTOFEM MORDYŃSKIM* ROZMAWIA KRISTYNA ROMANOWSKA

1RP



• **Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, lata 50., widok z kawiarni na tarasie w kierunku placu Konstytucji. Osiedle zbudowane w latach 1950–1952 miało być wzorcowym przykładem socjalistycznego budownictwa**

FOT. MATERIAŁY
FUNDACJI CENTRUM
ARCHITEKTURY

KRYSTYNA ROMANOWSKA: Dlaczego nie ma fontanny na placu Konstytucji?
KRZYSZTOF MORDYŃSKI, AUTOR KSIĄŻKI
„MDM – MARSZAŁKOWSKA DZIELNICA MARZEN”: Umiejscowiona na środku placu fontanna zakłócałaby harmonijny marsz tłumu przechodzącego przed trybuną towarzysza Bolesława Bieruta 22 lipca 1952 roku – w dniu oficjalnego otwarcia Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Architekci chcieli, żeby plac miał element ruchomej wody. Nie jakieś małe oczko. Zaproponowali podłużny basen z tryskającymi słupami wody. Ale władze nie mogły dopuścić do tego, aby pochód musiał zwalniać czy okrążyć fontannę. Dlatego zaprojektowana – podobno wykonano już nawet podziemne instalacje – dokładnie w miejscu dzisiejszego parkingu, nigdy nie powstała. A szkoda. Fontanny najwidooczniej przeniosły się potem pod Pałac Kultury.

W ogóle budowa MDM-u była zabawą w kotka i myszkę ze współczesną władzą. Zacznijmy od tego, że trzech z czterech głównych architektów było – co tu kryć – „zapłutymi karłami reakcji”.
– To było niesamowite, że tych czterech ludzi – z tak różnych światów – spotkało się przy jednym projekcie, który miał zmienić serce Warszawy.

Józef Sigalin, późniejszy naczelny architekt miasta, był zdeklarowanym komunistą, walczył w armii Berlinga, wrócił z ZSRR z konkretną misją – odbudować stolicę. We wrześniu 1944 roku, gdy lewobrzeżna Warszawa płonęła, i już wtedy – w środku wojny – opracowywał pierwsze plany odbudowy miasta. Nie układał propagandowych manifestów ani nie

szkicował porywających wizji, ale działał pragmatycznie, podchodził do tego zadaniowo: obliczał, ile będzie trzeba łóżek, chleba i cegieł, kiedy tylko Niemcy zostaną wyparci. W jego notatkach nie było patosu – była chłodna kalkulacja, jak zorganizować życie w ruinach, zanim jeszcze te ruiny przestały dymić. Był świetnie zorganizowany i miał władzę, ale też – co ciekawe – potrafił bronić swoich współpracowników, nawet tych z Armii Krajowej, przed nagonkami służb.

Z kolei Jan Knothe, jego współprojektant, to zupełnie inna historia – oficer z kampanii wrześniowej, który całą wojnę przesiedział w niemieckim ołagiu. Ale to nie była beczczynność – w obozie powstał uniwersytet, on sam szkicował, studiował, uczył się, przygotowywał do przyszłej odbudowy Polski.

Zygmunt Sępiński – najstarszy z nich – już przed wojną był pełnoprawnym architektem. A w czasie okupacji? Działal w AK, walczył w oddziale saperów w powstaniu warszawskim. Po wojnie natychmiast wrócił do pracy – odbudowywał Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, wciągnął się też w projekt Trasy W-Z.

I wreszcie Stanisław Jankowski, pseudonim „Agaton”. To już w ogóle postać jak z filmu – cichociemny, zrzucony do Polski z Anglii, mistrz fałszerstw dokumentów, osobisty adiutant gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Po wojnie znów znalazł się w Wielkiej Brytanii, skończył studia urbanistyczne i wrócił z wiedzą, którą od razu wykorzystał w projektowaniu nowoczesnej Warszawy.

Co ich połączyło?

– Misja. Taka prawdziwa, głęboka, wywiedziona z doświadczeń wojny i przekonania, że Polska – ta nowa – musi mieć godną stolicę. Nawet jeśli mieli różne poglądy polityczne, potrafili razem zaprojektować coś wielkiego. A że musieli się przy tym użerać z Bierutem i grać z władzą w kotka i myszkę? No cóż, taka była cena ich wyboru, nie uciekać, tylko odbudowywać ich miasto.

Wcześniej pracowali razem przy Trasie W-Z, która – mówiąc współcześnie – doczekała się wtedy zasłużonego hype'u.

– Trasa W-Z to prawdziwy majstersztyk powojennej urbanistyki – zamiast jak w Rotterdamie, przecinać miasto brutalną estakadą, wtopiła się w zabytkową tkankę Warszawy z ogromnym wyczuciem. Dzięki tunelowi pod placem Zamkowym i zachowaniu osi widokowych połączyła nowoczesność z historią, nie niszcząc tego, co ocalało. Była symbolem tego, że można budować odważnie i funkcjonalnie, ale z szacunkiem dla miasta. I reszta zachowała tę chwałę do dzisiaj.

Na czym polegała ta zabawa w kotka i myszkę z komunistyczną władzą? Jak architekci wymykali się ideologii?

– Świadomi, że muszą projektować zgodnie z socrealistyczną doktryną, cały czas próbowali przemycić swoje idee – zdrowe, funkcjonalne, modernistyczne. Dla nich to było oczywiste, że mieszkanie musi być przewiewne, doświetlone, wygodne – po prostu dobre do życia. Widzieli wszystko – w kolorach, we wszystkich odcieniach życia. Od rozkładu mieszkań, przez sklepy na parterze, po całą infrastrukturę osiedla. Wymykali się ideologii komunistycznej, wykorzystując jej propagandowe hasła, że wszystko jest dla dobra ludu. Znajdowali szczeliny w tej doktrynie, aby planować z sensem: projektując służbówki, które były pokojami dla samotnych krewnych, a nie dla służby; planując mieszkania z dobrym rozkładem i widokiem na zieleni; chowając nowoczesność za socrealistyczną fasadą. A władza? Władza patrzyła czarno-biało.

Dla Bieruta budynek to była tylko makieta – coś, co dobrze wygląda jako to dla uroczystości i na zdjęciach. Nie interesowało go, jak się w tym naprawdę mieszka. Żądał, aby stawiać bloki wzdłuż Marszałkowskiej, szpaler strojnych fasad, podobnie jak to w tych samych latach zrobiono w Berlinie, na Karl-Marx-Allee. Niemcy planowali tam modernistyczne osiedla, ale kiedy wszedł socrealizm, to zamiast różnorodnej zabudowy powstał długi ciąg bloków, którymi obudowano Karl-Marx-Allee, taki monumentalny korytarz. I dokładnie o to samo chodziło Bierutowi. My tego uniknęliśmy właśnie dzięki tej czwórze architektów.

Oni nie mogli powiedzieć wprost: „nie”, ale kombinowali, przedstawiali argumenty, pokazywali korzyści. I tą okreśną drogą udało im się przeforsować coś więcej – nie tylko „parawan” przy ulicy, ale prawdziwy fragment miasta. Jak mówiła Barbara Brukalska, pierwsza profesor architektury w Polsce – projektując budynek, trzeba pomyśleć o wszystkim: o dojeździe do śmietnika, dojeździe do trzepaka, o tym, że ktoś z meblami przyjedzie i one muszą zmieścić się na klatce

i w drzwiach do mieszkania... A na końcu te drzwi muszą być tak szerokie, żeby trumna wyszła. Bo dom to nie jest fasada – to miejsce na całe życie. I na jego koniec też – wtedy ludzie najczęściej umierali jeszcze w domach, w otoczeniu rodziny.

W jaki sposób towarzysz Bierut „się czepiał”?

– Bierut często stosował charakterystyczną formułę, by nie mówić wprost „nie” – zamiast tego używał zdania: „Sekretariat KC PZPR w zasadzie zatwierdza plan, ale jego wykonanie odkłada się do późniejszej, osobnej decyzji”. To była jego klasyczna metoda odlewiania – urzędowa prokrastynacja, elegancki sposób na zablokowanie pomysłu bez otwartego sprzeciwu. Podważał sens tworzenia rozbudowanych osiedli z dziedzińcami i usługami, nie chciał wyburzania starych kamienic – wołał, żeby budowano „na pustych miejscach”, czyli w przypadkowych wyrwach w zabudowie.

Mogę zrozumieć jego sentyment do przedwojennych kamienic...

– Stare, przedwojenne kamienice burzono nie tylko dlatego, że były zniszczone na skutek wojny – ale przede wszystkim dlatego, że symbolizowały wszystko, co architekturę uznawali za złe i szkodliwe w mieszkaniowej historii Warszawy. My możemy dzisiaj patrzeć na nie z sentymentem. Wtedy nie były zabytkami, miały po 30 lat. Były ciasne, ciemne, z podwórkami-studniami bez dostępu do światła i powietrza, z wilgocią, pleśnią i fatalną wentylacją – czyli idealnym środowiskiem dla wielu chorób, a zwłaszcza gruźlicy, która była wtedy prawdziwą plagą.

Architekci, zgodnie z duchem Karty Ateńskiej [w 1933 roku w stolicy Gracji Międzynarodowy Kongres Architektury Nowoczesnej ustalił zasady nowoczesnego projektowania], chcieli budować zdrowe, nowoczesne miasto, gdzie mieszkania miały przewiew, światło słoneczne, które „zabija zarazki” i zieleń – dlatego tamte budynki trzeba było usunąć, żeby stworzyć przestrzeń do życia, a nie przetrwania. Podobnie było z tymi słynnymi „służbówkami”, które de facto nimi nie były. Te słynne „pół pokoju” w mieszkaniach MDM-u – nie powstały z myślą o służbie w sensie przedwojennego systemu klasowego, ale z potrzeby elastycznego projektowania dla powojennego społeczeństwa. Architekci chcieli stworzyć mieszkania, które można było dostosować do różnych sytuacji: niepełnych rodzin, starszych krewnych, samotnych lokatorek. Mały, siedmiometrowy pokój z oknem był czymś w rodzaju rezerwowej przestrzeni – prywatnej, ale niezależnej, niekiedy także dla pomocy domowej. Z drugiej strony, pewnie nikt z partyjnych dygnitarzy, mógł się zachwycić tym rozwiązaniem – od razu „wiedział, co on z tym zrobi”, i zatrudniał gospozię, a służbowka stała się dokładnie tym, czym była przed wojną. Ale pierwotna intencja architektów była zupełnie inna – to nie był pokój dla służącej, tylko dla godnego życia samotnej, przegarniętej osoby w trudnych warunkach powojennej Polski.

Mieszkania na MDM-ie dostawało się – jak pokazała historia – jednak po partyjnym uważaniu.

– Niestety, choć architekci projektowali MDM z myślą o sprawiedliwym i racjonalnym podziale mieszkań, historia szybko pokazała, że rzeczywistość była inna. W teorii istniały systemy przydziału oparte na liczbie osób, potrzebach, normach metrażowych – ale w praktyce o tym, kto dostanie mieszkanie, decydowała przynależność partyjna i układy. Najlepsze mieszkania trafiały do funkcjonariuszy, urzędników i ludzi lojalnych wobec władzy, często kosztem tych, dla których te mieszkania miały być przeznaczone – czyli robotników, samotnych matek czy repatriantów. Architekci mieli idee, ale partia miała klucze.

**Był pan w typowym MDM-owskim mieszkaniu?
Wytrzymał próbę czasu?**

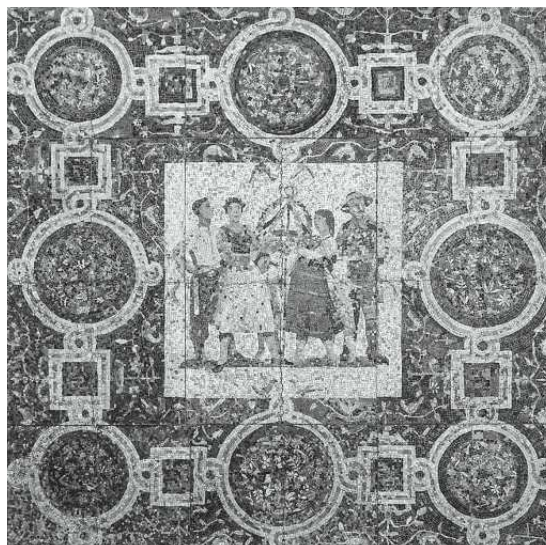
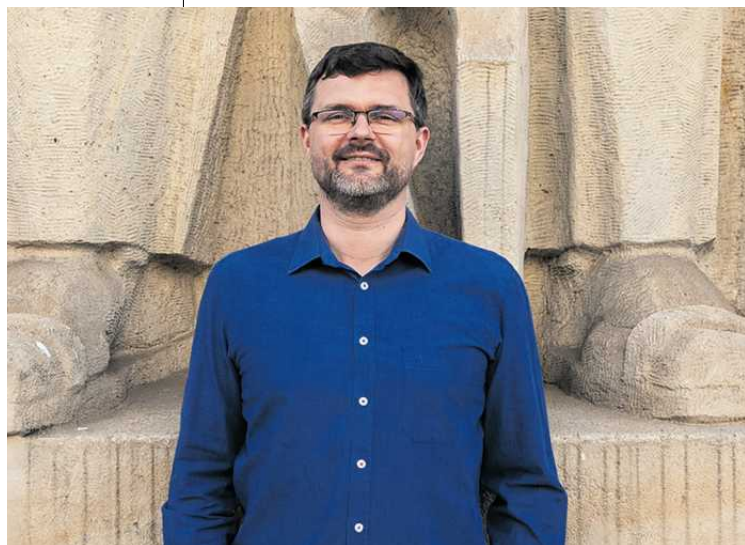
– Co innego widzi się na planach, a co innego ogląda w rzeczywistości. Okazywało się, że aby umieścić metraże w socrealistycznych bryłach, doczepionych do fasad, trzeba było ekwilibrystyki. I de facto w wielu miejscach marnowano przestrzeń na kompletnie nieużyteczne hole, wielkości dobrego pokoju. Natomiast tym, co było rewolucyjne w tych mieszkaniach, była na pewno kuchnia. Była pełnoprawnym, samodzielny-m pomieszczeniem – zazwyczaj z oknem, wentylacją i miejscem do gotowania, zmywania i przechowywania. Ale także do prania, bo nie było jeszcze wtedy pralek. Ubrania się po prostu gotowało. Kuchnia nie była już tylko „kątem do gotowania”, jak w kamienicach z początku XX wieku, ale funkcjonalną częścią mieszkania, zaprojektowaną zgodnie z najnowszą ówczesną wiedzą o ergonomii i zdrowiu. Już w latach

► Sfotografowana od wewnątrz witryna sklepu z kosmetykami i galanterią. Wystawiono na niej pędzle do golenia, kunsztownie wywiązane krawaty oraz kapelusze

FOT. MATERIAŁY
FUNDACJI CENTRUM
ARCHITEKTURY

▲ Jedna z czterech dekoracji sufitowych ukazujących ludzi pracy w kolejnych porach roku

FOT. MATERIAŁY
FUNDACJI CENTRUM
ARCHITEKTURY (2)



▲ Krzysztof Mordyński, autor monografii MDM-u. Za nim fragment płaskorzeźby „Hutnik” autorstwa Jerzego Jarnuszkiewicza

FOT. PETER ŁYCZKOWSKI, FUNDACJA CENTRUM ARCHITEKTURY

► W restauracji w MDM-ie miało być nowoczesnie i luksusowo, można było usiąść przy barze na wysokim stołku, jak na Zachodzie

FOT. MATERIAŁY
FUNDACJI CENTRUM
ARCHITEKTURY



▲ „Murarz” Jerzego Jarnuszkiewicza. Inni wybitny rzeźbiarze wykonali również płaskorzeźby kolejacza, włóknarki, przedszkolanki, matki z dzieckiem, rolnika i górnika

FOT. MATERIAŁY FUNDACJI CENTRUM ARCHITEKTURY

40. i 50. istniały koncepcje kuchni otwartych, modułowych, opartych na analizie ruchów i czynności domowych – to było bardzo nowoczesne myślenie, wyprzedzające nawet późniejszy zachodni design. Architekci wiedzieli, że kuchnia to centrum codziennego życia, i projektowali ją tak, by była jasna, sucha i praktyczna, a nie – jak dawniej – duszna i wilgotna, sprzyjająca chorobom.

Po 1956 roku MDM przestał mieć dobrą prasę. Stał się symbolem niechcianej przeszłości – „zbudowanej dla Bieruta”. Architekci, którzy go zaprojektowali, znaleźli się w trudnej sytuacji. Ich dzieło, choć funkcjonalne i urbanistycznie przemyślane, było teraz politycznie „skażone”.

– To prawda. Co więcej, nie bronili MDM-u otwarcie. Wręcz przeciwnie – zaczęli się od niego dystansować. Józef Sigalin w swoich wspomnieniach poświęcił MDM-owi tylko krótki fragment, skupiając się na technicznych trudnościach, a nie ideowych założeniach. Jan Knothe, Zygmunt Stępiński i Stanisław Jankowski również milczeli lub pisali o tym okresie zdawkowo, jakby chcieli wymazać go ze swoich życiorysów.

Widać, że czuli się skrupowani politycznym ciężarem własnej pracy – mimo że zaprojektowali coś, co działało jako miasto i służyło ludziom. Ich stosunek był pełen wewnętrznego rozdźwięku: z jednej strony dumni z jakości architektury, z drugiej – zmuszeni tłumaczyć się z jej ideologicznej otoczki. Dlatego w swoich wspomnieniach i publicznych wypowiedziach architekci wyraźnie eksponowali Trasę W-Z. A MDM – jeśli w ogóle wspominali – to skrótkowo, z dystansem, często tłumacząc się, że „takie były czasy” i że działali pod naciskiem. Woleli, by zapamiętano ich jako budowniczych nowoczesnej Warszawy, a nie monumentalnych placów do pochodów. Można powiedzieć, że projektowali z misją, ale historia zmusiła ich do milczenia.

A MDM jednak nadal się kręci. Po tylu latach nadal stoi, żyje i działa tak, jak go zaplanowano – nie jako pomnik propagandy, ale jako miejsce do życia.

– Nadal działa, bo tu nic nie jest przypadkowe. Osie widokowe, dominanty, przestrzeń publiczna, usługi w parterach – to wszystko miało sens i cel. I co ważne: miało działać razem. Mieszkanie, sklep, szkoła, kino, przystanek, kawalek zieleni – wszystko w zasięgu paru minut piechotą. Wystarczy przejść za fasady, żeby zobaczyć, że tam się po prostu żyje. W tych dziedzińcach jest zieleni – nie dekoracyjna, tylko prawdziwa, z drzewami, trawnikiem, z miejscem do posiedzenia. Były pomyślane sprytnie, żeby dać oddech, ciszę, dostęp do światła. Trasa Łazienkowska niby blisko, ale na zapleczach jej nie słysząc – bo budynki są ustawione w taki sposób, żeby chronić wnętrza kwartałów. Dzieciaki mogły same dojść do szkoły – bez przechodzenia przez główne ulice. I jeszcze kino – Luna. To nie był osobny obiekt, tylko część układu. Schowane w dziedzińcu, ale łatwo dostępne. Z kawiarnią od strony ulicy, do której także dzisiaj można wejść i napić się kawy bez kupowania biletu do kina.

Kultura była wpleciona w strukturę dzielnicy, a nie przyklejona z zewnątrz. To było miejsce, które miało funkcjonować na co dzień – tak samo jak sklep czy przedszkole. I działa do dziś.

A kultowy neon siatkarki? To był – późniejszy co prawda, bo 1961 roku detal użytkowy, ale wspaniale wpisał się w zaplanowaną strukturę handlową MDM. Nie był pomyślany jako sztuka dla sztuki, tylko reklama nieistniejącego już dzisiaj sklepu sportowego – ale zrobiona z wyczuciem, z ruchem, z proporcją. Forma nadal świetnie wygląda i jest zaskakująco aktualna.

No i płaskorzeźby – wiadomo, ideologia, wiadomo, przesada. Ale też trzeba powiedzieć jasno: robiły to konkretne nazwiska. To byli rzeźbiarze z wykształceniem, z warsztatem. Widać to w detalach – choćby w ręce hutnika z jednej z fasad, przesadnie dużej – symbolu siły. Te rzeźby miały być częścią architektury, nie tylko propagandową doklejką. Nadal mówią o tym, gdzie jesteś, podkreślają charakter miejsca. To wszystko razem – proporcje, rytm, zieleni, usługi, kino, detale – tworzy dzielnicę, która nadal działa. Bo została dobrze pomyślana i uczciwie zrobiona.

Co by powiedziała ta czwórka architektów, patrząc na dzisiejsze nowoczesne osiedla?

– Och, powiedzieliby zapewne: „Stawiamy wam niedostateczny z urbanistyki”.

Oni nie o „taką architektoniczną Polskę walczyli”. Co widzimy dzisiaj, wchodząc do mieszkania na nowym osiedlu? Wielkie okno. A za nimi – okazuje się, dosłownie kilkanaście metrów dalej jest następne wielkie okno – sąsiadów! My widzimy, co oni tam robią, a oni widzą nas.

Dzisiejsze „okno w okno” to manifestacja krótkowzroczności, w której metraż i zysk dominują nad jakością życia. Współcześnie buduje się bardzo źle. Ciasno, gęsto, byle więcej. Osiedla się zamyka, wyłączając je ze wspólnej tkanki miejskiej. Deweloperzy chcą wykorzystać każdy możliwy metr, a to, co kiedyś było oczywistością – przewiew, światło, przestrzeń – dziś jest luksusem. Zieleni jest symboliczna, zredukowana do symbolicznych krzaczków między parkingiem a śmietnikiem i mikroskopijnym placem zabaw dla dzieci z jedną nędzną huśtawką. To już nie są miejsca do życia, tylko do sprzedaży. I właśnie dlatego warto spojrzeć na takie projekty jak MDM, gdzie mimo wszystkiego, mimo ideologii, mimo presji – ktoś jednak myślał o człowieku. ●

► **MDM zaplanowany był jako miejsce życia dla około 40 tysięcy osób. Dzielnica miała łączyć wielkomiejską skalę – szerokie ulice, luksusowe sklepy i restauracje z wygodnym osiedlem**

FOT. MATERIAŁY FUNDACJI CENTRUM ARCHITEKTURY

Dr Krzysztof Mordyński

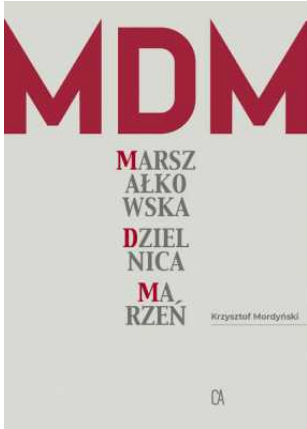
• historyk i historyk sztuki, badacz dziejów architektury i urbanistyki Warszawy, laureat nagrody KLIO 2021, autor książki „Sny o Warszawie. Wizje przebudowy miasta 1945–1952”, współautor „ŚRÓD PD. Ilustrowanego atlasu Śródmieścia Południowego”, pracuje jako kustosz w Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego. Książka „MDM. Marszałkowska dzielnica marzeń” jest pierwszą monografią socrealistycznego fragmentu śródmieścia Warszawy – Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.



◀ **Wnętrze sklepu sportowego przy placu Konstytucji 5. Klientów witało wielkoformatowe zdjęcie szermierzy, pod którym usytuowana była kasa**

FOT. MATERIAŁY
FUNDACJI CENTRUM
ARCHITEKTURY

Projektując budynek, trzeba pomyśleć o wszystkim: o dojeździe do śmietnika, dojściu do trzepaka, o tym, że ktoś z meblami przyjedzie i one muszą zmieścić się na klatce i w drzwiach do mieszkania... A na końcu te drzwi muszą być tak szerokie, żeby trumna wyszła



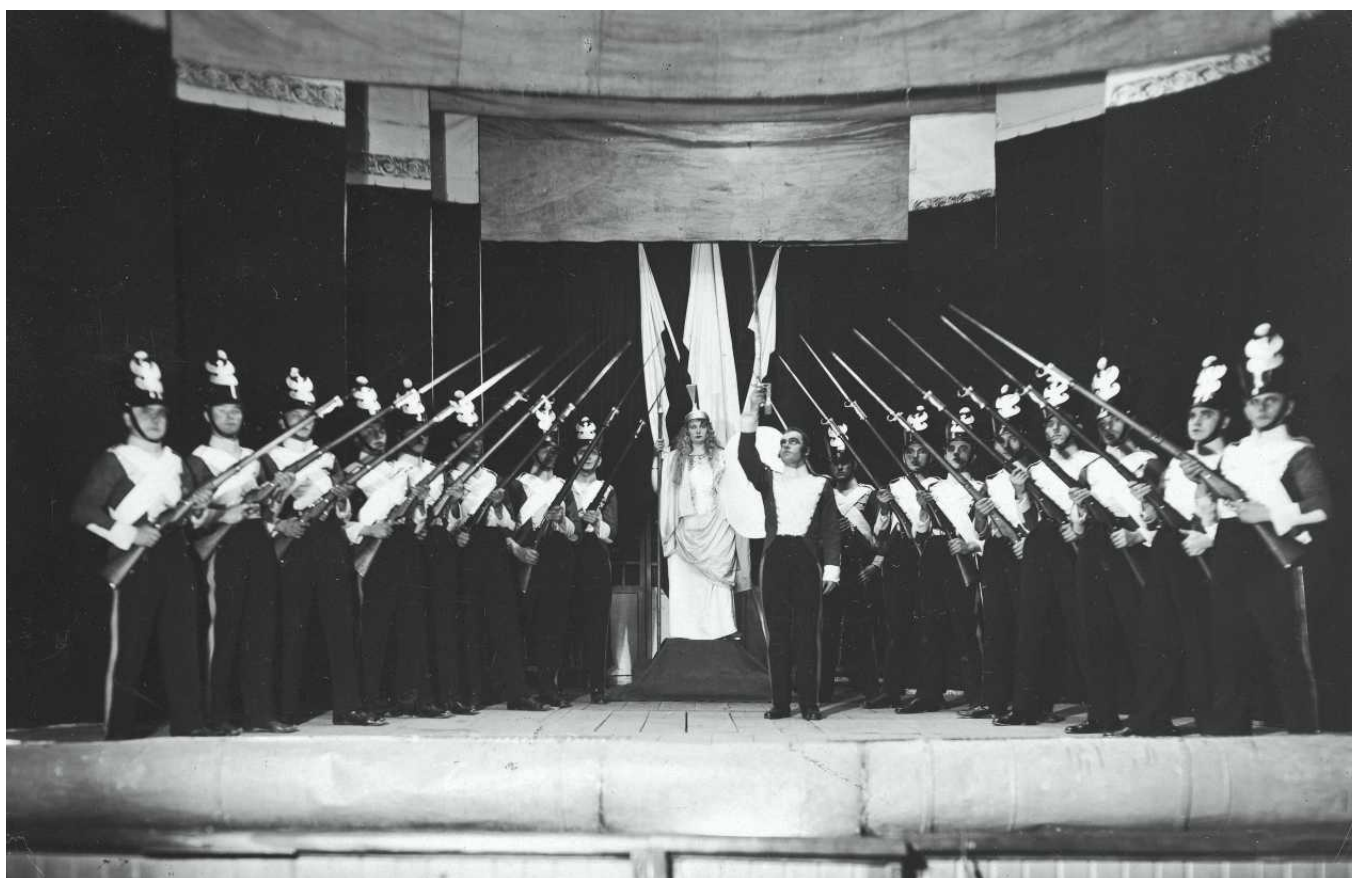
MDM – Marszałkowska Dzielnica Marzeń

Krzysztof Mordyński

Fundacja Centrum Architektury 2025

Czy istnieje polski gen powstańczy?

Niech *nad martwym* *wzlece światem...*



• **Dramat „Noc listopadowa” Stanisława Wyspiańskiego wystawiony przez teatr amatorski w Sanoku w 1932 roku**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Nasze zrywy wybuchały w ściśle określonych okolicznościach, ale skłonność do nich zapisaliśmy w naszej kulturze.

Sebastian Pawlina

Nie tak miał wyglądać początek powstania. Choć udało się opanać Warszawę, to wielki książę Konstanty uciekł. Ale to był dopiero początek problemów. Już pierwszej nocy podchorążowie zabili sześciu generałów. Co najmniej dwóch z nich – Stanisław Potocki i Maurycy Hauke – było kandydatami na wodzów. Inni typowani na nich również nie widzieli sensu w młodzieńczym szale, który ogarnął miasto.

W końcu na czele insurekcji stanął gen. Józef Chłopicki, weteran wojen napoleońskich, bożyszcze tłumów. Jego wybór nie wszystkim się podobał. Członkowie Towarzystwa Patriotycznego, z Maurycym Mochnackim na czele, wytykali mu zachowawczość. Ten sam zarzut stawiano m.in. księciu Franciszkowi Ksaweremu Druckiemu-Lubeckiemu, reformatorowi gospodarki w Królestwie Polskim. Mochnacki powiedział mu, choć nie wprost, że chce go powiesić. Dzień, może dwa, później chciał zrealizować zapowiedź. Nocą w Szkole Podchorążych dopadł bohaterów nocy listopadowej. Przekonał ich, że Chłopicki

i Drucki-Lubecki szkodą zrywowi. Po chwili prowadził wzburzonych w stronę Banku Polskiego, gdzie urzędował książę. Cel miał jeden. „Ażeby pewien mózg finansowy prysnął, jeśli nie pod same gwiazdy (...), to przynajmniej pod sklepienie bankowe, i tym sposobem zreflektował inne mózgi mniej zatwardzale”. Powstrzymał go Piotr Wysocki. Zastąpił podchorążym drogę, mówiąc, że dalej pójdą tylko po jego trupie. Dopiero to ich otrzeźwiło.

Mochnacki został sam. Za próbę zamachu na księcia i atakowanie Chłopickiego stał się celem siepaczy tego ostatniego. Jedni ustawiali szubienicę, inni wołali, że go rozniosą na szablach, ktoś chciał go rozstrzelać. Uciekając przed niebezpieczeństwem, zapędził się ponownie pod mury Banku. I tu nieoczekiwanie Drucki-Lubecki wpuścił go do siebie. Być może nie chciał jego śmierci, a może wiedział, że bezpieczniejszy jest Mochnacki upokorzony, niż martwy. Z tego drugiego łatwiej byłoby zrobić męczennika. Resztę nocy spędzili przy kolacji i rozmowie. W pewnym momencie książę rzucił: „Niebezpiecznie jest tak wysoko za młodu latać”.

W 1910 roku biograf Mochnackiego, historyk Artur Śliwiński napisze, że scena

ta jest „godna pióra wielkiego poety”. Nie to jednak czyni ją wielką, ale ponadczasowość. Słowa Druckiego-Lubeckiego zawisły bowiem nad polskim losem. Młodość, rozumiana nie tylko jako wiek, ale również sposób myślenia, tak doskonale znana chociażby z „Ody do młodości” Adama Mickiewicza, będzie stała za największymi zrywami narodowowyzwoleńczymi. To młodzi rozpoczną powstanie listopadowe i będą przeć do wybuchu styczniowego.

Również młodzi będą wywierać presję na doświadczonych oficerów Komendy Głównej Armii Krajowej, którzy wiedzieli, że jeśli nie rozpoczną bitwy o stolicę, cały okres konspiracji zostanie zmarnowany.

Nie po to przez pięć lat tłumaczyli, że trzeba czekać na odpowiedni moment, żeby kiedy nadszedł, nie zacząć walki. Wiedzieli, że zawiodą w ten sposób nadzieje tysięcy ludzi, którzy żyli żądzą zemsty za pięć lat obozów, łapanek, więzień, egzekucji. Monika Żeromska, wtedy 31-letnia, starsza niż większość powstańców, wspominała, że kiedy nocą z 31 lipca na 1 sierpnia pomyślała, że Niemcy opuszczą Warszawę bez kary, nie mogła zasnąć i trzęsła się z wściekłości i bezsilności, że ujdą zemście.

Nie była w tym osamotniona, „Biuletyn Informacyjny”, najważniejsza gazeta

podziemia, 30 lipca nawoływała: „Bić Niemców! Ten pruski gad, który tyle wylał polskiej krwi, który tyle straszliwych cierpień sprowadził na miliony polskich rodzin – nie może cało i zdrowo wyjść z ziemi naszej. Nie ma Niemców dobrych. Nie ma Niemców uczciwych. Są tylko zbóje i mordercy jawni. (...) Każdy Niemiec – wróg. Każdego dosięgnąć musi dłoń karzącej polskiej sprawiedliwości”.

Tragedia tych młodych powstańczych pokoleń polegała nie tylko na tym, że nagle zaczęły wpływać na przebieg wydarzeń. One nie miały wsparcia ze strony starszych – choć trudno jednoznacznie stwierdzić, po czyjej stronie leży większa za to odpowiedzialność. Młodych, którzy chcieli walki, czy starych, którzy nie umieli przewidzieć jej skutków. W 1944 roku oficerowie KG AK doświadczali siły samonapędzającego się mechanizmu, który sami stworzyli – tysiące ludzi przygotowali do walki, której nie mogli odwołać.

Z kolei podchorążowie w 1830 roku nie potrafili znaleźć nikogo, kto chciałby przejąć dowodzenie nad powstaniem.

W najlepszej sytuacji teoretycznie byli ci, którzy przygotowywali się do rozpoczęcia powstania styczniowego. Od lat 50. XIX wieku mogli się spotykać z dawnymi po-

wstańcami listopadowymi, którzy zaczęli wtedy wracać w rodzinne strony z katorgi na Syberii. Konspiratorzy chcieli z nimi rozmawiać, czerpać z ich doświadczeń, namawiali do tego, żeby ich wsparli. Tamci, wiedząc, że jeden nierozważny ruch może się skończyć kolejną zsyłką, balі się włączyć w cokolwiek. Być może był to ich błąd, że w swoim sprzeciwie wobec nowej insurrekcji nie byli wystarczająco zdecydowani. A może po kilkunastu latach koszmaru nie potrafili myśleć inaczej?

Tak jak oficerowie KG AK, którzy po pięciu latach okupacji nie potrafili zrobić kroku wstecz. „Trzeba było to wszystko [lapani, egzekucje, więzienia – SP] przeżyć, by zrozumieć, że Warszawa nie mogła się nie bić”, pisał płk Kazimierz Iranek-Osmeci, szef Oddziału II KG AK.

Z drugiej strony Piotr Wysocki, mający status nieomal mitycznego herosa, wdał się pewnego razu w awanturę z wysłannikami zajmującej się przygotowaniem powstania Organizacji Narodowej. Radził im, aby nie wszczynali walki, ale zbierali broń i czekali na dogodny moment polityczny. Nie posłuchali go. Być może za bardzo wzięli sobie do serca słowa poety: „Młodości! dodaj mi skrzydła! Niech nad martwym wzleć światem/ W rajską dziedzinę uludy”.

WYCHOWANIE NAD MOGIŁĄ

Symbole najlepiej spełniają swoje funkcje wtedy, kiedy są nieme. Wtedy można dopasować je do swoich potrzeb. Wysocki był przydatny jako więzień carski, ale nie jako krytyk. Generał Józef Sowiński, który nie był zwolennikiem powstania listopadowego, ale zginął w obronie Warszawy, również znakomicie nadawał się na bohatera. Bo był martwy. Jego kult przeniósł się na jego żonę Katarzynę. Przyczyniła się do tego w niemałym stopniu również jej 30-letnia działalność charytatywna. Jej pogrzeb w czerwcu 1860 roku stał się wielką manifestacją patriotyczną. Pierwszą taką od trzech dekad i pierwszą z długiej listy kolejnych, które doprowadziły do wybuchu insurekcji dwa i pół roku później.

Oba wielkie XIX-wieczne zrywy, listopadowy i styczniowy, stały się punktami odniesienia również w II Rzeczpospolitej. Prasa szeroko się o nich rozpisywała, organizowano uroczystości państwowe dorównujące rozmachem tym, które dzisiaj upamiętniają insurekcję sierpniową. Żyjący powstańcy styczniowi stali się pomnikami. Czcili ich sam Józef Piłsudski, który jeszcze w czasie I wojny światowej świadomie wiązał Legiony z tradycją insurekcyjną.

Oficjalny kult państwowy mieszał się z rodzinnym. W domach wspomniano przodków walczących w 1863 i 1864 roku, dbano o miejsca pamięci. Dwudziestoletni w chwili wybuchu powstania Stanisław Komornicki wspominał, że jako dziecko jeździł z rodzicami na mogiłę dziadka. W domu towarzyszył mu jego portret namalowany przez Juliusza Kossaka.

Jan Nowak-Jeziorański zapamiętał, jak ciotka prowadziła go na stoki warszawskiej Cytadeli do miejsca, gdzie stracono Romualda Traugutta wraz z towarzyszami. Historia potrafi być złośliwa. Kilkanaście lat później Nowak-Jeziorański podejmie próbę powstrzymania dowództwa AK od rozpoczęcia kolejnego powstania.

CZY CZYTANIE SZKODZI?

Tradycje, które kształtowały umysły całych pokoleń, nie przetrwałyby jedynie w przekazie ustnym czy dzięki uroczystościom. Potrzebne były książki, w których można było przechować sens, znaczenie, czasami emocje. Wiele z nich stanęło później na półkach domowych bibliotek. W wolnej Polsce czytano je w szkołach, na studiach. Młodzi ludzie przesiąkali zawartymi w nich ideami.



• **Powstańcy warszawscy maszerują ulicą Chmielną po walkach o elektrownię na Powiślu. Na czele porucznik Edmund Grzywiński „Leon”, za nim: sierżant podchorąży Bogdan Dąbrowski, kapral podchorąży Janusz Szatkowski, plutonowy podchorąży Adam Porawski i strzelec Krzysztof Porwit** FOT. SYLWESTER „KRIS” BRAUN / MUZEUM WARSZAWY

W 1937 roku w „Expressie Porannym” ukazał się artykuł 22-letniego studenta polonistyki Tadeusza Wiwatowskiego. W tekście „Dzisiejszość Orzeszkowej” tłumaczył aktualność twórczości autorki „Nad Niemnem”. Pisał m.in. o narzucających się podczas lektury jej dzieł obowiązkach – pracy, życzliwości, pomocy i braterstwa, ale także bohaterstwa i konieczności wytrwałości w tym, co się robi. Nie miał wątpliwości, kto powinien wziąć te zasady do siebie: „[Eliza Orzeszkowa] zwracała się do współczesnego pokolenia z postulatami obowiązku i stwierdzeniem, że go nie spełnia, gdyż nie rozumie, że go spełnić powinno. Zrozumieją to następne pokolenia i pracę zaniebają podejmą. Następne pokolenia – to my...”.

Dwa lata później Wiwatowski jako podchorąży rezerwy artylerii poszedł bronić Polski. Po klęsce wrześniowej szedł do konspiracji. Został dowódcą jednego z największych oddziałów dywersyjnych w okupowanej Warszawie. W lipcu 1944 roku otwarcie mówił, że powstanie będzie błędem. A jednak 1 sierpnia poszedł walczyć. Z poczucia obowiązku.

Ale jego wyobraźnię ukształtowała nie tylko Orzeszkowa. Pracę magisterską zatytułował „Wypiański – poeta śmierci”. Zachwyt twórczością Stanisława Wyspiańskiego był w II RP widoczny. Powstało wiele prac o jego dziełach, a dramaty wystawiano w teatrach. Szczególną popularnością cieszyła się „Noc listopadowa”, pełna heroizmu, poświęcenia dla ojczyzny i obietnicy sławy. Tak jak pod koniec pierwszej sceny, gdy Pallas mówi do Wysockiego „będziesz nieśmiertelność mieć!”, na co ten odpowiada: „Wnijdziecie do nieśmiertelności! Hej dzieci, mężo, rycerze!”. Motyw ten poeta powtórzył w wierszu: „Czy uważacie – w mgieł zawłoczy...”, w którym im głębsza ciemność, tym jaśniej świecą dusze zmarłych, „bo nieśmiertelność w nich zogniono”.

W czasie I wojny światowej „Noc listopadowa” uzyskała status utworu o charakterze niemalże państwowym. Gdy Warszawę zajęli Niemcy, pozwolili na obchodzenie rocznic obu wielkich XIX-wiecznych zrywów. Bardziej okazałe obchodzono styczniowy, chociażby z racji tego, że ciągle żyli weterani. I tak 22 stycznia przez kilka kolejnych lat grano właśnie „Noc listopadową”. W 1917 roku na spektaklu pojawili się członkowie świeżo powołanej przez okupanta Tymczasowej Rady Stanu oraz oficerowie z Komendy Legionów Polskich, z Józefem Piłsudskim na czele. Cztery dni po Bitwie Warszawskiej, 19 sierpnia 1920 roku, sztuka zagościła na deskach Teatru Miejskiego im. Słowackiego w Krakowie.

Prawdziwi bohaterowie dramatu sami wychowywali się na podobnych wartościach – odwagi, poświęcenia, wierności ideałom. Ich nauczycielem był jednak nie rodzimy autor, ale Plutarch z Cheronei. Pokolenie spiskowców związanych ze sprzysiężeniem Wysockiego zaczytywało się w jego „Żywotach sławnych mężów”.

Odnajdywali tam opisy takie jak ten odnoszący się do żyjącego w IV wieku p.n.e. korynckiego wodza i polityka, Timoleona, który „wychowany był w wielkiej miłości swej ojczyzny, a miał wyjątkowo łagodne usposobienie. Jedyną jego namiętnością była szczerą nienawiść do tyranów i ludzi złych. Nawet jako żołnierz umiał tak pięknie i systematycznie panować nad swoją naturą, że jak w młodości okazywał dużo rozsądku, tak też niemniej widać było u niego dzielność, gdy już był starszym człowiekiem”.

Z kolei z żywotu Agisa IV, króla Sparty z III wieku p.n.e., dowiadywali się, że człowiek doskonały i szlachetny nie potrzebuje sławy. Chęć jej zdobycia rozumiała i wybaczalna jest jedynie u ludzi młodych. „Bo cnoty, które u ludzi w tym wieku zaczynają się dopiero rodzić i kielkować, czerpią (...) z odbieranych pochwał siłę do pomyślnego wznoszenia się w górę, a następnie do pełnego rozwoju; szlachetna zaś duma staje się dla nich w ten sposób podporą”.

Wobec takich fundamentów nietrudno zrozumieć, o czym mówiła Wanda Leopold, uczestniczka powstania warszawskiego, a po wojnie krytyczka literacka. Według niej „przedwojenne społeczeństwo polskie było fabryką bohaterów. Życie nie jest przeznaczeniem bohaterów”.

BUNTUJĘ SIĘ, WIĘC JESTEM

Nieuczciwością byłoby stwierdzenie, że ci, którzy rozpoczynali powstania, świadomie chcieli zginąć za ojczyznę. Takie postawy też występowały, ale większość chciała przeżyć. Chęć wywalczenia wolności determinowała ich postawy, ale nie było to tożsame ze zgodą na śmierć. Równie silna była potrzeba zbuntowania się wobec otaczającej ich rzeczywistości.

W wydanej w 1951 roku książce „Człowiek zbuntowany” Albert Camus pisał,

że bunt „jest pierwszą oczywistością. Ale ta oczywistość wydobywa jednostkę z jej samotności. Jest wspólnotą, która opiera wartość naczelną na wszystkich ludziach. Buntuję się, więc jesteśmy”.

Niezgoda na niszczenie świata wartości, takich jak: szacunek do człowieka, prawo do szczęścia, brak przemocy, pomagała podczas zaborów i okupacji odnajdywać się ludziom. Tajne organizacje tworzyły przestrzeń, w której można było poczuć się znowu człowiekiem. Stanisław Likiernik, żołnierz AK, mówił po wojnie, że należenie do podziemia sprawiało, że „można tu było wyżyć się, robiąc coś, co zmieniało człowieka ze szczutej zwierzyny w stronę walczącą, co »czyniło człowiekiem«”. Konspiracja była czymś, co jego pokolenie знаło z historii, w tym z opowieści o powstaniach. Wraz z trwaniem buntu rosło przekonanie, że musi dojść do konfrontacji z wrogiem.

Maurycy Mochnacki poza tym, że byłwał żądnym krwi rewolucjonistą, był również publicystą. Pisał o teatrze, muzyce, literaturze, historii, polityce. Jeszcze przed powstaniem listopadowym opublikował artykuł „Czas teraźniejszy”. Przekonywał w nim, że to człowiek stwarza czas, w którym żyje. „Czemuż nikomu nie wpadnie w głowę: że ten czas i te okoliczności są naszym własnym utworem? Że nie my jesteśmy dziećmi czasu, ale że przeciwnie, czas z woli naszej rodzi się i że w naszej władzy kierować jego kołami? (...) Czas i charakter czasu stwarza mocna wola!”.

Ale kilka lat później, już na emigracji, pisząc swoje największe dzieło, „Powstanie narodu polskiego w 1830 i 1831 roku”, stwierdzał stanowczo we wstępie: „Nie nie mogliśmy, ale nie umieliśmy!”, a dalej dodawał: „Pod łagodnym obcym panowaniem Polacy powstają, bo mogą, pod surowym, bo muszą”. Przekonanie, że człowiek zniewolony może i musi podjąć walkę, trafiało do kolejnych pokoleń. Jego prace czytali powstańcy styczniowi, na tych zaś wychowywali się powstańcy sierpniowi. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34388115



81. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

• **Teksty, rozmowy, wspomnienia, opinie, podcasty, a także relacje wideo z obchodów 81. rocznicy Powstania Warszawskiego w serwisie Wyborcza.pl.**

Nie ma więc żadnego polskiego genu. Ani wolności, ani powstańczego. Są natomiast okoliczności historyczne, które budzą postawy budowane dekadami i które przez tradycje rodzinne, państwowe, przez literaturę czy teatr wsiąkały w świadomość kolejnych pokoleń. Polskie społeczeństwo przesiąkło ideą powstań. To one są – słusznie, choć ze szkodą dla siebie – dla niego najwyższym przejawem patriotyzmu. Niczym Mochnecki pragnący śmierci Druckiego-Lubeckiego woli rewolucję od ewolucji.



Bunt „jest pierwszą oczywistością. Ale ta oczywistość wydobywa jednostkę z jej samotności. Jest wspólnotą, która opiera wartość naczelną na wszystkich ludziach. Buntuję się, więc jesteśmy”.

ALBERT CAMUS
Lorum Ipsum

BEZ NADZIEI

Poza wspólnymi korzeniami opartymi na lekturach i narastających tradycjach powstania – w większości – miały jeszcze jedną wspólną cechę. Kończyły się porażkami. Często wyglądającymi bardzo podobnie. Z tych trzech wielkich zrywów – listopadowego, styczniowego i sierpniowego – każdy rozpoczynał się w pośpiechu. Żaden z nich nie rozpoczął się zgodnie z planem. Podchorążowie ruszyli na Belweder, bo obawiali się, że wielki książę niebawem odkryje nazwiska spiskowców. Styczniowi chcieli ubiec Aleksandra Wielopolskiego, który ogłosił brankę, a latem 1944 roku obawiano się, że Niemcy zaczną wylapywać mężczyzn, oraz chciano ubiec Sowietów. Każde z tych powstań upadłoby w krótkim czasie, gdyby nie przyłączyło się do niego społeczeństwo.

Trafnie opisał powstania – także te, które dopiero miały się wydarzyć – Mochnecki. Zastanawiając się w „Powstaniu narodu...” nad przyczynami ich upadku, uznał, że charakter ich zawsze jest taki sam – zaczyna się od zapалу ogarniającego dużą część narodu. Masowo występują wraz z nim poświęcenie, porywczosć i śmiałość. Potem szybko się okazuje, że wszystko to jest nieudolnie zarządzane.

„Nigdy u nas nie korzystano z poprzednich doświadczeń; stąd też w każdym powstaniu jednakie prawie błędy wojskowe i polityczne; najbardziej zaś to w każdym podobnym zdarzeniu, odnawiające się, ku końcowi zwłaszcza, omdlewanie i upadanie na duchu, kiedy by go najwięcej wznosić wypadało; to gorszące dobrowolne rozpraszanie sił niemałych, jeszcze nie starganych!

We wszelkim bohatyryskim przedsięwzięciu naszym byliśmy na kształt kunsztownego ognia, co od jednego razu strzeli w górę jasnym strumieniem i – w dymach gaśnie”.

Nie wiadomo, czy Tadeusz Wiwatowski, tak doskonale znający twórczość Wyspiańskiego, poznał również pisma Mochneckiego. W pierwszych dniach powstania warszawskiego powiedział coś, co wskazywałoby, że i jego dzieła nie były mu obce. W piątek 4 sierpnia w rozmowie ze swoim dowódcą z konspiracji zmęczony i zniechęcony fatalnym położeniem polskich oddziałów rzucił zdanie, które przypomina kondensat z Mochneckiego: „powstanie albo udaje się w ciągu kilku dni, albo przy przewlekaniu pada i nie podnosi się”.

Wiedział bowiem, że nie tak powinien wyglądać początek powstania. ●



81. rocznica wybuchu powstania warszawskiego

W GARSONCE NA WOJNĘ

Były starsze od innych dziewczyn, dlatego nosiły takie pseudonimy jak „Mama” czy „Babcia”. Powstańcy mówili na nie peżetki.

Agnieszka Cudała

Nie mam komody ani szafy, które by we mnie utrzymywały porządek. Nie mam książek, które by za mnie myślały i czuły. Nic już o mnie przed ludźmi nie świadczy, tylko ja sama. Nie będzie już nigdy tego, z czego wyrosłam. Cóż zostanie? Czy starczy treści, które są we mnie, by zastąpić komodę i szafę, i stół?”

Te słowa napisała Irena Jurgielewiczowa ps. „Jurga” w obozie jenieckim w Muhlbergu, do którego w październiku 1944 roku trafiło wiele uczestniczek powstania warszawskiego. Po wojnie znana była jako autorka książek dla dzieci i młodzieży, m.in.: „Ten obcy” albo „Inna?”. Niewiele osób łączy ją ze zrywem sierpniowym, a tym bardziej z pełnieniem funkcji peżetki, jak nazywano kobiety należące do służby Pomoc Żołnierzowi, podwódzkiego Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej.

OD STRZELANIA DO GOTOWANIA

Urodziła się w 1903 roku w Działoszynie koło Wielunia, ale gdy miała dwa lata, rodzina przeniosła się do Warszawy. Jej ojciec lekarz nie szczę-

dził środków na edukację córki, co w dwudziestoleciu międzywojennym nie było częste. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim i pedagogikę w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Edukację kontynuowała we Francji. Po powrocie wykładała na uczelni, pracowała w Sekcji Oświaty Dorosłych m.st. Warszawy. Wyszła za mąż za artystę plastyka Mieczysława Jurgielewicza. Jej pierwsze próby literackie ukazywały się na łamach czasopisma „Wiedza i Życie”.

W czasie okupacji Irena Jurgielewiczowa początkowo przyjęła pseudonim „Isia” i została szyfrantką Oddziału V (łączność) KG AK w grupie „Małgorzatki”. A także redaktorką naczelną „Pisma Młodych” wydawanego przez Szare Szeregi. Wykładała też na tajnych kompletach, a żeby zdobyć Ausweis, podjęła pracę w Radzie Głównej Opiekuńczej.

Żeby zostać peżetką, trzeba było skończyć kursy: wojskowy, sanitarny, propagandowy, kulturalno-oświatowy, psychologiczny, a nawet gotowania. Kandydatki musiały mieć co najmniej średnie wykształcenie i odpowiednio cechy charakteru: łatwy i bezpośredni kontakt z ludźmi, umiejętność panowania nad grupą, pogodę ducha, opanowanie, takt, inicjatywę. Jurgielewiczowa uważała, że charakterem nie tak bardzo pasuje do peżetek, nie była tak otwarta na ludzi, ale świetnie

była przygotowana względem wiedzy i kwalifikacji. Sprzed wojny знаła Hannę Wentlandtową ps. „Zofka” i Marię Roerichową ps. „Ina”, zastępczynię komendantki PŻ Hanny Łukaszewiczowej ps. „Ludwika”.

Podczas okupacji peżetki zajmowały się szkoleniem kadry instruktorskiej, wsparciem oddziałów partyzanckich, opieką nad rannymi, chorymi, inwalidami, jeńcami, więźniami oraz ich rodzinami. Po wybuchu powstania miały pracować w gospodach żołnierskich mających zapewnić walczącym namiastkę domu. Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale wśród gruzów, pożarów i nieustannie zmieniającej się linii frontu, peżetki stworzyły blisko 30 gospód. Przypominały one trochę dzisiejsze puby – jedzono tam posiłki, organizowano koncerty, a nawet przyjęcia weselne, ale też odprawiano msze. Żołnierze przychodzili do nich napić się zbożowej kawy, poczytać prasę, obejrzeć wystawę zdjęć fotoreporterów BIP, a nawet wypożyczyć książkę, bo w wielu gospodach były czytelnie i biblioteki.

Najważniejsze gospody zorganizowano: w Poczcie Głównej przy pl. Napoleona (dziś pl. Powstańców Warszawy), w PKO przy Świętokrzyskiej, róg Jasnej, w dawnej restauracji Adria przy ul. Moniuszki, w gmachu Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Smulikowskiego, w Konser-

◄ **Kobiety z formacji Pomoc Żołnierzowi nalewają powstańcom kawę w gospodzie zorganizowanej w budynku Poczty Głównej przy placu Napoleona, dziś Powstańców Warszawy**

FOT. ZBIORY AGNIESZKI CUBAŁY

► **Irena Jurgielewiczowa „Jurga” (1903–2003), pisarka, wykładczyni akademicka. W 1964 roku została pierwsza Polką, której powieść „Ten obcy” znalazła się na światowej liście najlepszych książek dla młodzieży**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO



watorium Muzycznym przy ul. Okólnik, a przy ul. Kruczej, róg ze Wspólną, istniała gospoda garnizonowa. Jeśli pezetki nie mogły stworzyć gospody, pełniły służbę w szpitalach, kuchniach i stołówkach, szwalniach albo pralniach.

SUKIENKA ZAMIAST PANTERKI

Pezetki różniły się od większości innych uczestniczek powstania, przede wszystkim były od nich znacznie starsze, dlatego wiele nosiło takie pseudonimy jak „Mama”, „Ciocia” czy „Babcia”. Były świetnie i wszechstronnie wykształcone, często pochodziły z zamożnych domów. Wyróżniał je też strój – nie nosiły panterek, kombinezonów ani spodni, najczęściej widywało je się w sukienkach lub garsonkach, do których przyczepiały zielony emblemat z literami „PŻ”.

Było wśród nich wiele nieprzeciętnych kobiet, m.in.: jedna z założycielek żeńskiego harcerstwa Jadwiga Falkowska, aktorka Maria Gorczyńska, mistrzyni Polski w biegach narciarskich Bronisława Staszek-Polankowa, zwyciężczyni kilku samochodowych Rajdów Pań Halina Regulska czy siostra słynnego fotografa Eugeniusza Lokajskiego Zofia Domańska, która wyniosła z powstania kolekcję jego bezcennych zdjęć. Nie brakowało uczestniczek walk o odzyskanie niepodległości, działaczek społecznych, oświatowych i sportowych, a także dziennikarek, wykładaczyni uczelni, nauczycielek i bibliotekarek.

„Szybko zdałam sobie sprawę, jak dobrze jest mieć te kobiety za towarzyszek. Należały do gatunku »przychodzących z pomocą«, opiekuńczych, życzliwych ludziom, a przy tym zgola nieczułościowych – wspominała Jurgielewiczowa. – Cechowała je rzeczowość; konkretne działanie, a nie słowa zdawały się być ich naturalnym odzewem na wymagające ingerencji położenie. Jeżeli wcale nie można było złu zaradzić, umiały kwitować przegraną humorem lub stoicyzmem. O ich własnych niepokojach i smutkach, które jak każda z nas musiały przeżywać, niewiele dałoby się powiedzieć: pozostawały w ukryciu”.

„Jurga” pełniła służbę w dwóch gospodach: przy Moniuszki 8 i w dawnym kinie Palladium przy Złotej 7/9. Bywała też często w gospodzie garnizonowej przy Kruczej. Służbę rozpoczęła jednak w kuchni dawnej restauracji Srebrna Róża przy Sienkiewicza. „Skrobanie kartofli w żołnierskiej kuchni, czym zajmowałam się w pierw-

szych dniach, odpowiadało mi wówczas daleko bardziej niż na przykład dobieranie tekstów do recytacji na wieczorach świetlicowych, co zlecono mi później. Do końca zazdrościłam kobietom, które pomagały walczącym w sposób najprostszy, niepodważalnie użyteczny” – pisała.

CHOPIN I CHŁOPCY Z KANAŁÓW

W gospodach żołnierskich poza zapewnianiem walczącym posiłków i kubka kawy pezetki organizowały również życie kulturalno-oświatowe. Koncertowali w nich najwięksi artyści, tacy jak: Mira Zimińska, Mieczysław Fogg, Jan Ekier czy Leon Schiller. Ten ostatni przygotował nawet specjalny spektakl, „Kantatę na otwarcie Teatru Narodowego”, zaprezentowany 15 sierpnia 1944 roku z okazji obchodów Dnia Żołnierza w zaprzyjaźnionej z pezetkami kawiarni U Aktorek przy Mazowieckiej. Niestety, przedstawienie przerwał wybuch pocisku, tzw. krowy. Powstańcy uwielbiali koncerty, dzięki nim na chwilę mogli zapomnieć o dramatycznej rzeczywistości.

Jurgielewiczowa przywołała we wspomnieniach koncert, który odbył się w pierwszych dniach września 1944 roku w gospodzie w dawnym kinie Palladium. Pezetki ozdobiły ją patriotycznymi dekoracjami, włożyły sukienki z białymi kołnierzykami, starannie ułożyły fryzury. Wystąpić miał Jan Ekier, pianista znany ze wspaniałych wykonań Chopina, zwłaszcza „Etiudy rewolucyjnej”.

Goście przybywali na koncert z pobliskich placówek, czuwalili się w uroczystą atmosferę. Niestety, zepsuła ją grupka powstańców, która do gospody przybyła kanałami ze Starego Miasta. Można ich było łatwo odróżnić od żołnierzy ze Śródmieścia, ponieważ mieli na sobie panterki i ciężkie wojskowe buty. Wchodzili do gospody z hałasem, trzaskali drzwiami, rozsuwali z impetem zagradzające im drogę krzesła i stoliki. Głośno się śmiali, przeklinali i komentowali wygląd gości, zwłaszcza białe kołnierzyki gospodyń. Salę wypełniła mdląca woń kanałów.

Jurgielewiczowa: „Wydaje się, że przeżywszy piekło, uznali je za obowiązującą normę. Tylko w jego obrębie mogły zachodzić sprawy godne uwagi. (...) Atmosfera na sali była ciężka. Przybysze jawnie gardzili bytowaniem na tyłach, gdzie możliwe są takie idiotyzmy jak ów koncert. »Szafy im za mało nakoncertowały« – odezwał się jeden z nich. Po cóż więc przyszedł? Może,

bo nie mieli co z sobą zrobić, może, by coś zjeść i wypić (...), a może, by demonstrując swą niespójność z nami, swą obcość dla wszystkiego, co nie decyduje o życiu i śmierci, znaleźć nieco ulgi w dźwiganiu doświadczenia? (...) Jakiegokolwiek były motywy ich obecności, jeść i pić nie dostali, Śródmieście głodowało i pezetki miały do ofiarowania tylko strawę duchową”.

Gdy na sali pojawił się Jan Ekier, pierwszym taktom jego występu towarzyszyło szuranie nogami, bezceremonialne poprawianie się w krzesłach i prowokacyjne rozmówki powstańców ze Starówki. Pezetki odnosiły się do tego z taktownym dystansem i nie reagowały. Pianista również, grał tak, jakby wszystko inne nie miało dla niego znaczenia.

„Inaczej niż my ze Śródmieścia (...) nie potrzebowali czerpać uniesienia z »Etiudy rewolucyjnej«. Dzięki osobliwej i pewno nie dla każdego pożądanej okazji przeżywali chwilę wyzwolenia od napięć i niezaznanego od dawna wyzbycia się odpowiedzialności. (...) Poderwano ich, obiecując zwycięstwo łatwe, szybkie i efektowne, które już po paru dniach okazało się mrzonką” – wspominała Jurgielewiczowa.

KSIĄŻKI JUŻ SPAKOWANE

Po upadku powstania „Jurga” wraz z mężem poszła po raz pierwszy po długiej nieobecności do ich mieszkania przy Wspólnej 35. Choć był już późny wieczór, nie musieli zapalać świecy, światła dostarczyła luna płonącego miasta. Podłoga pokryta była rozbitym szkłem i gruzem. Na meblach osiadła gruba warstwa pyłu. Podeszli do okna bez szyb i patrzyli na ruiny miasta. Jurgielewiczowa opisuje, że usłyszeli wówczas muzykę – w którymś z ocalałych mieszkań ktoś grał na fortepianie albo pianinie „Mazurka Dąbrowskiego”.

Następnego dnia większość pezetek opuściła Warszawę z kolumną powstańców idących do obozów. Szły zrujnowanymi ulicami: Mokotowską, Śniadeckich, aż do barykady przy placu Politechniki, która stanowiła umowną linię graniczną. Tu kończyła się dwumiesięczna warszawska niepodległość, a żołnierze stawali się jeńcami.

Kobiety mimo szkolenia wojskowego maszerowały w szyku, który wzbudziłby na pewno krytykę oficerów. Ale w czasie okupacji i powstania nie musztry je uczono, były łączniczkami, sanitariuszkami, kolporterkami prasy. Jeśli przenosi się broń, meldunek albo jak „Jurga” wynajmuje mieszkanie, które rzekomo ma służyć rodzinie, a w istocie będzie punktem kontaktowym, to należy się zachowywać jak cywil. Jeśli z przypadkowego sklepu przekazuje się telefonicznie ostrzeżenie, trzeba to robić po „babsku”, by nie wzbudzić podejrzeń.

Stopnie wojskowe przyznano kobietom dopiero pod koniec powstania, rozkaz w tej sprawie komendant AK gen. Tadeusz

Komorowski ps. „Bór” wydał 23 września 1944 roku.

„Byłyśmy »cywilami« – musiałyśmy nimi być – a teraz oto z paskami i gwiazdkami na beretach i czapkach maszerujemy źle wyrównanymi czwórkami, udając wojsko” – pisała Jurgielewiczowa.

Wśród pezetek wychodzących z Warszawy obok młodych dziewcząt szły kobiety trzydziesto- i czterdziestoletnie, a nawet starsze. Najczęściej nie miały na sobie mundurów, lecz przeważnie sukienki lub kostiumy, w których poszły do powstania.

Mundury zastępowała biało-czerwona opaska na ramieniu. Na nogach niektóre miały solidne półbuty, ale nie brakowało takich, które szły w mało praktycznych pantoflach na wysokich obcasach.

Niosły plecaki i różnego rodzaju torby, do których niekiedy przymocowane były koce lub ciepłejsze okrycia. W prawie każdym bagażu znajdowały się książki. Pezetki rezygnowały dla nich z dodatkowego swetra, butów, a nawet z żywności. Jurgielewiczowa wspomina, że tuż przed wymarszem podczas rozmów często padały słowa: „Książki już wybrałam” albo „Wszystko gotowe, jeszcze tylko książki”.

Po kapitulacji pezetki mogły iść do obozu jenieckiego, wyjść z miasta z ludnością cywilną albo kontynuować walkę w konspiracji. Każda z opcji była niewiadomą i nie dawała gwarancji bezpieczeństwa. Większość zdecydowała się na niewolę i pozostanie z koleżankami, co dawało szansę na uniknięcie wywiezienia do Niemiec na roboty. Poza tym pozostawały w grupie, razem z koleżankami i instruktorami. Władze organizacji zadbały o to, by kilka starszych kobiet zaopiekowało się podkomendnymi. Nie przyznały się do niedawno otrzymanych stopni oficerskich, dzięki czemu razem z dziewczętami poszły do stałagów.

W obozie nadszedł czas na refleksję i pierwsze oceny powstania. „Potrzebna jak powietrze teza, że walka o Warszawę była koniecznością historyczną, polityczną, społeczną, moralną – nie dawała się oczyścić z wątpliwości – pisała Jurgielewiczowa. – Ze wszystkiego, co przeżyłam, co widziałam na własne oczy i słyszałam na własne uszy, wynikał niezbicie tylko jeden pewnik, i to uboczny, dotyczący losu jednostki: dzięki powstaniu moje życie stało się większe. Więcej złego, więcej dobrego, więcej cierpień i więcej win”. ●



Pezetki '44

Agnieszka Cudała

Wyd.
Agnieszka Cudała Moje Książki

OGŁOSZENIE



81. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

• **Teksty, rozmowy, wspomnienia, opinie, podcasty, a także relacje wideo z obchodów 81. rocznicy Powstania Warszawskiego w serwisie Wyborcza.pl.**

Kraj/34388116

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

ODESZLI.pl

REKLAMA

PARTNER



weekendówka
165

GENIUSZ Z KARTAGINY

W środku szyku stanęła ciężkozbrojna piechota rzymska. Sławne legiony, których bał się cały antyczny świat. Takich piechurów rzymscy wodzowie, konsulowie Paulus i Warron mieli 40 tysięcy. Ustawili ich w trzech rzutach, które miały zmasakrować centrum przeciwnika i dać Rzymowi zwycięstwo.

Po obu skrzydłach formacji stanęła konnica, którą właśnie dowodzili konsulowie. Pewni zwycięstwa, bowiem ich wojska, szacowane na jakieś 85-86 tys. znacznie przewyższały przeciwnika.

Ale to był nie byle jaki przeciwnik. Kartagiński wódz Hannibal pobił srodze rzymskich wojaków już dwukrotnie na ich ziemi. A na najbliższe starcie obmyślił znakomity plan. Zgodnie z wojennymi regułami uszykował wojska podobnie, z piechotą w centrum i konnicą na skrzydłach, ale jego piechurzy stanęli w formacji łuku skierowanego wybrzusem do wroga. Na samych jego krańcach Hannibal ustawił to, co najlepsze – afrykańską ciężką piechotę. Ale decydująca miała być jazda – szczególnie ta doborowa, ciężka, dowodzona przez Hazdrubala.

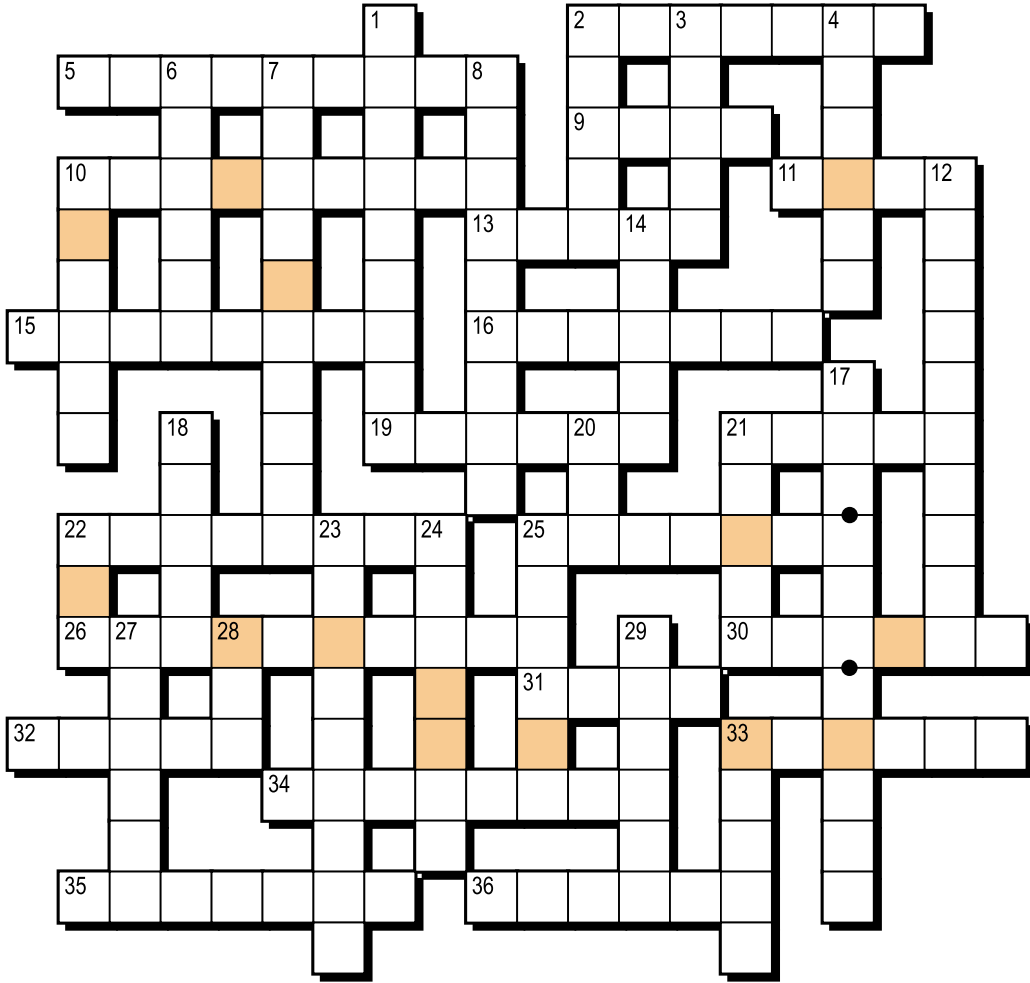
Kiedy Rzymianie ruszyli do ataku, stojąca w centrum lekkozbrojna piechota Kartagińczyków zaczęła się cofać, wciągając niejako legionistów w głąb formacji. Jednocześnie afrykańska piechota zaczęła domykać pierścieni okrążenia, zaś kartagińska jazda, rozprawiwszy się najpierw z konnicą Paulusa, następnie Warrona, domknęła śmiertelną pułapkę.

Stłoczeni w środku Rzymianie ginęli od ciosów z każdej strony, do akcji wkroczyli też schowani do tej pory za plecami swoich piechurów, a znani ze swej celności w rzemiośle, balearscy procarze. Sytuację Rzymian utrudniały dodatkowo sypiący się w oczy piach i fakt, że atakowali w stronę wschodnią, więc żołnierzy raziło słońce.

Kłęska Rzymu była kompletna. Zginęło od 50 do 70 tys. rzymskich żołnierzy (źródła podają różne szacunki), do niewoli trafiło 10-20 tys. Hannibal mógł stracić maksymalnie 10 tys. wojska. Przerażeni mieszkańcy Wiecznego Miasta powtarzali z trwogą „Hannibal ante portas” – Hannibal u bram, ale kartagiński wódz nie miał dość sił, by ruszyć na mocno ufortyfikowany Rzym.

Kannami, uchodzące do dziś za jeden z najkunsztowniejszych manewrów w historii wojskowości, miało miejsce 2 sierpnia 216 r. p.n.e. Z tej okazji właśnie zapraszamy was do „Weekendówki” poświęconej bitwom i wielkim wodzom. Sam nie mogę się już doczekać – wszak w szczęśliwych czasach studenckich właśnie z Kannami pisałem pracę roczną na I roku.

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 164 z 26.07:

Poziomo: 1) Miluś 8) biegacze
10) Baggins 11) karate
12) Matka 13) monstra
14) Rhaegal 16) ród 17) jajo
18) Shrek 20) Falkor 22) ząb
23) ogród 25) Chiny 27) potwór
28) pożytek 30) talerze
32) Ang 34) krew 35) lustro
37) Tabaluga 39) donica
40) warany

Pionowo: 2) legendy 3) Święty
Jerzy 4) łuska 5) bestie
6) Dexter 7) gwiazdozbiór
8) Borch 9) cumelek 13) misja
14) rogonog 15) Góry 18) skóra
19) Czakwka 21) książę Krak
24) złote runo 26) Beowulf
29) Walia 31) Eragon 33) grota
36) trik 38) gra

HASŁO: ŚWIAT FANTASY

BITWY I WODZOWIE

Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) trzej ..., starli się pod Austerlitz w 1805 r.
5) bitwa pod ..., ważne starcie podczas wojny stuletniej, w którym wstawili się angielscy łucznicy (1415 r.)
9) miejsce bitwy, w której Scypion Afrykański pokonał Hannibala (202 r. p.n.e.)
10) przylądek, w pobliżu którego rozegrała się bitwa morską między flotą francusko-hispańską a angielską (1805 r.)
11) Złota ... (skojarz z Czyngischanem)
13) rzeka kojarząca się ze starciem wojsk francusko-brytyjskich i niemieckich podczas I wojny światowej (wrzesień 1914 r.)
15) rozwój wydarzeń, np. podczas batalii

- 16) dotkliwa porażka, rozgromienie wrogich wojsk (wpisujemy w liczbie mnogiej)
19) admirał, poległ w bitwie z określenia 10 poziomo
21) polska rzeka kojarząca się z największym starciem kampanii wrześniowej
22) jeden z wodzów w bitwie z określenia 8 pionowo
25) miejsce głównej bitwy podczas wojny Persów z Grekami (490 r. p.n.e.)
26) miasto w Rosji, miejsce jednej z głównych bitew II wojny światowej
30) generał kojarzący się z walkami o Monte Cassino
31) numer jeden w armii
32) ... Jorńskie, akwen z Zatoką Ambrakijską – miejscem bitwy pod Akcjum (Oktawian August kontra Marek Antoniusz i Kleopatra)
33) ... Józef Poniatowski, poległ w bitwie pod Lipskiem
34) białoruska rzeka, miejsce bitwy wojsk Napoleona z armią Wittgensteina i Kutuzowa (1812 r.)

- 35) namalował „Batorego pod Pskowem”, „Bitwę pod Grunwaldem”
36) francuska miejscowość, miejsce jednej z największych bitew I wojny światowej

Pionowo:

- 1) Ulrich von ..., pokonany w 1410 r.
2) zwyciężył pod Aleją, pokonując zbuntowanych Galów
3) francuska rzeka, miejsce największego starcia I wojny światowej (jeden z dowódców: Ferdinand Foch)
4) oblężony w „Ogniem i mieczem”
6) miejsce jednego ze zwycięskich starć w powstaniu listopadowym (dowódca: Ignacy Prądzyński)
7) Stefan, wódz wspomniany w naszym hymnie
8) miejsce bitwy podczas II wojny perskiej (skojarz z filmem „300”)
10) miasto w Libii, miejsce walk Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich podczas II wojny światowej

- 12) ... Wielki, kojarzony z bitwą pod Gaugamelą
14) cesarz z bitwy nad Metaurusem (II wojna punicka)
17) Bitwa Warszawska
18) ... wojenna (ogół okrętów)
20) rzeka z pieśni wojkowej „Szumi dokoła las...”
21) pod Salaminą, Kircholmem, Połtawą lub Waterloo
22) ... Teutoburski, miejsce starcia Rzymianie kontra Germanie (9 r.)
23) film wojenny Christophera Nolana
24) znawca sztuki prowadzenia wojen, planowania batalii
25) miejsce lotniczo-morskiej bitwy na Pacyfiku podczas II wojny światowej
27) Sobieski – Polska, Kara Mustafa – ?
28) Robert, amerykański generał z czasów wojny secesyjnej
29) imię Rydza-Śmigłego
33) miejsce zwycięskiej bitwy Hannibala podczas wojny Rzymu z Kartaginą (216 r. p.n.e.)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY



APLIKACJA
WYBORCZEJ

Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

